TAJNA KONSTYTUCJA ŁĄCZY POLITYKÓW

DLACZEGO TYLE PŁACIMY ZA DENTYSTĘ

ANNA GACEK O TINIE TURNER

Kraków 4 czerwca 2023 nr 23 (3856) cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

OLGA DRENDA NA 4 CZERWCA

Przewodnik po wolnej Polsce

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

Albatros travel

Tajemnicza Azja Centralna

Wybierz się w niezapomnianą podróż Jedwabnym Szlakiem przez 5 środkowoazjatyckich krajów: Uzbekistan, Turkmenistan, Kirgistan, Tadżykistan i Kazachstan.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Aszchabadu, Turkmenistan. **Dz. 2** Aszchabad. Wycieczka po mieście. **Dz. 3** Aszchabad. Wycieczka po mieście, cytadela Nisa, mauzoleum i meczet Turkmenbaszy, ruiny meczetu Anau. Przelot do starożytnego miasta-oazy Mary. **Dz. 4** Merw – przejście graniczne Farab-Alat. Przejazd do Buchary. **Dz. 5** Buchara. Zwiedzanie miasta i pokaz folklorystyczny przy madrasie Nadir Divan-Begi. **Dz. 6** Buchara – Shakhrisabz – Samarkanda. Miejsce urodzenia Timura Lenka i wizyta na polskim cmentarzu. Czas wolny. **Dz. 7** Samarkanda – Taszkent. Wycieczka po Samarkandzie. Przejazd pociągiem ekspresowym do Taszkentu. **Dz. 8** Taszkent – Chodżent, Tadżykistan. Zwiedzanie miasta z twierdzą Timura Melika i mauzoleum szejka Muslihiddina Khudjandiego oraz bazaru Panszanbe. **Dz. 9** Chodżent – Taszkent. Dalsze zwiedzanie Chodżentu: Pałac Kultury Arbob oraz „Morze Tadżyckie". Powrót do Taszkentu. **Dz. 10** Taszkent – Szymkent – Taraz, Kazachstan. Plac Niepodległości, Central Park w Szymkencie i Mauzoleum Aisha Bibi. **Dz. 11** Taraz – Akyrtas – Biszkek, Kirgistan. Kazachskie Stonehenge, przyjazd oraz zwiedzanie stolicy Kirgistanu, Biszkeku. **Dz. 12** Biszkek. Wycieczka do Parku Narodowego Ala-Archa (dodatkowo płatna). **Dz. 13** Biszkek – Ałma-Aty, Kazachstan. Wycieczka po mieście: park Panfiłowa ze słynnym drewnianym soborem oraz stadion łyżwiarski Medeo i góra Kok Tobe. **Dz. 14** Wylot do Polski.

14 dni | Wylot z Warszawy 06/09 2023

16.998,-

Norwegia Płn. – Lofoty i Przylądek Północny

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot z Warszawy do Evenes i przejazd do Svolvær. **Dz. 2** Wycieczka na Lofoty, wizyta w wioskach rybackich: Å, Ramberg Strand i Stamsund. **Dz. 3** Lofoty – Vesterålen – Andenes – podróż przez magiczne krajobrazy. Możliwość obserwacji wielorybów. **Dz. 4** Andenes. Rejs "Drogą wielorybów" przez Gryllefjord i dalej do bramy Arktyki: Tromsø. **Dz. 5** Przejazd: Tromsø – Alta. Eksplorowanie Tromsø, rejs po fiordzie, arktyczna natura Finnmarku i Alty. **Dz. 6** Alta – Magerøya – Honningsvåg. Ryty naskalne w Alcie, podróż przez arktyczne krajobrazy w kierunku wyspy Magerøya na Przylądku Północnym. **Dz. 7** Przejazd z Honningsvåg do Alty. Trasa wzdłuż fiordów Finnmarku, łagodnego górskiego krajobrazu do lotniska w Alcie. Powrót do domu

7 dni | Wyloty z Warszawy 08/08 2023, 17/06, 15/07 2024

od **7.998,-**

Klasyczna podróż pociągiem przez Szwajcarię

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot na trasie Warszawa – Zurich. Podróż pociągiem do Montreux nad Jeziorem Genewskim. **Dz. 2** Spacer po stylowym Montreux i czas wolny. **Dz. 3** Przejazd Ekspresem Lodowcowym przez przełęcz Oberalp w kierunku St. Moritz. **Dz. 4** Celerina. Wycieczka z pilotem do St. Moritz lub dzień do własnej dyspozycji. **Dz. 5** Ekspresem Bernina do Tirano. Przejazd do Lugano. **Dz. 6** Lugano. Spacer po mieście i czas wolny. Pożegnalna kolacja. **Dz. 7** Przejazd pociągiem Lugano – Zurych. Wylot powrotny do Warszawy.

7 dni | Wylot z Warszawy 23/09 2023

11.998,-

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kod reklamy: **TP11**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

KS. ADAM

Boniecki: *Rzeczpospolita kościelna*

Od najmłodszych lat mnie uczono, że Kościół nie jest instytucją demokratyczną. Bo nie jest taki ani w sposobie wybierania władzy, ani jej sprawowania. Po latach wiem, że określenie „demokracja" jest pojemne, że czym innym jest demokratyczna organizacja skupiająca niewielką grupę ludzi, czym innym demokratyczne państwo, a czym innym Kościół, bo inny jest sposób przynależenia do tych społeczności. Otóż w Kościele jest przestrzeń na demokrację, nawet przy założeniu, że jego struktura nie jest demokratyczna.

Wielkie reformy Kościoła w ciągu wieków miały na celu powrót do pierwotnej myśli Założyciela, co, jeśli się nawet udało na miarę czasów, wymagało kolejnych reform. Reformy zawsze napotykają na opory. Działa tu obawa o zachowanie tożsamości Kościoła i niekoniecznie uświadomiony lęk o własną skórę.

Obecny czas jest szczególnie trudny. Odkrycie olbrzymiego zasięgu nadużyć wydaje się stawiać organizację Kościoła pod wielkim znakiem zapytania. Pomysł – zresztą nigdy nie przypisywany Chrystusowi – bezżenności kleru okazał się furtką do nadużyć. Czy należy go bronić za wszelką cenę? Można przytaczać inne, mniej spektakularne błędy: przemieszanie kultu z magicznym traktowaniem wiary, szarą strefę finansową Kościoła, sprawowanie ziemskiej władzy przez duchownych, zaliczanie do grzechów zachowań, które są czymś zupełnie naturalnym, nie mówiąc o problemach bardziej zawikłanych, jak zmiana płci u osób, które psychicznie nie są w stanie pogodzić się ze swoim fizycznym *status quo*.

Jest jakiś zestaw prawd wiary, które muszą przekraczać zwykły porządek rzeczy. Tak jest w odniesieniu do Syna Bożego, do Jego Matki. Nie spieramy się ani o poczęcie Jezusa, ani o dziewictwo Matki, nawet jeśli (dziś) nie jest to potrzebne dla naszej wiary. Właśnie wiara dopuszcza niezwykłe ingerencje Boże. Nawet jeśli nie spieramy się o nadzwyczajne wydarzenia w życiu ludzi świętych (można w nie wierzyć, można nie wierzyć), to dlatego, że zostawiamy wolną przestrzeń dla działań Boga albo dla nadzwyczajnych możliwości ludzi świętych (lub nawet nie świętych!), nie traktując tego jako miary świętości człowieka.

Obraz Kościoła tworzył się w ciągu stuleci. Seminaria, związki księdza z diecezją, częsta, choćby wielkanocna spowiedź, finansowanie i w ogóle utrzymanie kościoła, stosunek do osób bez sakramentalnego ślubu, niewolnictwo, układ klasowy społeczeństwa, miejsce kobiety w rodzinie i społeczności itd. – to wszystko ewoluowało, a ewolucja ta miała ścisłe związki z układami sił w samym Kościele. Co jest charakterystyczne i dziś godne szczególnej uwagi, to fakt, że z tymi powiązaniami, zależnościami i często niesprawiedliwościami w konflikcie byli ludzie święci. Nie zawsze, nie wszyscy i nie we wszystkim, lecz właśnie ludzie święci wiedzieli, że w tym punkcie (punktach) jest coś niedobrze albo wręcz źle.

Mówią ludzie mądrzy, że do myśli Jezusa Chrystusa wciąż się zaledwie przybliżamy. Obserwacja historii pokazuje, z jakim trudem nam to przychodzi. Jedno jest pewne: że kształt dzisiejszego Kościoła wciąż daleki jest od myśli Założyciela i wciąż potrzebne mu jest sprawdzanie, czy idziemy w dobrym kierunku. Czyli – niewygodnym.

Takie myśli przyszły do mnie na 4 czerwca, święto polskiej demokracji. Również – święto spotkania polskiego Kościoła z demokracją.

©℗

TYGODNIK POWSZECHNY

Anna Goc z Nagrodą im. Ryszarda Kapuścińskiego!

Nasza autorka otrzymała za książkę „Głusza" najważniejszą polską nagrodę literacką dla reportażu.

Serdecznie gratulujemy!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

20 Tajemna konstytucja
KLAUS BACHMANN
Niby nikt nie zna zbioru zasad, który kieruje życiem politycznym w naszym państwie. Cały establishment jednak go przestrzega, nawet wtedy, kiedy nie przynosi mu to korzyści.

30 Fala zgłoszeń
ROZMOWA Z KS. PIOTREM STUDNICKIM, KIEROWNIKIEM BIURA DELEGATA KEP DS. OCHRONY DZIECI I MŁODZIEŻY:
Jeszcze kilka lat temu usłyszałem opinię, że nas ochronił komunizm, bo wpływy Zachodu były mniejsze, a poza tym Kościołowi zabrano katechizację w szkołach, więc księża mieli mniejszy dostęp do małoletnich.

54 Weź badaj
JUSTYNA KIERAT
Coraz więcej amatorów przyrody dzieli się swoimi obserwacjami z naukowcami za pośrednictwem specjalnych platform. Dzięki tak działającej nauce obywatelskiej odkrywano już nawet gatunki.

60 Powrót do milczenia
RYSZARD KOZIOŁEK
Już dawno tak bardzo nie zastanawiało mnie to, czego nie zrobiłem. Otóż nie zobaczyłem wystawy malarstwa Vermeera w Amsterdamie. I już nie zobaczę, 4 czerwca zostanie zamknięta.

66 Głos, który topił winyle
ANNA GACEK
David Bowie wpadł do wytwórni Capitol, mówiąc: „Macie u siebie moją ulubioną artystkę". Tina Turner miała wtedy trzydzieści siedem lat i kilkadziesiąt centów w gotówce.

76 Po co są Alpy
BARTEK DOBROCH
Nie wiem, czy warto ryzykować, by stanąć na wierzchołku góry. Na pewno warto przeżyć przygodę, z którą wiąże się wejście w jej zimny świat, obojętny wobec ludzkich zamiarów.

ANDRZEJ IWAŃCZUK / REPORTER // MARCIN MAZUR / BP KEP / MATERIAŁY PRASOWE // JENS UMBACH / LAIF / FORUM // BARTEK DOBROCH // PAUL BERGEN / GETTY IMAGES // MICHEL PORRO / GETTY IMAGES

6 Zaczyna się nowy etap wojny
WOJCIECH PIĘCIAK

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

20 Tajemna konstytucja
KLAUS BACHMANN

24 Mieszkanie na minus
PIOTR WÓJCIK: *Rewolucja mieszkaniowa PiS poniosła klęskę*

26 Smartfon zamiast szczoteczki
ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK: *Państwo inwestuje w zęby Polaka 52 zł rocznie*

■ ■ WIARA

30 Fala zgłoszeń
ROZMOWA Z KS. PIOTREM STUDNICKIM

34 Odkrywanie Klawittera
STANISŁAW ZASADA *o zapomnianej sztuce Efrema Marii z Kcyni*

38 Czołg i krzyż
MACIEJ MÜLLER *o nowej książce ks. prof. Michała Hellera*

■ ■ ŚWIAT

40 Tragedia, która wstrząsa Serbią
MARTA SZPALA: *Reakcja władz na masowe strzelaniny ukazała charakter reżimu*

TEMAT TYGODNIKA

MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP"

12 Już nie trzeba kombinować
MARCIN ŻYŁA
Kiedy Olga Drenda pyta ludzi o rok 1989, odpowiadają: „wtedy wszystko się zmieniło". Ale właściwie – co dokładnie?

■ DODATKI ■

58 VIVAT WRATISLAVIA!
74 MAŁOPOLSKIE ORNAMENTY

■ FELIETONY ■

29 TOMASZ STAWISZYŃSKI **39** ZUZANNA RADZIK
57 ELIZA KĄCKA **80** OLGA DRENDA **81** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ **82** BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE:
OLGA DRENDA, MAJ 2023 R.
ZDJĘCIE: MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP"

Redaktorka prowadząca: EWELINA BURDA

44 To nie jest (k)raj dla kobiet
MARTYNA WASIUTA *o czeskiej polityce i społeczeństwie*

47 Ochotników już nie ma
PAWEŁ PIENIĄŻEK Z UKRAINY: *Jak nie trafić na wojnę? Jedni uciekają za granicę, inni ukrywają się w kraju*

■ ■ HISTORIA

50 Anna w obliczu zła
PIOTR SAUTER-ZAWADZKI: *Czy dwudziestolatka uległa presji i wpisała się na Volkslistę? Oto historyczno-rodzinne śledztwo*

■ ■ NAUKA

54 Weź badaj
JUSTYNA KIERAT

■ ■ KULTURA

60 Powrót do milczenia
RYSZARD KOZIOŁEK

66 Głos, który topił winyle
ANNA GACEK

68 Jaka śmieszna afera
JAKUB MAJMUREK *o serialach przyglądających się Watergate*

72 Włóczędzy i ostańce
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Osiem gór"*

73 Energia miłości
LEKTOR *o książce Renaty Lis „Moja ukochana i ja"*

■ ■ ZMYSŁY

76 Po co są Alpy
BARTEK DOBROCH

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Anna Dymna w Podkaście Powszechnym
Wychodząc na scenę, mogę oczyścić organizm ze wszystkich złych emocji, które na użytek sztuki w sobie budzę – mówi aktorka | **TygodnikPowszechny.pl/podkast**

Arkadag: więcej niż drużyna
Choć to dopiero połowa piłkarskiego sezonu Turkmenii, już dziś można założyć, że mistrzem kraju zostanie drużyna nosząca imię jedynowładcy – pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** | **TygodnikPowszechny.pl/stronaswiata**

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

ZACZYNA SIĘ NOWY ETAP

Kolejne ukraińskie ataki na cele w Rosji są częścią przygotowań do kontrofensywy. Jej wynik zadecyduje co najmniej o przebiegu tej fazy wojny.

WOJCIECH KONOŃCZUK

POWYŻEJ:
Pilot ukraińskich sił powietrznych. Baza lotnicza we wschodniej Ukrainie, 4 maja 2023 r.

„Ukraino, ukochany kraju. Panie, Ojcze Nasz Niebiański, pobłogosław nas". Tak zaczyna się minutowy film, który w sobotę opublikował w sieciach społecznościowych gen. Wałerij Załużny, głównodowodzący ukraińskiej armii. Sam dodał tylko jednozdaniowy komentarz: „Przyszedł czas, aby odzyskać to, co należy do nas".

Czy to zapowiedź zbliżającej się kontrofensywy wojsk ukraińskich? Najprawdopodobniej, choć jej dokładny czas i miejsce nie są upubliczniane. Otwarte pozostają pytania o ukraińskie intencje, skuteczność, siłę uderzenia oraz o reakcję rosyjską. Nie ma wątpliwości, że ukraińskie kontruderzenie będzie niezwykle ryzykowne i w każdym wariancie – pozytywnym i negatywnym dla Ukrainy – zdecyduje co najmniej o przebiegu tej fazy wojny.

Na razie Ukraińcy nie przestają zaskakiwać Rosji. 22 maja niemal stuosobowy oddział żołnierzy Rosyjskiego Korpusu Ochotniczego i Legionu „Wolność Rosji" zaatakował przygraniczne miejscowości obwodu brańskiego w Rosji. Obie formacje są częścią Sił Zbrojnych Ukrainy, ale ich członkowie rekrutują się z obywateli rosyjskich. Wykorzystując efekt zaskoczenia oddział poruszający się kil-

koma pojazdami opancerzonymi wtargnął kilka kilometrów w głąb Rosji i działał tam kilkanaście godzin. Miejscowe władze wprowadziły reżim operacji antyterrorystycznej, wielu zaś mieszkających tam Rosjan uznało, że najlepszym wyjściem będzie ucieczka.

Ukraińska operacja dywersyjna stała się dużym problemem wizerunkowym dla Kremla. Od ponad piętnastu miesięcy armia rosyjska nie tylko nie może sobie poradzić z „denazyfikacją i demilitaryzacją" Ukrainy, ale nie jest też w stanie ochronić własnego terytorium. Propaganda rosyjska ogłosiła „całkowite zniszczenie ukraińskich dywersantów" (którzy *de facto* zrobili swoje i zdążyli się wycofać), ale na wszelki wypadek wolała przemilczeć, że rajdu dokonali obywatele Rosji w służbie ukraińskiej.

Nie był to ani pierwszy, ani ostatni tego typu atak. 25 maja doszło do podobnego rajdu na inną przygraniczną rosyjską miejscowość. Efektem akcji dywersyjnej była konieczność przegrupowania przez Rosję kilku tysięcy żołnierzy rozmieszczonych wcześniej na bezpośrednim zapleczu frontu w Donbasie. Nie mniej ważny jest wpływ psychologiczny na społeczeństwo rosyjskie. Przynajmniej ta jego część, która zachowuje zdolność do krytycznego myślenia, otrzymała sygnał, że władze nie są w stanie zapewnić bezpieczeństwa ze strony państwa, które Rosja miała rozbić w kilka dni.

Ukraińcy coraz regularniej atakują cele na głębokim zapleczu Rosji. Dotyczy to m.in. węzłów kolejowych, składów broni, baz paliwowych i rafinerii. To również część ukraińskich przygotowań do kontruderzenia. Choć skutki niektórych Rosjanie są w stanie neutralizować, to innowacyjność Ukraińców budzi nieskrywane uznanie ze strony nawet twardych putinistów. Przykładem niech będzie ostatni „programowy" wywiad Jewgienija Prigożyna, szefa Grupy Wagnera, który niezwykle krytycznie ocenił przebieg rosyjskiej inwazji. „Przyszliśmy [na Ukrainę – WK] po chamsku, przeszliśmy buciorami po jej terytorium w poszukiwaniu nazistów. Póki szukaliśmy nazistów, zraziliśmy do siebie wszystkich, których mogliśmy (...) Jakoś nic się u nas nie składa". Po publicznej pochwale wagnerowców ze strony Putina za zdobycie Bachmutu polityczne akcje Prigożyna poszły w górę – choć znajduje się on w otwartym konflikcie z ministrem obrony Siergiejem Szojgu i szefem sztabu generalnego gen. Wałerijem Gierasimowem, których krytykuje używając słów powszechnie uznawanych za mocno obraźliwe. Ten otwarcie rysujący się podział w rosyjskim sektorze obrony może Ukraińców jedynie cieszyć.

Wysyłając różne sygnały co do kontrofensywy Kijów prowadzi skuteczne zabiegi o pozyskanie zachodnich myśliwców. Wszystko wskazuje na to, że decyzja polityczna w tej sprawie już zapadła, nawet jeśli w przypadku kluczowego państwa, czyli Stanów Zjednoczonych, wciąż nie ma podpisu prezydenta Joe Bidena. Niebawem ma się rozpocząć szkolenie ukraińskich pilotów, a w skład „koalicji szkoleniowej" weszły już Dania, Holandia, Polska, Belgia, Norwegia i Portugalia. Sytuacja wokół myśliwców pokazuje, że kolejne tabu co do dostaw zachodniego sprzętu zostało przełamane (podobnie jak w przeszłości tabu wobec himarsów, patriotów czy zachodnich czołgów). Pierwsze myśliwce Ukraina otrzyma jednak najwcześniej jesienią, co oznacza, że udziału w kontrofensywie nie wezmą.

Wróćmy do wspomnianego wywiadu Prigożyna, który w przypływie szczerości powiedział: „Zrobiliśmy Ukraińców narodem znanym na całym świecie. Legitymizowaliśmy Ukrainę (...) dzisiaj to jedna z najsilniejszych armii świata (...) Wszystko podporządkowali osiągnięciu najważniejszego celu, podobnie jak my w czasie II wojny światowej".

Realistycznie należy jednak przyznać, że wynik wojny nie jest przesądzony. Ukraińcy mają w niej szanse na sukces, co uzależnione będzie nie tylko od ich determinacji, ale i dalszego wsparcia z Zachodu. I nie dość powtarzać: Rosja jest słabsza, niż się wydaje. ©

LIBKOS / AP / EAST NEWS

Polowanie na Tuska

MAREK KĘSKRAWIEC

Andrzej Duda podpisał ustawę, która powołała do życia sejmową komisję mającą zbadać rosyjskie wpływy w Polsce w latach 2007-2022. Ustawa wyposaża posłów w uprawnienia prokuratorskie i sądowe: pozwala karać za niestawienie się na przesłuchaniu grzywną do 50 tys. zł, a nawet zlecać prokuraturze doprowadzenie świadka. Ostateczną decyzją może być uniemożliwienie pełnienia funkcji publicznych aż na 10 lat, i to bez możliwości zaskarżenia. Co prawda prezydent twierdzi, że zapisy pozwalają na skorzystanie z drogi sądowej, ale wielu prawników uważa inaczej.

Ustawa wejdzie w życie tuż po opublikowaniu, choć z powodu podnoszonych wątpliwości Duda odeśle ją do Trybunału Konstytucyjnego, który będzie mógł wydać wyrok w składzie pięcioosobowym, omijając paraliż związany z buntem części sędziów. Trudno oczekiwać, by sędziowie wskazani przez Julię Przyłębską zaskoczyli wyrokiem. Tzw. lex Tusk zapewne stanie się więc najmocniejszym orężem PiS w tegorocznej kampanii. Spodziewajmy się transmisji z prac komisji, czerwonych pasków w TVP i nieustannych oskarżeń wobec byłego premiera i całej PO. Część komentatorów uważa, że celem jest wyeliminowanie z wyborów lidera opozycji, ale moim zdaniem PiS-owi bardziej chodzi o nieustanne straszenie go, odbieranie pewności siebie i energii. „Skazanie" Tuska wymagałoby ekspresowej pracy w stylu sądu kapturowego (PiS planuje pierwszy raport komisji symbolicznie, 17 września) i zrobienia z niego ofiary, co stałoby się wodą na sondażowy młyn opozycji. Próba eliminacji Tuska z polityki przed jesiennymi wyborami byłaby przecież zaproszeniem do przeniesienia polityki na ulicę. Ostatnie takie doświadczenie PiS-u, czyli potężne protesty po wyroku TK w sprawie aborcji, kazały tej partii pożegnać się z poparciem regularnie przekraczającym 40 proc. Jeśli Kaczyński zechce to doświadczenie powtórzyć, znowu poniesie klęskę. Polska nie jest krajem, w którym można łatwo zaprowadzić dyktaturę oraz bezkarnie wysłać na politycznych demonstrantów oddziały policji.

Ostateczną decyzję co do losów Tuska podejmie oczywiście prezes PiS w zależności od tego, jakie nastroje społeczne wykreuje komisja. Jednak już ze słów prezydenta, który mówił o tym, że Polakom należy się transparentne wyjaśnienie sprawy w obliczu kamer, a nie na zamkniętej sali sądowej – wynika, że możemy spodziewać się gorących igrzysk. Duda wspomniał o próbach zakupu przez Rosjan Azotów i Lotosu, pojawi się też pewnie kwestia umowy z Gazpromem, którą negocjował Waldemar Pawlak. Cel jest dość jasny: kampania ma przebiegać w cieniu domniemanego spisku, a nie kryzysu gospodarczego. ©℗

Przemyśleć lasy na nowo

STAN LASÓW W POLSCE i sposób, w jaki są zarządzane, stały się źródłem wielu zmartwień, ale sytuacja ma też ukryty atut. Ponad 80 proc. lasów w kraju należy do jednej firmy – Lasów Państwowych, którą dużo łatwiej zreformować niż rozdrobnioną własność prywatną. Pomysł na zmiany zaprezentowali przedstawiciele organizacji przyrodniczych podczas konferencji w Sejmie 23 maja. Postulaty można ująć w czterech słowach: ochrona, kontrola, pieniądze i jeszcze raz pieniądze.

Ochrona: według tej wizji 20 proc. polskich lasów do 2030 r. ma być wyłączonych z gospodarki (dziś to poniżej 5 proc.). To przede wszystkim tereny cenne przyrodniczo (od lat postuluje się tworzenie nowych parków narodowych) i lasy górskie, bo tam do wycinki LP muszą dziś dopłacać. Ważniejsza jest funkcja przyrodnicza, społeczna i retencja wody, którą zapewniają te tereny. Nie oznacza to, że będziemy produkować 15 proc. drewna mniej. W lasach czysto gospodarczych można (jak w wielu krajach Europy) obniżyć wiek wyrębu niektórych gatunków drzew.

Kontrola: trzeba wdrożyć wyrok TSUE, na mocy którego musi istnieć możliwość zaskarżania planów urządzenia lasu (dokumentu określającego, co i kiedy ma być wycinane i sadzone). Należy to zrobić tak, by zapewnić społeczną kontrolę, ale nie sparaliżować pracy leśników. Organizacje przyrodnicze proponują jeszcze powołanie społecznej rady przy LP i zwiększenie nadzoru Ministerstwa Środowiska, bo dziś LP nie bez przyczyny są nazywane „państwem w państwie".

Pieniądze pojawiają się dwa razy. Są te, które LP (dochodowe przedsiębiorstwo, zarządzające prawie jedną czwartą powierzchni Polski) wpłacają do budżetu. Dziś to około 700 mln zł rocznie, czyli kilkukrotnie mniej w przeliczeniu na hektar niż odpowiedniki ze Słowacji, Niemiec czy Czech. Do budżetu z LP powinny więc trafić większe fundusze na ochronę przyrody. Drugi strumień pieniędzy, którego uregulowanie postulują przyrodnicy, to olbrzymie koszty LP, tysiące administracyjnych etatów i Fundusz Leśny, z którego wydatki są często realizowane według politycznych instrukcji i służą potrzebom nie lasów, tylko np. kampanii wyborczej.

©℗ KRZYSZTOF STORY

KRAJ W SKRÓCIE

Z WARSZAWY

„Rzeczpospolita nie może sobie pozwolić na to, by obóz patriotyczny te wybory przegrał" – napisał Jarosław Kaczyński w liście do uczestników Zjazdu Klubów „Gazety Polskiej" Europy Zachodniej, dodając, że wygrana „totalnej opozycji" oznaczałaby „koniec Polski".

PRZEZ MOSKWĘ

Obóz patriotyczny (przypomnijmy) w rozumieniu Kaczyńskiego to formacja oficjalnie zwana Zjednoczoną Prawicą, choć toczona konfliktem między stronnikami lidera PiS a zwolennikami Zbigniewa Ziobry. Jej oponenci z kolei, krytykując szefa MON Mariusza Błaszczaka, „biorą udział w akcji sprzyjającej Moskwie". „Jestem zmuszony traktować pana jako przedstawiciela Kremla" – powiedział Jarosław Kaczyński do dziennikarza TVN podczas konferencji prasowej pod murem przy granicy z Białorusią, zastrzegając uprzejmie, że to nie jest żadna osobista uwaga. „Bo tylko Kreml chce, żeby ten pan [mówca wskazał na Błaszczaka] przestał być ministrem obrony narodowej".

DO BERLINA

Czasami jednak w rozważaniach prezesa PiS Moskwa zamienia się w Berlin. W cytowanym już liście pisze, że głównymi przeciwnikami rozwoju Polski są „różne zagraniczne ośrodki, z Berlinem na czele".

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA"
co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w Radiu Tok FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
95,2 FM Gdynia
95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole
97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice
97,7 FM Poznań – **www.tokfm.pl**

Nadzieja prezesa Glapińskiego

MAREK RABIJ

Czy w Polsce działa jeszcze niezależny bank centralny, o którym wspomina konstytucja? Tak sformułowane pytanie nie ma, niestety, nic wspólnego z publicystycznym harcownictwem. W kontekście ostatnich wypowiedzi szefa NBP wręcz ciśnie się na usta.

Prezes Adam Glapiński przedstawił właśnie opinii publicznej efekty prac działu badawczego NBP. Z pozoru rzecz normalna, bo takich raportów analitycy banku centralnego dostarczają systematycznie. Tym razem pod ich lupę trafiły jednak obietnice wyborcze obozu rządzącego oraz opozycyjnej Platformy Obywatelskiej. Zdaniem ekspertów NBP realizacja zgłoszonych dotąd w kampanii propozycji PiS skutkowałaby podbiciem wskaźnika inflacji konsumenckiej (CPI) o 0,1 pkt. proc. w 2024 r. i 0,3 pkt. proc. w 2025 r. W przypadku obietnic PO – odpowiednio 0,3 pkt. proc. i 0,8 pkt. proc. Koszt obietnic PiS oszacowano na 26-27 mld zł rocznie w latach 2024-2025 (0,7 proc. PKB). W propozycji PO to ok. 88-93 mld zł rocznie (2,4 proc. PKB). Słowem – obie strony chcą kupić sobie wyborców, ale z publicznej kasy partia rządząca zamierza wydać na ten cel mniej od opozycji. Wnioski wyciągnij sobie, wyborco, sam.

Mniejsza o metodologię, choćby pominięcie propozycji innych partii. Oburzający jest sam fakt, że zobowiązany do trzymania się z dala od polityki NBP pozwala sobie na ocenę kosztów trwającej właśnie kampanii. To rzecz bez precedensu, która nie miała prawa się zdarzyć. Problem w tym, że prezes banku centralnego notorycznie robi ostatnio rzeczy, których nie powinien. I nie robi tego, co do niego należy.

W roku wyborczym NBP praktycznie przestał np. posługiwać się konkretem w postaci celu inflacyjnego na poziomie 2,5 proc., jaki wyznacza mu ustawa o banku centralnym. Z wypowiedzi Adama Glapińskiego wynika, że zbicie jej dynamiki poniżej 10 proc. będzie już wielkim sukcesem. Trudno oczywiście oczekiwać, że w niecały rok komukolwiek uda się obniżyć ją do ustawowego poziomu z obecnych 14,7 proc. bez jednoczesnego uśmiercenia gospodarki taką kuracją. Chodzi o to, żeby na międzynarodowych rynkach walutowych nasz bank centralny nie miał opinii gracza, którego strategia sprowadza się do wygranej PiS w kolejnych wyborach.

Tymczasem na rynku nie brak dziś opinii (w tym pochodzących od poważnych graczy), że NBP obniży stopy procentowe jeszcze przed wyborami. Zdaniem Glapińskiego będzie to możliwe, jeśli inflacja zacznie wyraźnie spadać, a NBP będzie ją mieć pod kontrolą. W zasadzie może to więc nastąpić nawet dzisiaj. ©℗

TJ BADE / AP / EAST NEWS

FREETOWN BEZ DRZEWA SYMBOLU. Było tak charakterystyczne, że znajdujące się obok muzeum narodowe używało go w adresie zamiast ulicy. Ale ważniejsza była pamięć – to pod tym drzewem bawełnianym, dziękując za odzyskaną wolność, modlili się kiedyś powracający z Ameryki dawni niewolnicy. Czterystuletnie, wysokie na 15 metrów drzewo, które rosło w centrum Freetown, stolicy Sierra Leone, zniszczyła 24 maja 2023 r. silna tropikalna burza. Zdjęcie wykonano następnego dnia. ©℗ ŻYM

Niemiecka prokuratura przeciw aktywistom

JAK DALEKO można się posunąć w walce o tzw. słuszną sprawę? Po brytyjskiej Just Stop Oil działalność kolejnej organizacji ekologicznej stała się przedmiotem kontrowersji – tym razem w Niemczech. 24 maja policja dokonała przeszukań w mieszkaniach członków Letzte Generation (Ostatniego Pokolenia). Nikogo nie aresztowano, jednak siedmiu osobom – wszyscy z nich są poniżej trzydziestki – zarzuca się organizowanie zbiórki pieniędzy na działalność przestępczą. Dwójka innych członków Letzte Generation jest też podejrzana o próbę sabotażu ropociągu prowadzącego z włoskiego Triestu.

Organizacja stała się znana w 2021 r., kiedy jej członkowie prowadzili strajk głodowy pod Bundestagiem, domagając się rozmów z politykami. Rok później w poczdamskim muzeum obrzucili pomidorami obraz Claude'a Moneta. W styczniu 2023 r., podczas protestu przeciw powiększeniu kopalni węgla w Lützerath, zatrzymano na krótko słynną aktywistkę klimatyczną Gretę Thunberg. Z kolei ostatnie tygodnie to w Berlinie i innych miastach kraju niemal codzienne doniesienia o blokowaniu przez Letzte Generation skrzyżowań i ulic. Zdaniem członków organizacji walka o klimat wymaga od aktywistów działań radykalnych. Jednak większość Niemców (według ankiety tygodnika „Der Spiegel" aż 79 proc.), także krytykujących politykę rządu w tej sprawie, potępia taki sposób działania. Za przynoszący więcej szkody niż pożytku uznali go też Zieloni.

Kanclerz Niemiec Olaf Scholz odmówił odniesienia się do akcji policji. Wspierana głównie przez skrajną lewicę Letze Generation oskarża polityka o jej sprowokowanie wcześniejszymi komentarzami. Niezależnie od prawdziwości tych zarzutów (Scholz, owszem, uznał radykalne protesty za „szalone", lecz głównie mówił o ich nieskuteczności) cała sprawa – kolejna tego typu w Europie – pokazuje, jak szybko nakręca się spirala radykalizmu. Pośród pierwszych żądań organizacji Letze Generation były m.in. utrzymanie na stałe wakacyjnej oferty komunikacji publicznej (9 euro za bilet miesięczny na całą sieć) oraz ograniczenie prędkości na autostradach.

©℗ MARCIN ŻYŁA

DR MICHAŁ PALUCH, PEDAGOG:

Słowa, które ocalają

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: „Słownik wyrazów ratujących życie" – to tytuł zredagowanej i współtworzonej przez Pana, a ogłoszonej właśnie przez Wydawnictwo Naukowe UKSW polsko-ukraińskiej pracy zbiorowej. Jak powstała?

MICHAŁ PALUCH: Pomysł zrodził się przy okazji moich kontaktów z nauczycielami, psychologami i terapeutami z obu państw w ramach krajowego Programu Wsparcia Psychologiczno-Pedagogicznego, mającego pomóc w radzeniu sobie ze skutkami pandemii i wojny w polskich szkołach. Do końca października ubiegłego roku zbieraliśmy hasła. Świadectwa przesyłały dzieci z przedszkoli, szkół, studenci, nauczyciele, pedagodzy, psycholodzy i terapeuci, ale również uczestnicy wojny, np. żołnierz z Bachmutu.

Jakie to słowa?

Np. „człowieczeństwo" z pierwszego listu, jaki dostaliśmy. Jego autorka osadziła to słowo w kontekście wiersza Tadeusza Różewicza „Ocalony". Jednymi z pierwszych haseł były też: „pistolet", „piwnica" i „Polska". Po miesiącu mieliśmy 900 słów, kolejne 300 dodaliśmy w trakcie redagowania „Słownika". Bardzo inspirują łańcuchy znaczeń dające się wyłonić z całości. Jak te dotyczące przestrzeni dotyku: intymność, czułość, serdeczność, łagodność, tulenie, uścisk.

Słownik zawiera też zbiór 45 esejów i 33 analiz pojęć kluczowych autorstwa pedagogów, psychologów i językoznawców.

Chodziło o wspólny wysiłek duchowo-intelektualny na rzecz zdrowia psychicznego i dobrostanu egzystencjalnego kolejnych pokoleń. Okres wczesnego powojnia, który przecież nastąpi, jest jak wyjątkowo żyzna gleba, na której wyrośnie wszystko, co w niej zasiejemy. Metafora pielęgnacji ogrodu jest tu właściwa. Jest on teraz zniszczony, zaminowany, nasiąknięty łzami i krwią. Słownik jest nośnikiem tych dobrych nasion, kwiatów, ziół, zbóż, drzew. Przemawia językiem ogrodu – jest to język nieśpieszny i cierpliwy. ©℗

ARCHIWUM PRYWATNE

DR MICHAŁ PALUCH *jest pedagogiem, adiunktem na Wydziale Nauk Pedagogicznych UKSW. „Słownik" można pobrać ze strony Wydawnictwa Naukowego UKSW.*

Trudne słowo tolerancja

DWUDNIOWE OBCHODY związane z Międzynarodowym Dniem Przeciwdziałania Homofobii, Bifobii i Transfobii (IDAHOBIT) odbyły się w Łodzi 27 i 28 maja. – W konsekwencji hejtu, jaki miał miejsce po niedawnym nabożeństwie w Warszawie, kilka osób odwołało przybycie – stwierdził Mariusz Ławnik, prezes Stowarzyszenia Tęczowi Społecznicy, organizatora obchodów. Prof. Jakub Slawik z Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej wygłosił wykłady o współczesnym rozumieniu podejścia Pisma św. do homoseksualności. Na niedzielę zaplanowano nabożeństwo ekumeniczne, zabrakło jednak duchownego katolickiego (w poprzednich latach w spotkaniach uczestniczył m.in. rektor łódzkiego seminarium ks. Sławomir Sosnowski). Podczas nabożeństwa przeprowadzono obrzęd obmycia nóg uczestnikom.

W poprzednim tygodniu głośnym echem odbiło się warszawskie nabożeństwo IDAHOBIT, które prowadzili ks. Michał Jabłoński z Kościoła ewangelicko-reformowanego, ks. Halina Radacz z Kościoła ewangelicko-augsburskiego i dominikanin o. Maciej Biskup. „Chrystusa rani śmiertelnie każde odebrane sobie życie z powodu nietolerancji, szykan, wyśmiania, marginalizowania, ideologizowania" – mówił dominikanin w kazaniu. Udział o. Biskupa spotkał się z protestami m.in. aktywistki Kai Godek i krakowskiej kuratorki oświaty Barbary Nowak, próbujących wywrzeć presję na przełożonych zakonnika.

Nabożeństwa w ramach IDAHOBIT od dekady odbywają się w kościele ewangelickim św. Marcina w Krakowie, jednak oficjalnie nie wziął w nich do tej pory udziału żaden ksiądz katolicki. Natomiast w Poznaniu od 2015 r. organizuje je Reformowany Kościół Katolicki we współpracy z lokalną Wiarą i Tęczą.

© DAWID GOSPODAREK

ORTHODOX CHRISTIANITY / MATERIAŁY PRASOWE

Zaklinanie zwycięstwa

W CZASIE WOJNY z Ukrainą Cerkiew stała się dla Kremla narzędziem politycznym. Patriarcha Cyryl błogosławi żołnierzy i nakazuje odmawiać „Modlitwę za Świętą Ruś" – błaganie o zwycięstwo. Ale to zwycięstwo nie przychodzi ani na polu walki, ani w polityce. Putin próbuje je „kupić", rozdając prezenty Cerkwi. Jednym z nich ma być „Trójca" Andrieja Rublowa, ikona przechowywana w Galerii Tretiakowskiej, jeden z najcenniejszych rosyjskich zabytków. (na zdj. ikona wystawiona w ławrze św. Sergiusza w sierpniu 2022 r.). Przedstawieni na niej trzej aniołowie symbolizują jednię Trójcy Przenajświętszej. Kompozycja odczytywana jest też jako wezwanie do jedności Świętej Rusi. Zdaniem eksperta związanego z Cerkwią, „Święta Ruś jest jedna – Wielka, Mała i Biała jak Święta Trójca. Zwrot ikony Cerkwi spowoduje mobilizację narodu rosyjskiego. Prezydent i patriarcha podjęli historyczną decyzję".

Decyzja napotkała jednak opór środowiska naukowców. Ich zdaniem przeniesienie ikony do podmoskiewskiej ławry Troicko-Siergijewskiej, gdzie nie ma odpowiednich warunków przechowywania, doprowadzi do jej dewastacji.

Patriarcha zaprzeczył, jakoby prosił o przekazanie ikony Cerkwi: to Putin miał podjąć taką decyzję w odpowiedzi „na liczne prośby wiernych" (nie opublikowano ani takich głosów, ani decyzji prezydenta). Ikona będzie na razie (od 4 czerwca) przez dwa tygodnie wystawiona w katedrze Chrystusa Zbawiciela. Przeciwstawiający się temu duchowny, protojerej Leonid Kalinin, został przez patriarchę pozbawiony wszystkich funkcji, m.in. członka rady ds. kultury przy patriarsze. Zaklinanie zwycięstwa okazuje się ważniejsze.

© ANNA ŁABUSZEWSKA

Religia żyje, chrześcijaństwo umiera?

PIOTR SIKORA

Wyniki badań nad religijnością w 26 państwach świata opublikował Ipsos, jeden z kilku największych światowych instytutów badania opinii publicznej. W zbadanych państwach (niestety nie ma wśród nich krajów arabskich i Afryki, poza RPA) dwie trzecie osób przyznaje się do jakiejś religii. Wynik ten jest najwyższy w Indiach i Tajlandii (odpowiednio 99 i 98 proc.). Najniższy w Japonii (42 proc.) i Korei Południowej (44 proc.). Polska z wynikiem 76 proc. mieści się w środku stawki jako najbardziej religijny ze zbadanych krajów Europy.

Najciekawsze w opublikowanych badaniach są wyniki dotyczące tendencji sekularyzacyjnych. Wyraźnie widać radykalną laicyzację społeczności chrześcijańskich, gdzie pokolenie urodzone przed rokiem 1965 (*baby boomers*) jest znacznie bardziej religijne niż generacja urodzona po roku 1997 (*generation Z*) i później. Tam gdzie dominują inne religie – zwłaszcza islam – tendencja jest odwrotna: pokolenie Z jest nieco bardziej religijne niż boomersi.

Jeszcze ciekawsze są tendencje dotyczące wiary w Boga lub inną Siłę Wyższą. Młodsi są ogólnie bardziej wierzący niż starsi: 64 do 55 proc. Ale najciekawsze zróżnicowanie dotyczy wiary w Boga takiego, jaki jest opisany w świętych księgach tradycyjnych religii. Tam, gdzie ponad jedna trzecia społeczeństwa wierzy w Boga zgodnie z doktryną tradycyjnych religii, pokolenie Z jest mniej ortodoksyjnie wierzące niż boomersi. Tam zaś, gdzie ortodoksyjną wiarę wyznaje mniej niż jedna trzecia społeczeństwa, tam pokolenie Z wierzy bardziej ortodoksyjnie niż osoby najstarsze.

Gdyby pokusić się o jakieś wnioski (z zastrzeżeniem, że ich ważność ograniczona jest brakiem badań państw arabskich i afrykańskich), to sformułowałbym takie: po pierwsze spośród wielkich religii w największym kryzysie jest chrześcijaństwo. Po drugie ortodoksyjna wiara jest dla młodych atrakcyjna tam, gdzie ma wymiar kontrkulturowego sprzeciwu wobec niewiary starszych pokoleń. ©℗

KULTURA W SKRÓCIE

NAGRODA IM. KRÓLA DLA GEBERTA

Ogłoszono laureata tegorocznej Nagrody im. Marcina Króla za najlepszą opublikowaną w 2022 r. polską książkę z dziedziny historii idei i badań nad przyszłością, filozofii i myśli społecznej oraz politycznej, refleksji nad cywilizacją i kulturą. Otrzymał ją Konstanty Gebert za „Ostateczne rozwiązania. Ludobójcy i ich dzieło" (wyd. Agora). Nagroda została ustanowiona w ubiegłym roku przez Fundację Batorego.

ZŁOTA PALMA DLA TRIET

Na 76. Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Cannes Złotą Palmę otrzymała reżyserka Justine Triet za film „Anatomie d'une chute" – historię Sandry, Samuela i ich niewidomego syna Daniela. Rodzina mieszka na uboczu w górach. Kiedy Samuel zostaje znaleziony martwy przed domem, wszczęte zostaje śledztwo.

SKARBEK, CZYLI BRYTYJSKI SZPIEG

Tymczasem rozpoczęły się zdjęcia do filmu „Skarbek" w reż. Jamesa Marquanda. To międzynarodowa produkcja, która opowiadać będzie o Krystynie Skarbek, brytyjskim szpiegu i prawdopodobnie pierwowzorze pierwszej miłości agenta 007. Zdjęcia powstają także w Polsce, m.in. w twierdzy Modlin, Konstancinie-Jeziornej i Bystrzycy Kłodzkiej.

RDC POLSKIE RADIO

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM
Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM
Siedlce 103,4 FM

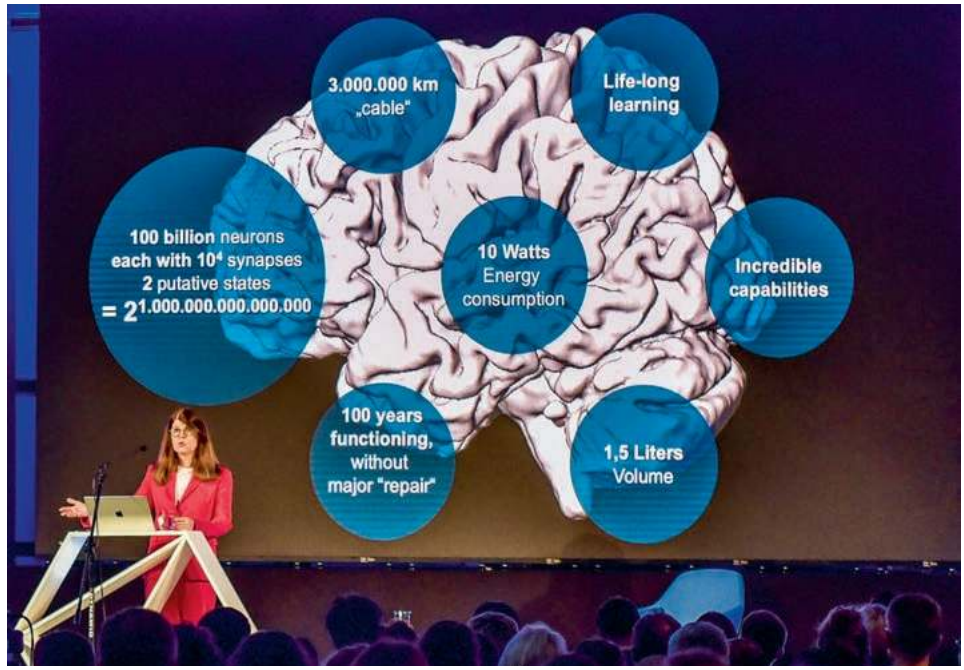

ADAM KOPROWSKI DLA COPERNICUS FESTIVAL

W ZNANE I NIEZNANE regiony kosmosu zabrali nas goście zakończonego w niedzielę Copernicus Festival. Arie Kruglanski mówił o tym, jak reagujemy na niepewność i dlaczego trudno nam zmieniać swoją wizję świata. Bernard Carr relacjonował poszukiwania ostatecznej teorii fizyki. Katrin Amunts (na zdjęciu) zaprezentowała najdoskonalszy cyfrowy model ludzkiego mózgu – najbardziej skomplikowanej struktury we wszechświecie. A David Grinspoon przekonywał, że życie musi być w kosmosie czymś powszechnym. Podczas dziesiątej edycji naszego festiwalu świętowaliśmy także 550-lecie urodzin Mikołaja Kopernika. Nagrania festiwalowych wykładów, debat i dyskusji są dostępne na kanale Copernicus na YouTubie. ©℗ ŁK

Detektory fal grawitacyjnych wznawiają działanie

KOSMICZNE KATASTROFY zaburzają strukturę czasoprzestrzeni, generując fale grawitacyjne. Choć ich istnienie przewidziano ponad sto lat temu, to dopiero w 2015 r. udało się je wykryć. Astronomowie pozyskali nowy sposób na badanie wszechświata – narodziła się astronomia fal grawitacyjnych.

Gdy w 2020 r. wyłączono amerykańskie bliźniacze detektory LIGO Hanford i LIGO Livingstone, lista zarejestrowanych fal grawitacyjnych zawierała prawie sto pozycji. Zdecydowana większość fal powstała podczas zderzeń czarnych dziur. W 2017 r. wykryto falę grawitacyjną pochodzącą od zderzenia bardzo gęstych gwiazd, zwanych gwiazdami neutronowymi. Temu zdarzeniu towarzyszył rozbłysk zaobserwowany przez kilkadziesiąt tradycyjnych, naziemnych i kosmicznych instrumentów. Detekcje tego typu należą do astronomii wielonośnikowej i są szczególnie cenne – m.in. pozwalają na bezpośrednie wyznaczenie odległości do miejsca zderzenia, co z kolei umożliwia weryfikacje standardowych, o wiele bardziej złożonych, metod pomiaru odległości.

24 maja razem z amerykańskimi detektorami LIGO na krótko uruchomiono ponownie japoński detektor KAGRA (czekają go dalsze poprawki). Europejski detektor Virgo w Pizie we Włoszech zostanie włączony po wakacjach. Wszystkie trzy urządzenia – LIGO, Virgo i KAGRA – to interferometry. Mierzą drobne zaburzenia czasoprzestrzeni za pomocą promienia lasera, który odbija się pomiędzy dwoma lustrami. Precyzja pomiaru sięga drobnych części rozmiaru protonu! Konstruktorzy, wprowadzając najnowsze usprawnienia, musieli zmierzyć się z niepożądanymi efektami kwantowymi.

Udoskonalone urządzenia umożliwią przetestowanie teorii grawitacji Einsteina z niespotykaną wcześniej precyzją. Astrofizycy przypuszczają, iż wykryte zostaną fale grawitacyjne, których źródłami są supernowe, czyli gwiazdy kończące swoje życie w spektakularnym wybuchu. Innym hipotetycznym źródłem są pulsary – wirujące z wielką prędkością gwiazdy neutronowe. Niewielkie nierówności powierzchni takich gwiazd mogą generować fale grawitacyjne w sposób ciągły. © SEBASTIAN SZYBKA

TEMAT TYGODNIKA

JUŻ NIE TRZEBA KOMBINOWAĆ

Kiedy Olga Drenda pyta ludzi o rok 1989, odpowiadają: „wtedy wszystko się zmieniło". Ale właściwie – co dokładnie?

MARCIN ŻYŁA

MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP"

ZACZNĘ TROCHĘ JAK KOMBATANT.

– Pamiętasz 4 czerwca 1989?

– Słabo. Pamiętam plakaty i transmisje Okrągłego Stołu. A ty?

– Lokal wyborczy. I że słońce świeciło.

– Widziałam „Wiadomości" z rozstrzelaniem Ceaușescu. To było dziwne, takie rzeczy po dobranocce. Babcia wyjaśniła, że był złym człowiekiem. Ale to było pół roku później. Miałam pięć lat.

– A ja dziesięć. Już wiedziałem, że był zły.

1 Pomysł jest prosty: razem z Olgą Drendą – antropolożką i pisarką, autorką „Duchologii polskiej" i „Wyrobów", książek o ludziach i wzornictwie ery transformacji – przejechać przez Górny Śląsk. Cel: popatrzeć na kraj w lustrze sprzed lat. Sposób: jak w filmie „Jazda" Jana Svěráka, który zaczynał się od słów: „Są drogi główne, po których jeżdżą bandyci i gliniarze. I są drogi boczne, którymi pojedziemy my".

Tyle że zamiast bocznych dróg poszukamy dziś opowieści. Zostawimy za sobą te znane: o „dzikiej prywatyzacji", „wojnie na górze" czy wycofaniu wojsk sowieckich. O Balcerowiczu i Kaszpirowskim.

Ale może lepiej wyjaśni to Olga: – Elizabeth Dunn, psycholożka społeczna, która zresztą w latach 90. pracowała w polskiej fabryce, twierdzi, że między bezpośrednim doświadczaniem wydarzeń a chwilą, gdy układają się one w zastygłą, nie zawsze prawdziwą opowieść, jest bardzo wąskie okienko. Kiedy pytam o rok 1989, ludzie odpowiadają: „wtedy wszystko się zmieniło". Ale to za mało. Ja chcę wiedzieć: jak przeżywali dzień?

„Z widokiem na niebo" – brzmi pierwsza odpowiedź. To tutaj – na przedmieściach Mikołowa, na osiedlu Reta, które miało się stać nowym centrum miasta, na górującym wśród zieleni wzgórzu, pod dziewięciopiętrowymi, nieładnie niszczejącymi tarasowcami – zaczyna się nasza wycieczka.

Mówi się o nich ironicznie: „piramidy Majów". Projekt Henryka Buszki i Aleksandra Franty, twórców osiedla Tysiąclecia w Katowicach, zatwierdzono jeszcze w PRL. Reta miała dorównać tamtemu założeniu. A nawet być bardziej imponująca. Skończyło się na dwóch wieżowcach. Projekt upadł w 1993 r. – bo upadł ustrój.

W blokach z wielkiej płyty mieszka do dziś ponad 10 mln Polaków. Do niedawna kojarzyły się głównie z absurdami, niczym z serialu „Alternatywy 4".

– Ale Reta była śmiałym, modernistycznym projektem, który dzięki tarasowemu układowi mieszkań miał zapewnić każdemu dostęp do przestrzeni, fragmentu nieba – mówi Olga. – Spróbuj przedłożyć taki projekt dzisiejszemu deweloperowi.

To już więcej niż nostalgia, dopowiadam. Niektóre miejsca-symbole PRL bronią się lepiej niż większość nowych inwestycji. Nową Hutę, kiedyś niechcianą siostrę Krakowa, preferują małżeństwa z dziećmi. Bo szerokie aleje, bo drzewa, bo nikt nikomu nie zagląda do okien.

Wspólna podróż po Górnym Śląsku potrwa tylko jeden dzień. Olgę niełatwo złapać, ciągle jest w trasie. Choć jeszcze niedawno punktem startowym jej wszystkich podróży była stacja kolejowa Mikołów Jamna. Przestrzennie najmoc-

Olga Drenda, maj 2023 r.

niej jest związana ze Śląskiem, czasowo – z okresem transformacji.

– Od kiedy w 2012 r. założyłam w internecie profil „Duchologia", właściwie żyję jedną nogą w tamtych czasach. Od początku zdumiewało mnie, jak „odległym krajem" jest dla nas taka niedawna przeszłość.

Szybko się orientujemy: to właśnie ta dekada, a nie żaden 4 czerwca, najbardziej uruchamia rozmowę. Po drodze do Tychów mijamy budynek z graffiti, to logo „gieksy", klubu GKS Katowice (Olga: „Kiedyś był tu portret Jima Morrisona"). Potem dom kultury („tu w 1998 r. odbył się pierwszy konwent anime, byłam na nim"). Drenda-nastolatka rozsiała swoje wspomnienia po całym regionie.

Bo Górny Śląsk to przecież wiele rzeczywistości. I wiele granic, bywa, że niewidocznych z Warszawy. Właśnie o nie chcę zapytać najpierw.

– To prawdziwy bigos – uśmiecha się Olga. – Górnośląsko-zagłębiowska metropolia zrzesza gminy śląskie i zagłębiowskie, w województwie śląskim znajdują się też ziemie bielska i żywiecka, Częstochowa, kawałek Małopolski. Sama najlepiej poznałam Śląsk od strony wiejskiej, nie wielkoprzemysłowej. Na południe od Katowic księżycowy krajobraz hałd, który kiedyś fotografował Michał Cała, przenikał się z zabytkami ze średniowiecza, starymi rynkami, lasami. Niektóre miejscowości były skupione wokół jednej wielkiej fabryki, w innych przemysł działał w większym rozproszeniu. Wszędzie transformacja wyglądała inaczej.

Kiedy mijamy kopalnię doświadczalną „Barbara", w której testuje się nowe maszyny i opracowuje procedury ratownicze, Olga mówi, że „nie jest fanką" reformy samorządowej z 1999 r. Dlaczego?

– Mniej regionów oznaczało upadek wielu dawnych stolic województw – tłumaczy. – Np. Częstochowa do dziś pozostaje w cichym konflikcie z Katowicami. Na początku lat 90., gdy jeździłam tam do cioci, była tutaj najbardziej przedsiębiorczym, dynamicznym miastem. Miałam wręcz wrażenie, że wyjeżdżam na Zachód. Po nowym podziale zmieniło się na gorsze. Utrata statusu województwa odbiera poczucie sprawczości, podsyca ↦

↦ wzajemne żale. Sądzę, że dziś w Polsce realizowany jest kiepski scenariusz z Anglii – londynizacja, założenie, że przyciągać ludzi mają tylko metropolie.

OLGA DRENDA

Miał być widok na niebo, a wyszło jak zwykle. Dla niedokończonej grupy tarasowców na mikołowskim osiedlu Reta dawny ustrój skończył się ciut za wcześnie.

2

– Dobrze, miejmy nostalgię za sobą. Właściwie kiedy zobaczyłaś, że coś zaczyna się zmieniać? – pytam, gdy zostawiamy auto na drugim parkingu.

– Mój dziadek mieszkał w bloku z lat 50., w Katowicach Ligocie. W 1990 albo 1991 r. powstał tu sklep „Stockmeyer", w którym pierwszy raz kupiłam serek topiony w plastrach. On oznajmił mi nadejście kapitalizmu.

Wtedy, tuż po przełomie, symbolem nowego były dla dzieci kolorowe opakowania po czekoladach sprowadzanych z zagranicy przez nowe, prywatne hurtownie. Nigdy potem nie było w Polsce tylu marek soków. Nawet puszki po piwach pełniły w naszych pokojach rolę dekoracji.

Ale znów przypomina się metafora wąskich okien. Bo po latach nostalgia przykryła to, jak szybkie były tamte zmiany.

– Na Śląsku dzieci idą do pierwszej komunii wcześniej, już w wieku 5 lat. Ja miałam jeszcze skromną komunię. Dwa lata później moja siostra miała już „kapitalistyczną", bo to, co wcześniej można było kupić jedynie w Peweksie, trafiło do prywatnych sklepów. Dlatego swój rower dostałam dopiero na komunię siostry. Uczyłam się w szkole ze starych dobrych „Liter", a siostra z nowoczesnych podręczników – mówi Olga.

Siedzimy już na ławce pod „Bramą Słońca" w Tychach – miejscu wybranym przez nią jako to, które przechowało optymizm tamtego czasu. Tychy – starannie zaplanowane miasto, dom tysięcy pracowników fabryki Fiata, firmy sprowadzonej przez Gierka, z dzielnicami nazwanymi od kolejnych liter alfabetu – nie przeżyły po 1989 wielkiego szoku. Jeszcze w latach 80. zaczęto wznosić tu śmiałe budynki w stylu postmodernizmu. „Brama Słońca" to kolorowy, uskokowy, złożony z dwóch części połączonych przejściami wieżowiec, z charakterystycznymi ostrymi szczytami. Projekt Zdzisława Łojewskiego i Kazimierza Wejcherta.

Po drugiej stronie ulicy – supermarket Auchan. – Wcześniej był Allkaufem – mówi Olga. Pamięć nastolatków z lat 90. porządkują kolejne sieci supermarketów.

– „Brama Słońca" i całe Tychy kojarzą mi się z optymizmem transformacyjnym. Skutki terapii szokowej Balcerowicza, które szybko odczuły Łódź albo regiony PGR-owskie, do nas przyszły później. Śląskie zakłady przez jakiś czas starały się unowocześniać, wiele z nich miało widoki na przyszłość. Ludzie zakładali firmy, mieli poczucie, że warto działać. I że mogą osiągnąć coś własnymi siłami.

– To kiedy upadł mit 4 czerwca? – pytam.

– Znacznie później. Myślę, że wspomnienie późnego PRL – systemu, w którym nic nie działało, ale który chętnie podpierał się tępą przemocą, długo pozostawało żywe i dlatego panował konsensus, że to zamknięty rozdział, a teraz sprzątamy bałagan. Pamiętam jeden z pierwszych polskich memów internetowych z końca lat 90. Premier Jerzy Buzek skacze przez kolejne eksplozje, pod spodem napis: „Kampania wyborcza AWS pod hasłem »Co by tu jeszcze sp...«".

Buzek rządził w latach 1997–2001. Wprowadzane przez jego rząd reformy spektakularnie wywijały orła, uważa Olga: – Ludzie byli źli. Mówili: Solidarność się wzbogaciła, zabrała wszystko dla siebie. I że to żadni sprzymierzeńcy ludzi pracy, lecz po prostu karierowicze. To samo zresztą mówili później o SLD.

– Przecież podstawowa opowieść o transformacji brzmi: wojna na górze zaczęła się szybko – próbuję bronić Buzka. To było na początku dekady, którą kończyły jego rządy.

– A mnie się wydaje, że na samym początku lat 90. dystans między polityką a codziennością był większy. Może dlatego mieliśmy tyle nadziei? Procesy toczyły się wolniej, decyzje były dłużej negocjowane i wdrażane w życie, a z każdym rządem można się było prędzej czy później pożegnać. Pomagało wspólne poczucie, że politycy są nieudolni, i że właściwie nikt ich nie lubi.

A teraz? O politykach nie myślimy jak o nieudolnych. Raczej: że są sprytni i trudno ich ograć. Polityka coraz rzadziej toczy się własnym torem. Co rusz słyszymy, że coraz mniej zależy wyłącznie od nas.

– Szczerze mówiąc, jestem rozczarowana, że jacykolwiek politycy budzą czyjeś zaufanie – mówi Olga. – Dziwi mnie, że można się zapisywać do któregoś obozu. Mam chyba takie najntisowe, trochę anarchistyczne przekonanie, że „każda władza ludzi zdradza". Głosuję, ale bez większych nadziei.

Po niebie nad Tychami słońce powoli przesuwa się w stronę swojej „Bramy". Pytam: a może brakuje nam prawdziwych celów?

OLGA DRENDA

W precyzyjnie urządzonych Tychach nawet słońce świeci planowo, między szczytami swojej „Bramy". Wieżowiec sprzyja inicjatywie prywatnej – inspirował twórców logotypów.

– Pamiętam z nastoletnich rozmów, że mówiliśmy: „gdy wejdziemy do Unii, będzie u nas jak za granicą". Chyba głównie chodziło o to, że człowieka

stać na życie codzienne i coś jeszcze. I że w końcu nie będzie już trzeba kombinować, polegać na znajomościach.

– To się udało. Już nie trzeba. Policjanci nie biorą łapówek...

– ...a w urzędzie można załatwić sprawę. Wejść i załatwić, bez miętoszenia czapki, bez gubienia się w niezrozumiałych procedurach. Urzędnik pomaga, a nie ruga – mówi Olga. – Ale to wszystko stało się przecież jakby przed chwilą. Nasze pokolenie zaczęło żądać normalności mniej więcej po dekadzie masowej pracy za granicą. Pamiętam powracających znajomych: wiedzieli, że nawet pracując w zwykłym zawodzie, w sklepie lub restauracji, może ich być stać na perfumy albo wyjazd na wakacje.

– Jestem przekonana, że tego już nikt nie da sobie odebrać. To zupełnie nowa jakość. Tak jakby przestały obowiązywać „ustawienia fabryczne" – przyzwyczajenie do życia na minusie i bycia rozstawianym po kątach. Nikt nie chce wrócić już do liczenia groszy, odkładania w nieskończoność wydatków. To możliwy punkt konfliktu z władzą.

Wsiadamy do samochodu. Mijamy dom handlowy „Baron". Wtedy mieściły się tu sklepy odzieżowe i niezły sklep muzyczny. Teraz – chiński market i centrum zdrowia psychicznego.

Nasz następny cel: przemysłowy Górny Śląsk.

3

Czarna, stylizowana na grób tablica ma datę: 23 czerwca 2017.

Napis głosi: „Przez półtora wieku w tym miejscu stała wielka huta, żywicielka mieszkańców Siemianowic Śląskich, zakład, dzięki któremu dokonał się rozwój miasta, powstało wiele obiektów użyteczności publicznej. Hutę »Jedność«, wcześniej noszącą imię »Laura«, unicestwiła transformacja gospodarcza w latach 90. XX wieku, pozostawiając w bardzo trudnej sytuacji tysiące hutniczych rodzin. [Huta] była życiem siemianowiczan – stała się cennym wspomnieniem".

Tablicę wmurowano w chodnik w centrum Siemianowic, obok ruchliwego ronda – oraz wejścia na zarastający trawą teren po dawnej hucie. Olbrzymia pusta przestrzeń w środku miasta, wypełniona tylko stosami starych cegieł – to ostatnia pozostałość po przeszłości. Obok ceglanego osiedla robotniczego stoi tylko hala walcowni. W środku: hurtownie i magazyny wynajmowane przez prywatne firmy.

Z podobnych cegieł, wykutych tuż przed wyburzeniem familoka, w którym w Zabrzu mieszkał niemieckojęzyczny pisarz Janosch, katowicki oddział „Gazety Wyborczej" do dziś wręcza nagrody jego imienia dla zasłużonych w promocji Górnego Śląska.

OLGA DRENDA

Stworzyła miasto, nie przetrwała transformacji. Parę lat temu dawnej hucie „Jedność" w Siemianowicach Śląskich wystawiono grób.

Olga: – O tamtych miejscach i czasach wciąż powstają śląskie szlagiery. Ta muzyka ma swój własny obieg – radio, telewizję, imprezy. Gwiazdą większych imprez jest np. Teresa Werner, dawna członkini Zespołu Pieśni i Tańca Śląsk.

Większość nieczynnych zakładów już wyburzono albo przeznaczono na inne cele, ale wtedy Oldze wydawało się, że ten krajobraz nigdy nie zniknie. Jak szkielety dinozaurów. Dla młodzieży to było inspirujące, takie ziemie niczyje, czyli dla wszystkich.

– Tym bardziej że nie było za bardzo miejsc do spotkań, więc dzieciaki przesiadywały na zewnątrz – mówi Olga. – W parku za katowickim Empikiem wymieniałam się kasetami i komiksami, znajomi przyprowadzali znajomych. Ściany Planetarium Śląskiego były zabazgrane nie tylko rysunkami penisów, ale też całkiem ambitnymi wierszami. Czasem tam, gdzie dochodzi do ekonomicznej zapaści, zdarza się niespodziewany wybuch kreatywności, bo sprzyjają temu miejsca, w których można spotykać się za darmo albo tanio.

Seattle, Manchester, Nowy Jork lat 70. – i Śląsk. Tu grało się bluesa, metal, potem dołączyła mysłowicka psychodelia i hip-hop. Teledysk do „Jestem Bogiem" Paktofoniki nakręcono na „Alpach Wełnowieckich". Czyli na hałdzie.

Olga dodaje: – Kiedy państwo wycofało się ze ścisłej kontroli nad obywatelem, powstały nowe subkultury, alternatywne sposoby organizacji. W tym takie oparte na nieufności wobec władzy. Nie tylko wobec państwa, ale też szkoły czy wojska, w którym obowiązywał jeszcze pobór.

Kiedy sokiści na kolei stali się uprzejmi? Kiedy konduktor w pociągu przestał zwracać uwagę na to, jak szybko wykonało się „obowiązek zgłoszenia do pierwszego wagonu, licząc od czoła pociągu, celem zakupienia ważnego biletu na przejazd"? To wszystko zmieniło się naprawdę niedawno.

Wcześniej, po drodze do Siemianowic, zatrzymaliśmy się w Murckach, otoczonym lasami, odizolowanym od innych osiedlu Katowic. Pociągi przestały tu jeździć pod koniec lat 90. Parę lat temu rozebrano popadający w ruinę historyczny dworzec. Murcki nie stały się atrakcją turystyczną jak Nikiszowiec. Ot, jeszcze jedno osiedle patronackie, czyli należące kiedyś do kopalni. Ale stojąca na rynku mapa ma zaznaczony okręg z czasami dojść. Wszędzie można dotrzeć w kwadrans. Piętnastominutowe miasto, bohater z haseł współczesnych ruchów miejskich, istniało tu, zanim zaczęto umieszczać je na transparentach.

– Rynek, targ, domki działkowe, wszystko jest na miejscu – mówi Olga. – A dokładniej: wszystko jest na miejscu, dopóki samemu pracuje się na miejscu. A tej ostatniej, najważniejszej cegiełki zazwyczaj dziś brakuje.

Historia wykluczenia komunikacyjnego w Murckach trwa. Wyjazd z osiedla na drogę krajową przypomina przejście przez szerokie, ale jedyne drzwi. Wciąż potrzebny jest samochód. Drogą krajową dojeżdża się do centrum miasta.

Jeszcze jedna dziura po przeszłości.

4

To przedostatni przystanek. Pod opuszczonym budynkiem dyrekcji dawnej huty „Uthemann" w Katowicach-Szopienicach, w cieniu ↦

↦ wysokiej wieży ciśnień, której odrapany tynk przywodzi na myśl sceny z horrorów, choć w jej wnętrzu dom urządziły sobie stada gołębi – rozmawiamy o najgorszym wspomnieniu transformacji. Ale i tym, które daje nam siłę do dziś.

– Kryzys przyszedł pod koniec lat 90. – opowiada Olga. – Wtedy faktycznie zamknięto dużo kopalń, górnicy otrzymali odprawy. Jednorazowe, rozchodziły się szybko, jak wygrana na loterii. Nie patrzono na to, ile innych firm jest zależnych od jednego dużego zakładu. Były jakieś kursy dla chcących się przekwalifikować, ale bardzo skromne. W końcu ilu florystów może być w jednym miasteczku? Politycy zapatrzyli się ślepo w Margaret Thatcher, nie przygotowali planu B.

Był początek XXI w., wkrótce mieliśmy wejść do Unii, ale Olga pamięta, że życie na Śląsku było wtedy najbardziej przygnębiające: – To przypominało zdjęcia z czasów tuż po wojnie albo Wielkiego Kryzysu. Ludzie w łachmanach, brudnych bandażach, z ranami. Zbieranie węgla z torów. Zapomniane choroby, prawdopodobnie dziś łatwe do wyleczenia, u ludzi, których nie było stać na lekarstwa. „Arka bezdomnych" na katowickim dworcu. Kiedy pomyślę, jak bardzo ludzkim nieszczęściem był nasycony Śląsk tak niedawno, aż mnie zatyka. Mamy krótką pamięć.

OLGA DRENDA

Budynek dyrekcji dawnej huty „Uthemann" w Katowicach-Szopienicach stoi na terenie skażonym. W poczarnobylskim okresie 2. połowy lat 80. umocniły się w Polsce nowe ruchy ekologiczne.

Obchodzimy wokół budynek dyrekcji „Uthemanna". Olga fotografuje graffiti młodych artystów umieszczone na ścianach. Tablica informuje o tym, że przeprowadzono renowację dachu i piętra budynku. Jego dalszy los nie jest jednak przesądzony. „Po maszynach parowych spływa deszcz, zasypane piece muflowe leżą w gruzach, a z zabytkowej wieży ciśnień odpada niemal codziennie kawałek historii", pisał kilka miesięcy temu „Dziennik Zachodni".

Jesteśmy na terenie skażonym, gdzie nawet po kontakcie z wodą z kranu można było mieć podrażnioną skórę. Gdzie ludzie odczuwali, że uśmierca ich własne środowisko.

– Wielu Ślązaków pracowało w zawodach wysokiego ryzyka, więc liczono się z niebezpieczeństwem. Górnikom tradycyjnie życzy się „tyle wyjazdów, ile zjazdów". Ale wtedy dystans do śmierci jeszcze się skrócił – mówi Olga. – To nie było straszenie rakiem jak na paczkach papierosów albo w dzisiejszych kampaniach antysmogowych. Woda w rzekach parzyła skórę, nikomu nie przychodziło do głowy picie kranówki. Na nowotwory, przez kontakt z truciznami w pracy, umierały „młode chłopy". Pamiętano o dzieciach z ołowicą z Szopienic, tuszowanym przez władze skandalu z lat 70. Te choroby były drastyczne i widoczne. To wszystko sprzyjało pogodzeniu się z tym, że kopalnie i huty trzeba zamykać. I pomogło powstać polskiemu ruchowi ekologicznemu.

– Krążyła legenda miejska, że japońscy naukowcy zbadali wodę, ziemię i glebę, po czym doszli do wniosku, że tu nie ma prawa przetrwać życie. Choć dziś jest zielono, trochę jak w czarnobylskiej zonie – dodaje Olga, gdy wsiadamy do samochodu.

5

Podróż kończymy w Chorzowie. Przypadek sprawił, że ulica, na której się pożegnamy, łączy nie tylko dwie części miasta. Spaja też rok 1989 z 2023. I ciągle nosi nazwę Wolności.

– Na początku lat 90. „Wolka" była salonem miasta, a może i całego regionu – mówi Olga w przerwie między wizytą w zlokalizowanym w przedwojennym banku szmateksie a sfotografowaniem ściennej mozaiki. – Jeździłam tu z rodzicami do kina i do pięknych sklepów papierniczych. Dobrze jednak pamiętam erozję i kapitału, i dobrej woli. Potem przyszło załamanie, wzrosły czynsze, na pewien czas na ulicę Wolności wprowadziły się apteki i banki. Teraz znów jest trochę jak w 1996 r.

Środkiem ulicy przejeżdża nowy tramwaj z chorzowskiego Konstalu. Pytam Olgę o ostatnią rzecz – jej bohaterów czasu przemian.

– Myślę, że wielu z nas wciąż wierzy, że poradzimy sobie sami, jeśli w niektórych sferach politycy zostawią nas w spokoju – brzmi odpowiedź. – Ostatnie wiadomości pokazują, że władza czuje się zbyt pewnie. Że nie warto starać się o przetarg, konkurs, dotację, stanowisko, bo wcześniej zarezerwował to sobie jakiś „duży miś". To rozpychanie się łokciami, powrót zmór lat 90.: cwaniactwa, nepotyzmu, przekręciarstwa. Można znieść wiele, ale nie utratę „małej normalności". Może jeszcze poprzewracają się stołki.

OLGA DRENDA

Szmateks przy ulicy Wolności w Chorzowie. Już nikt nie wstydzi się zakupów w „taniej odzieży", – moda retro wraca do łask.

– I co, przyjdzie nowe?

– Naprawdę kluczowe może być poczucie, że ktoś marnuje naszą pracę. I nasze pieniądze. Może ten zbiorowy bohater czasów przełomu jest też bohaterem na dziś – my, obywatele i obywatelki, z inicjatywą, operatywnością, wolą działania? – zastanawia się Olga.

Rozstańmy się z tą myślą. W końcu z wcześniejszych rozmów wychodziło nam, że bohaterem codzienności był wtedy Zulu-Gula. Pamiętają go Państwo? Tytułowy bohater programu z pierwszej połowy lat 90. Grał go Tadeusz Ross – jako przybysz z obcego kraju zniekształcał polskie słowa. Audycja biła rekordy oglądalności.

Zasłynęła z frazy: „Polska to jest bardzo ciekawa kraj".

©℗ MARCIN ŻYŁA

Wróżka milenialsów

GDYBY DLA SIWIEJĄCYCH MILENIALSÓW, starych jak urodzona 4 czerwca III RP, nakręcić rozgrywającego się współcześnie „Czterdziestolatka" na motywach popularnego serialu Gruzy i Toeplitza, nie wyobrażam sobie lepszej kandydatki do roli Kobiety Pracującej niż Olga Drenda.

POMIJAJĄC GORZKI KOMENTARZ twórców na temat zagonienia kobiet („na taki wygląd trzeba zapracować"), grana w oryginale przez Irenę Kwiatkowską postać w każdym z odcinków objawiała się widzom niczym wróżka, objaśniając inteligencji z awansu rzeczywistość gierkowskiej Polski, a także kształtując jej maniery i gusta. A wreszcie – niosąc ulgę.

KOBIETA PRACUJĄCA niby roznosi mleko, a tak naprawdę podpowiada, jak i w czym należy pić koniak (Karwowski lubi dobrze zmrożony). Pod pretekstem sprawdzenia szczelności okien, lustrując wieczorowe stroje bohaterów sugeruje, że wybierając się na spektakl do teatru wystawiającego sztukę eksperymentalną, inżynier Karwowski może spokojnie pozostać w sweterku (albo w domu). Kwiatkowska przede wszystkim

VOLODYMYR ROMANIUK

prowokuje do rozmowy, wygłaszając podane w tonie obłaskawiającego żartu życiowe mądrości.

CO MA Z TYM WSZYSTKIM wspólnego Olga Drenda? Otóż zupełnie jak wróżka Gruzy i Toeplitza – pojawiając się znienacka to w Koninie, to w Sosnowcu – fotografuje na swoim Instagramie (jako @ducholozka) pastelowe elewacje wieżowców, przystankowe wiaty, sklepowe szyldy i witryny, parkowe rzeźby, ogrodowe łabędzie z opon, ceramiczne mozaiki i dworce PKS. Ale przecież tak naprawdę objaśnia, skąd przyszliśmy, kim jesteśmy i dokąd zmierzamy, doskonale rozumiejąc przepływ czasu i ulotność trendów. Bawi się przy tym swoimi rolami, w krótkiej formie felietonu poruszając na łamach „Tygodnika" zjawiska tak trudno uchwytne, jak koniec epoki supermarketów albo kryzys wieku średniego milenialsów.

WYOBRAŻAM SOBIE ODCINEK, w którym Karwowski wróciwszy od barbera, kłóci się z żoną o nadmiar domowych bibelotów – ozdóbki z Ikei, poduszki z Pepco, kubki ze zdjęciami kotków. I wtedy z wegańskim ciastem wpada do nich Olga, mimochodem wspominając o „Rzeczach" Georges'a Pereca, w których „pragnienie posiadania prowadzi do niespełnienia", albo też „Człowieka, który śpi" tego samego autora, „gdzie do tego samego celu wiedzie wyzbycie się pragnień i właściwości". Demaskując współczesne wróżki z telewizji, Olga uświadamia przyjaciołom, że świat bez miejsca na zbędność przypominałby „wielkie centrum logistyczne, z którego nigdy nie da się wyjść" (cytaty z felietonów).

MOŻNA BY TAK DŁUGO, bo na każdym odcinku naszego milenialskiego życia, gdy tylko pojawia się Olga Drenda, do końca nie wiadomo, jaki będzie finał.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska,
Rozwój cyfrowy: Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Piotr Wójcik
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039 redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416 reklama@TygodnikPowszechny.pl promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075 prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA

S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Jedność

Prawie siedem i pół roku – tyle zajęłoby nam przestudiowanie całego Talmudu, gdybyśmy zgłębiali jedną kartę dziennie. Ponad 2700 kart składa się na 63 traktaty. Talmud to imponujące dzieło, nic więc dziwnego, że przez wieki studiowano nie całość, lecz przede wszystkim te traktaty, które mają praktyczne przełożenie na codzienne życie.

Nowy sposób studiowania Talmudu – całości, po jednej karcie dziennie – został zaproponowany przez Majera Szapiro, ówczesnego rabina Sanoka, na międzynarodowym kongresie w sierpniu 1923 r. Propozycja znalazła uznanie i pierwszy cykl rozpoczął się już w Nowy Rok 5684 (11 września 1923 r.). Cadyk z Góry Kalwarii – niezwykle wpływowa figura – czynem wsparł tę ideę, zgłębiając początek pierwszego traktatu publicznie. Gdy wmurowano kamień węgielny pod słynną potem na cały świat Jesziwat Chachmej Lublin (Wyższą Szkołę Talmudyczną Mędrców Lublina), której rektorem został rabin Szapiro, pojawił się pomysł, by studiujący odkładali codziennie jeden grosz i przy kończeniu kolejnych traktatów przekazywali zebraną sumę na budowę uczelni.

Pierwszy *sijum* – uroczysta ceremonia zakończenia studiowania całości Talmudu – odbył się już w nowo otwartej Jesziwie pod przewodnictwem rabina Szapiro. Trzynasty *sijum* miał miejsce 1 stycznia 2020 r.

A oto odrobina Tory od rabina Szapiro dotycząca początku Księgi Liczb, odczytywanego publicznie w synagogach przed nadchodzącym właśnie świętem Szawuot. W Biblii to święto ma charakter rolniczy, w diasporze zyskało nowe oblicze jako rocznica nadania Tory na górze Synaj.

W Talmudzie czytamy, że przy nadawaniu Tory Boży głos rozbrzmiewał na całym świecie. Słysząc Go, przerażeni królowie zapytali Balaama, czy zbliża się kolejny potop. Prorok odrzekł, że to Najwyższy daje Torę swoim dzieciom, co odnotowano w Psalmach: „Bóg moc ludowi Swemu da" (29, 11; Cylkow), na co oni odrzekli, cytując drugą połowę tego wersu: „Bóg pobłogosławi lud Swój pokojem". U Izajasza czytamy, że „wilk zamieszka z jagnięciem" (11, 6; MK). Zdarzyło się to już wcześniej – na arce Noego. Wtedy chodziło o przetrwanie i nie było miejsca na waśnie. Gdy Izraelici przygotowywali się na przyjęcie Tory, „obozował tam Israel naprzeciw góry" (Wj 19, 2; Cylkow), jak jeden mąż. Taka jedność nie uszła uwadze władców, dlatego postanowili zasięgnąć języka u Balaama. Ten stwierdził, że Izraelici nie zjednoczyli się ze strachu. To Najwyższy daje im Torę, która będzie źródłem ich siły i zjednoczy ich we wspólnym celu: studiowania i przestrzegania. Tak jak przewidywał rabin Szapiro – setki, ba!, tysiące Żydów studiują codziennie tę samą kartę Talmudu i czują ową jedność. Skąd pomysł, że nadchodzi potop? ©

O. WACŁAW

Oszajca:
W zderzeniu z Bogiem

W uroczystość Trójcy Świętej nieuchronnie powraca odwieczne pytanie: jak to może być, żeby dodając trzy jedynki, otrzymać w sumie jedynkę? W matematyce ponoć to możliwe, ale przy kasie w sklepie już nie. Natomiast jeśli chodzi o sprawy zasadnicze dla ludzkiego życia, ta tajemnicza matematyka ma wiele do powiedzenia.

Popatrzmy: ilekroć wypowiadamy formułę „Chwała Ojcu i Synowi, i Duchowi Świętemu, Bogu, który jest i który był, i który przychodzi", ogłaszamy całemu światu, że oto w takiego Boga i takiemu trójjedynemu Bogu wierzymy. To „takiemu Bogu" jest istotne, gdyż nosi On imię Miłość, co sprawia, że wszystkie różnice zachodzące między nami zaczynamy postrzegać jako bogactwo, a nie powód do nienawiści i walki. Skoro „tak bardzo Bóg umiłował świat, że dał swojego jednorodzonego Syna, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, lecz miał życie wieczne", to znaczy, że wiara polega na przyjęciu Bożego stylu życia. Ale jak sprawdzić, czy ten styl jest prawdziwie Boży?

Po prostu, wystarczy zacząć Boga traktować po ludzku. Popatrzmy: o kim w ciągu dnia najczęściej myślimy? Dzieci, żona, mąż, rodzice, słowem ci, których kochamy. Identycznie jest z Bogiem. Jeśli On też nam się przypomina, im częściej, tym lepiej, to znaczy, że jest On z nami, a my z Nim, że jesteśmy Jego ciałem, krwią i słowem, Jego dzisiejszym sposobem życia. W ten sposób Bóg jest nie tylko Trójcą, ale – no i mamy kłopot – kim? Nie mówmy tylko, że nie wiemy, skoro powiedzieliśmy, że jest miłością i miłość trzyma Boga przy nas. Jeśli jednak tej intymnej więzi z Bogiem nie ma, wszelkie najpiękniejsze obrzędy – z buzią w ciup, sklejonymi rączkami, z oczami zamrożonymi lub przewróconymi białkami do góry, z leżeniem krzyżem i klękaniem na obydwa kolana, z biciem czołem o posadzkę – będą jedynie wydmuszką. Pustosłowiem, deklaracją bez pokrycia. Łatwo to sprawdzić. Popatrzmy, jak podchodzimy do tych, którzy z jakiegoś powodu nam nie pasują.

Dla przykładu: „Już sama rozmowa z tym, kto krzywdził [chodzi o pedofilię] – mówi Franciszek – budzi w nas obrzydzenie. Ale oni też są dziećmi bożymi. Zasługują na karę, ale i na opiekę duszpasterską (...). Sprawcę nadużyć seksualnych należy potępić, ale jako brata. Potępienie go ma być rozumiane jako akt miłosierdzia. Istnieje pewna logika, sposób miłowania nieprzyjaciela, który wyraża się również i tak. I nie jest to łatwe do zrozumienia, niełatwo z czymś takim żyć. Taki człowiek jest wrogiem. Każdy z nas tak to czuje, bo czuje cierpienie wykorzystywanych. Sama rozmowa z gwałcicielem budzi w nas wstręt, ale i oni są dziećmi bożymi".

Rzeczywiście: nie jest to łatwe do zrozumienia. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Aby byli jedno

Trwa w pokoju,
istnieje w milczeniu,
spoczywa
przed wszystkim.

APOKRYF JANA

Jest piękno,
które chłoniemy,
jest piękno,
które nas chłonie:
to owiane aurą
nieskończoności.

HENRYK ELZENBERG

Ojcze Święty, nie tylko za nimi proszę, ale i za tymi, którzy dzięki ich słowu będą wierzyć we Mnie; aby wszyscy stanowili jedno, jak Ty, Ojcze we Mnie, a Ja w Tobie, aby i oni stanowili w Nas jedno, by świat uwierzył, że Ty Mnie posłałeś" (J 17, 20n).

Widziałem spełnioną tę modlitwę Pana Jezusa. Widziałem ją spełnioną w... Liverpoolu. Są tam dwie katedry: jedna anglikańska, druga katolicka. Katedrę anglikańską projektował katolik; katedrę katolicką – anglikanin. Są połączone jedną ulicą: Hope Street (ulica Nadziei).

W latach 80. i 90. ubiegłego wieku w katedrach tych posługiwali: jako biskup anglikański David Sheppard oraz Derek Worlock , arcybiskup katolicki. Razem głosili rekolekcje, razem publikowali książki, razem prowadzili duszpasterstwo akademickie i – razem ze swoimi studentami – wychodzili na ulice Liverpoolu, by posługiwać bezdomnym i ubogim. Razem przewodniczyli uroczystościom kościelnym, np. konsekrując kościoły.

Dziś w połowie Hope Street miasto postawiło im pomnik. Biskupi Sheppard i Worlock sportretowani zostali na dwóch skrzydłach otwartych drzwi. Rzeźbom towarzyszą liczne cytaty – niektóre wzięte z ich książek, ale większość z wycinków prasowych, które na bieżąco dokumentowały ich działalność. Jeden z nich zapamiętałem szczególnie: mówił, że posługa tych dwóch duchownych stanowiła w życiu Liverpoolu „zmianę i wyzwanie". Ich „bycie jedno" przyniosło prawdziwą „zmianę" – w mieście, o którym wszyscy na Wyspach mówią: „trudne".

Co stoi na przeszkodzie, aby Jezusowa modlitwa o jedność objawiła się w naszym życiu z równą siłą, by zaowocowała w naszym życiu równą determinacją dla ekumenizmu? By ten przestał być w naszym Kościele postawą opcjonalną (jest, to dobrze; nie ma – drugie dobrze). Co zrobić, byśmy potraktowali Jezusową modlitwę arcykapłańską jako słowo dyscyplinujące naszą codzienność ewangelizacyjną, a nie wyłącznie tydzień modlitw o jedność chrześcijan?

Niektórzy mówią, że nie mamy po temu domkniętych formuł teologicznych. Inni twierdzą, że nie mamy po temu odpowiednich i właściwych struktur. Oni też nie mieli. To nie struktur nam brakuje. Brakuje nam miłości.

Brakuje nam przekonania (równie głębokiego, co praktycznego), że my, wszyscy chrześcijanie, jesteśmy dla siebie wzajemnie siostrami i braćmi – że jesteśmy dziećmi jednego Ojca. Taka jest perspektywa, którą otwiera nam Jezus, kończąc w Wieczerniku modlitwę arcykapłańską. Mówi: „Objawiłem im Twoje Imię". Jakie Imię Boga objawia nam Jezus? Odpowiedź brzmi: „Ojciec".

Ten, kto w Bogu odkrył Ojca, ten musi w innych chrześcijanach zobaczyć swoje siostry i braci. Ekumenizm nie sprowadza się do jedności strukturalnej (czyli zewnętrznej); jest najpierw jednością miłości. Wtedy też przynosi, jako owoc, skuteczną ewangelizację. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (4 – 11 VI)

Niedziela, uroczystość Najświętszej Trójcy: Wj 34, 4b-6. 8-9; Ps: Dn 3, 52-56; 2 Kor 13, 11-13; J 3, 16-18;
Poniedziałek: Tb 1, 3; 2, 1b-8; Ps 112; Mk 12, 1-12;
Wtorek: Tb 2, 9-14; Ps 112; Mk 12, 13-17;
Środa: Tb 3, 1-11a. 16-17a; Ps 25; Mk 12, 18-27;
Czwartek, uroczystość Najświętszego Ciała i Krwi Chrystusa: Pwt 8, 2-3. 14b-16a; Ps 147B; 1 Kor 10, 16-17; J 6, 51-58;
Piątek: Tb 11, 5-18; Ps 146; Mk 12, 35-37;
Sobota: Tb 12, 1b. 5-15. 20; Ps: Tb 13; Mk 12, 38-44;
10. niedziela zwykła: Oz 6, 3-6; Ps 50; Rz 4, 18-25; Mt 9, 9-13.

Wybrał PIOTR SIKORA

TAJEMNA KONSTYTUCJA

Niby nikt nie zna zbioru zasad, który kieruje życiem politycznym w naszym państwie. Cały establishment jednak go przestrzega, nawet wtedy, kiedy nie przynosi mu to korzyści.

KLAUS BACHMANN

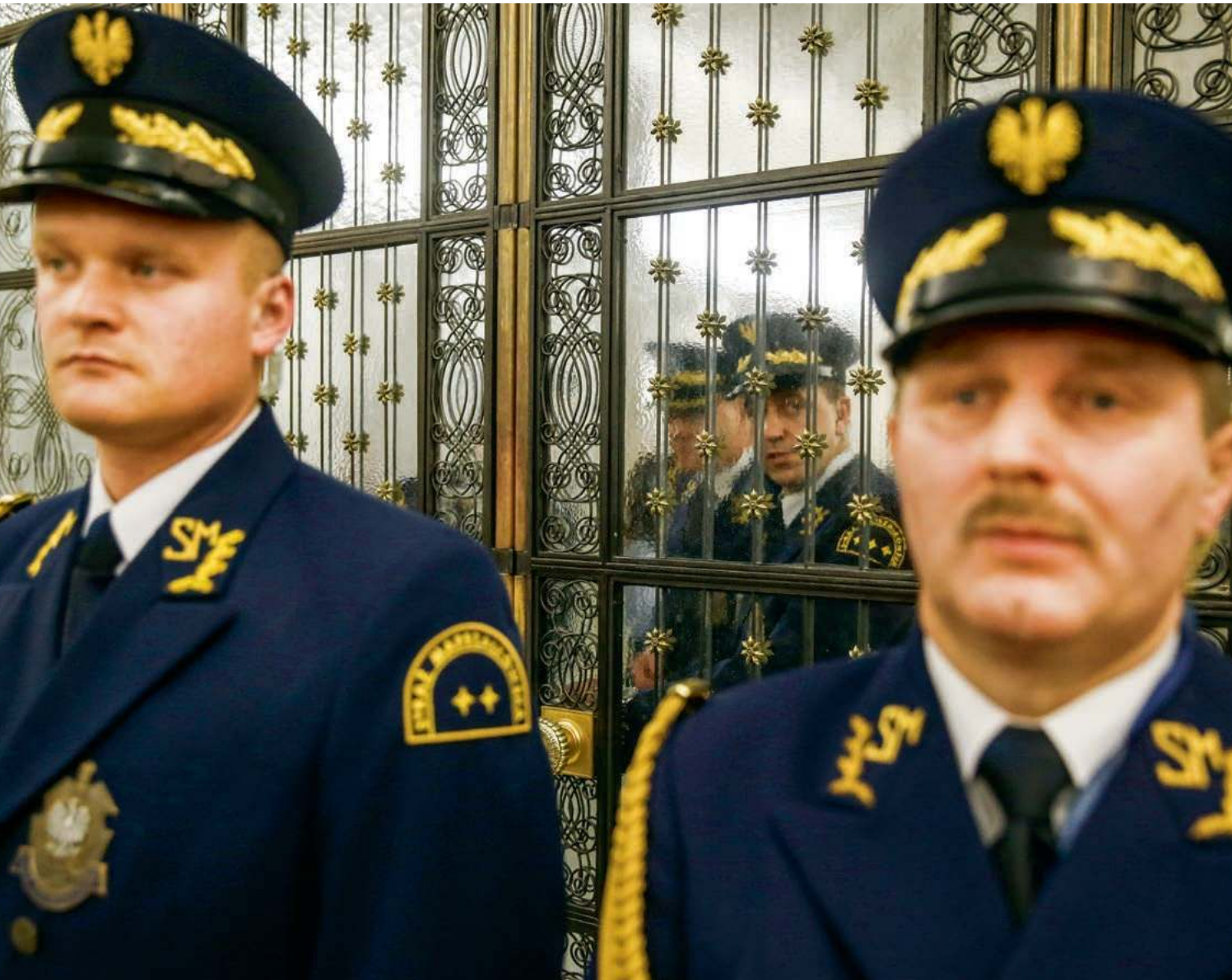

Powszechny pogląd głosi, że PiS i opozycję dzieli głęboki rów, który odpowiada za wzajemne mordercze instynkty. Zwycięstwo wyborcze nie oznacza więc w Polsce ograniczonego realnym poparciem mandatu do sprawowania władzy, ale realizację zasady: zwycięzca bierze wszystko i bezwzględnie rozlicza się z przegranym. Dlatego liderzy opozycji głoszą na wiecach, że gdy wygrają wybory, osądzą dzisiejszych władców. Z tego też powodu liderzy obozu rządzącego – mimo nieustannego ataku na Donalda Tuska w TVP – są bardziej ostrożni niż kiedyś. Liczą się z przegraną i uciekają do pospiesznie tworzonych funduszy, instytutów i agencji, do których przekazywane są publiczne pieniądze. Robią tak, by móc zachować przynajmniej część dotychczasowych przychodów i zabezpieczyć się na okres, w którym będą siedzieli w ławach opozycji, bez dostępu do środków budżetowych – oczywiście pomijając coroczne subwencje partyjne z budżetu.

Ale przecież po latach prawie niepodzielnych rządów PiS zdołał zbudować ogromny, zależny od tej partii aparat represji, z posłuszną administracją i systemem prawnym, który chroni jej liderów od odpowiedzialności. I gdyby nawet partia utraciła jesienią władzę, to przez ponad rok może liczyć na ochronę ze strony prezydenta i niefunkcjonalnego Trybunału Konstytucyjnego, a także na zwartą frakcję w Sejmie i Senacie, która będzie w stanie trzymać w szachu chwiejną i kruchą większość koalicyjną, sięgającą od skrajnej lewicy do konserwatystów z PSL.

Równie prawdopodobne jest to, że choć PiS nie wygra wyborów, to dalej będzie rządził za pomocą wspieranego przez prezydenta rządu mniejszościowego.

System wzajemnego ograniczania

Przez ostatnie osiem lat polską politykę spina łańcuch paradoksów: rządzący zdobywają władzę większą niż jakikolwiek rząd po 1989 r. – a potem z tej władzy nie korzystają, aby się wyciągnąć z tarapatów. Zarazem łamią konstytucję, aby nie naruszać praw niższego rzędu, co wydaje się niezrozumiałe. Podejmują przecież ogromne ryzyko, którego mogliby uniknąć za pomocą minimalnych ustępstw lub kompromisów.

W ostatnich latach PiS stworzył mechanizm, który pozwala rządowi sprawować władzę za pomocą *de facto* dekretów – ale rzadko kiedy z tego korzysta. Dlaczego? Co go hamuje? Co ogranicza? W funkcjonujących demokracjach liberalnych istnieje cały szereg niezależnych instytucji kontrolujących i rozliczających władzę. Zmuszają one zwycięzców do uwzględnienia interesów przegranych, chronią mniejszości i wymuszają kompromisy. Niemal wszystkie takie instytucje, od Trybunału Konstytucyjnego po prokuraturę i niektóre izby Sądu Najwyższego, PiS skolonizował (albo próbował, jak w przypadku NIK, gdzie nie wyszło mu tylko z powodu buntu Mariana Banasia). Za ich pomocą ogranicza dziś pole manewru opozycji i organizacji społecznych (także poprzez odcinanie ich od finansowania), żongluje obywatelskimi wnioskami ustawodawczymi albo próbuje unieważnić niewygodne dla siebie orzeczenia międzynarodowych sądów.

Co jednak powstrzymuje partię Jarosława Kaczyńskiego od skorzystania z pełni władzy? Część odpowiedzi na to pytanie jest znana: rynki (w tym zagraniczne rynki finansowe) oraz presja dyplomatyczna (i czasami mało dyplomatyczna) Stanów Zjednoczonych, Niemiec i Komisji Europejskiej. Na skutek coraz większego zadłużenia rząd jest też mocno zależny od decyzji nie tylko tych, od których pożycza, ale i od tych, którzy ten dług potem kupują (i dyktują jego oprocentowanie). To relacje z nimi decydują dziś o szansach uchwalenia kolejnych pakietów rozdawniczych: waloryzacji 800 plus, kolejnych „nastek" dla emerytów, darmowych autostrad lub tanich kredytów na mieszkania, które mają Polaków zmobilizować do oddawania głosu na PiS.

W tej chwili to decyzje Systemu Rezerwy Federalnej USA, Europejskiego Banku Centralnego i Komisji Europejskiej, a co za tym idzie – zagranicznych inwestorów, decydują o wartości złotego i stóp procentowych w Polsce. To nacisk rządu USA powstrzymał nasze władze przed uchwaleniem ustawy o IPN i wywłaszczeniem TVN – a nie opozycja, presja społeczna albo orzeczenia sądów.

Powyższe wciąż jednak nie wyjaśnia, dlaczego rząd nie korzystał z przyznanej sobie władzy tam, gdzie nie groziło to ani poważnymi skutkami finansowymi, ani presją dyplomatyczną największych państw czy instytucji UE. Czy w Polsce, poza wielokrotnie łamaną, spisaną i obowiązującą konstytucją, istnieje jeszcze jakaś inna, niepisana, której treści nikt dokładnie nie zna, ale której cały establishment polityczny przestrzega nawet wtedy, kiedy to nie przynosi korzyści? Skąd się wzięła? I dlaczego jej przestrzegają nawet wtedy, kiedy jest to dla nich niekorzystne?

Zbrodnia zamiast wykroczenia

Jest wiosna 2020 r. W Polsce szaleje pandemia COVID-19, ale konstytucja wymaga przeprowadzenia wyborów prezydenckich. Opozycji udaje się przekonać PiS, że głosowanie w lokalach wyborczych (i zbieranie podpisów przez kandydatów) zagraża życiu i zdrowiu obywateli. Trzeba więc ogłosić stan nadzwyczajny i zgodnie z prawem przesunąć termin wyborów. PiS ostatecznie odmawia i forsuje niedopracowany projekt zmiany prawa wyborczego w parlamencie, który narusza konstytucję i jest technicznie nie do przeprowadzenia: wybory mają być tylko korespondencyjne.

O tej aferze, bezprawnym przekazywaniu spisów wyborców Poczcie Polskiej, pakietach formularzy niszczonych przez nią i milionowych kosztach wyborów, które przesunięto w ostatniej chwili (bez ogłoszenia stanu nadzwyczajnego) – napisano już bardzo dużo. Najważniejsze: PiS mógł przeprowadzić wybory na podstawie istniejącej ordynacji (ryzykując wzrost zakażeń), mógł też przesunąć je, ogłaszając stan klęski. Jedno i drugie byłoby zgodne z konstytucją. Zamiast tego wybrał trzecią opcję, uchwalając ustawę o wyborach kopertowych (i potem nie wcielając jej w życie), która wykluczała z organizacji wyborów Państwową Komisją Wyborczą i łamała konstytucję. A wszystko po to, by nie naruszyć kalendarza wyborczego. Jaki jest sens w pogwałceniu aktu wyższej rangi po to, by nie naruszać aktów niższej? Kto przy zdrowych zmysłach popełniałby zbrodnię, aby unikać wykroczenia?

Kolejny przykład. W 2016 r. PiS niekonstytucyjnie obsadził najpierw Trybunał Konstytucyjny, potem fotel prezesa TK, mianował też sędziów biernych, ↦

Straż marszałkowska pilnuje wejścia do sali Kolumnowej Sejmu. Posłowie opozycji oskarżyli marszałka Sejmu o polecenie zablokowania ich udziału w głosowaniu nad ustawą budżetową. Warszawa, grudzień 2016 r.

ANDRZEJ IWAŃCZUK / REPORTER

miernych, ale (do pewnego momentu) wiernych – zapewniając sobie obliczalne i lojalne orzecznictwo. Dzięki temu zyskał nieprzewidziane w konstytucji możliwości rządzenia: mógł kasować niewygodne ustawy i umowy międzynarodowe, dla których nowelizacji nie miał wystarczającej większości. Robił to „unieważniając" niekorzystne dla obozu rządzącego części traktatów UE i Europejskiej Konwencji Praw Człowieka, ogłaszając je za niezgodne z... konstytucją.

Uznał też, że ma prawo wydawać dekrety (rozporządzenia) z pominięciem Sejmu. Rząd wydał ich cały szereg podczas pandemii. Karały nas za nienoszenie maseczek, łamanie zakazu przemieszczania się, niestosowanie się do kwarantanny, wchodzenie do lasów. To wszystko były prawa ograniczające wolności obywatelskie, które można regulować tylko ustawami, nie rozporządzeniami. W dodatku odnoszącymi się do ustawy o ochronie zdrowia, która z odbieraniem praw obywatelskich nie ma nic wspólnego.

Wydawanie takich nielegalnych aktów prawnych jest ryzykowne: sądy powszechne mogą ich nie uznawać (wiele z nich cofało nakładane administracyjnie kary), a obywatele mogą się do nich nie stosować. Choćby tak, jak UE nie stosowała się do orzecznictwa TK i nadal np. ściąga kary dotyczące łamania praworządności (to już ponad 160 mln euro).

Po co ci ten miecz?

Nielegalne prawo (czyli typowy ze wspomnianych paradoksów) bywa jednak skuteczne tam, gdzie ma sterować zachowaniem administracji publicznej, tzn. ludzi zależnych od władzy: policji, urzędników, wojska, szefów przedsiębiorstw państwowych. Posłużmy się nieco absurdalnym przykładem: wydając rozporządzenie o obniżce cen paliw na rynkach światowych, np. na podstawie ustawy o ochronie danych osobowych – rząd nic by nie wskórał, choć taki zabieg zostałby pewnie uznany za legalny przez TK. Jednak podobne rozporządzenie w stosunku do samego Orlenu pewnie odniosłoby skutek, i to nawet gdyby było oparte na ustawie o ochronie zwierząt. Firmą kieruje bowiem uzależniony od partii władzy nominat.

I tu kolejny paradoks: zniewalając Trybunał, PiS wykuł sobie bardzo ostry miecz. Ale używał go jedynie w pandemii i tylko po to, aby nie korzystać z (zupełnie legalnych) furtek, jakie daje konstytucja, np. w postaci stanów nadzwyczajnych. Jedyny taki stan rząd wprowadził na mocno okrojonym geograficznie obszarze przy granicy z Białorusią. Zamieniono go potem na ustawę, która dała MSWiA prawo do wprowadzania podobnych restrykcji na mocy rozporządzenia, co już jest sprzeczne z konstytucją.

Rządzący łamią oficjalną konstytucję, aby nie naruszać praw niższego rzędu, co wydaje się niezrozumiałe. Podejmują ogromne ryzyko, którego mogliby uniknąć za pomocą minimalnych ustępstw.

Mamy więc przykład, jak PiS narusza konstytucję w jednym miejscu (ogranicza swobody obywatelskie rozporządzeniem), aby nie musiał korzystać z innej, legalnej i konstytucyjnej możliwości (przedłużenia stanu wyjątkowego albo uchwalenia ustawy, która przewiduje odpowiednie restrykcje). W pandemii PiS miał dobry i uznany przez opozycję powód, aby zawiesić pewne prawa i rządzić bez ograniczeń – ale zamiast tego wolał naruszyć ustawę zasadniczą, przyznając sobie mniej władzy niż przez legalny stan nadzwyczajny.

Na tym nie koniec paradoksów. Za pomocą rozporządzeń PiS mógł załatwić wiele sporów z opozycją i UE. A jednak z tego fortelu nie korzystał, ani by „uporządkować" TK czy SN, ani by wprowadzić rozwiązania pozwalające KE na wypłacenie środków z Krajowego Planu Odbudowy. Przeprowadzanie takich akcji na mocy rozporządzeń, uznawanych potem przez TK za konstytucyjne i zgodne z ustawą, pozwalałoby obejść problemy z uzyskaniem większości sejmowej, oszczędzając też czas. Jest to oczywiście sprzeczne z konstytucją – tak jak obecna ustawa o reformie SN, którą zablokował prezydent wysyłając ją do TK. Tylko że to pierwsze podejście załatwia sprawę, a to drugie, jak dziś widać, nie.

Podobnie osobliwy mechanizm zastosowano po przejęciu mediów publicznych w 2016 r., obsadzeniu ich funkcjonariuszami partyjnymi oraz przekształceniu ich redakcji w narzędzia tępiej propagandy, co zaowocowało odpływem odbiorców i reklamodawców. W warunkach rynkowych prowadziłoby to do kryzysu lub wręcz niewypłacalności takich mediów. PiS mógł jednak temu zaradzić odpowiednio reformując system abonamentowy, bo mówimy tu o mediach publicznych. Mógł im więc zapewnić większe zyski, ale to wymagało uchwalenia ustawy i uzgodnień z KE, która mogłaby ten pomysł zakwestionować.

Co prawda PiS wstępował już na wojenną ścieżkę z Unią w spornych kwestiach, odmawiając np. płacenia kary za Turów albo przyjęcia nawet minimalnej liczby uchodźców w ramach relokacji – ale w stosunkowo błahej sprawie abonamentu RTV wybrał opcję „rekompensat" z budżetu, która wywołała protesty i kosztowała budżet już 13 mld zł – ponad 16 razy więcej niż unijne kary za Turów i Izbę Dyscyplinarną SN.

Dać żyć opozycji

Następne wybory parlamentarne będą tajne, powszechne, bezpośrednie – ale równe na pewno nie będą, choćby z powodu nierówności w dostępie do państwowych mediów. Parafrazując byłego przewodniczącego PKW, Wojciecha Hermelińskiego: po jednej stronie będą kandydaci, których wspiera ich komitet wyborczy, po drugiej kandydaci wspierani przez komitet, rząd, aparat państwa i państwowe media. W dodatku o tym, czy wybory będą ważne, zdecydują nominaci PiS, którzy kontrolują proces wyborczy: od przygotowań do głosowania, aż po obrady Sądu Najwyższego, gdzie izba składająca się z nominatów upartyjnionej Krajowej Rady Sądownictwa orzeknie o ich ważności.

PiS robi wiele, by wybory wygrać albo w przypadku przegranej móc pozostać u władzy. Ale jednego nie zrobił: nie zadbał o to, aby mieć potulną, słabą, łatwo sterowalną opozycję. Mógł to osiągnąć poprzez reformę systemu finansowania partii politycznych, a jednak wolał nie iść tą radykalną drogą. Woli propagandę, którą oprócz mediów wspierają organizacje formalnie społeczne, obsadzone lojalnymi funkcjonariuszami lub wręcz wyhodowane przez rząd, oraz przedsiębiorstwa państwowe, które, jak Orlen, mogą

kupować lokalne media. To daje rządzącym przewagę nad opozycją, ale opozycji nie odbiera tchu.

PiS ograniczał prawa opozycji w Sejmie, karał jej posłów dyscyplinarnie, blokował dostęp do sali Kolumnowej, podsłuchiwał ich – ale przy finansowaniu partii politycznych nie majstrował. Nie jest to jedyna czerwona linia, której partia ta nie przekroczyła: przygotowywała co prawda szereg instytucji parasądowych, choćby komisję weryfikacyjną Patryka Jakiego czy komisję ds. badania wpływów rosyjskich. Ale korzysta z tych pomysłów głównie po to, by grozić i produkować paski w TVP Info. Niemal za każdym razem jest to pies, który dużo szczeka, ale rzadko gryzie.

W tym świetle zaniechanie koalicji PO-PSL, aby osądzić kilku prominentnych polityków PiS przed Trybunałem Stanu po rządach w latach 2005-2007, staje się trochę bardziej zrozumiałe. Od czasów ostatnich amnestii politycznych lat 80. uznawana jest bowiem niepisana zasada, wedle której członkowie establishmentu politycznego „szanują partnera", jak mawiał 30 lat temu premier Tadeusz Mazowiecki, mając na myśli polityków PZPR. Wsadzanie przeciwników politycznych do więzienia w tej regule się nie mieści. Np. Andrzej Milczanowski oskarżył w Sejmie premiera Józefa Oleksego o zdradę stanu, ale żaden z nich nie trafił do więzienia: ani Oleksy za ewentualną zdradę, ani Milczanowski za próbę obalenia rządu.

Od czasu (fałszywie dziś rozumianej) „grubej kreski" Mazowieckiego w Polsce rozlicza się polityków przy urnach, a nie w sądach. To sprzyja stabilizacji systemu w kraju gorących sporów politycznych, ale ma wysoką cenę: nie odstrasza od łamania prawa, a nawet od łamania konstytucji, tej oficjalnej, którą uchwalono w 1997 r.

Wybory w Polsce mogą być nierówne, naciągane, przeprowadzone z naruszeniem konstytucji, ale mają to być wybory, które również opozycja uzna za wybory. Aby to było możliwe, opozycja musi istnieć i mieć środki do działania. Można ją oszukać, wodzić za nos przy ordynacji wyborczej, można przejmować urzędy zajmujące się wyborami – ale nie wolno odebrać jej pieniędzy. To jeden z artykułów naszej niepisanej konstytucji.

Kolejny jej artykuł mógłby brzmieć: mniej ważna od litery prawa jest litera porozumienia. Można łamać prawo, a nawet konstytucję – jeśli się przy tym nie łamie podstawowej zgody elit politycznych, która każdej stronie sporu zapewnia minimum komfortu i przewidywalności. Śmiem twierdzić, że sędzia Wojciech Łączewski, nie wiedząc o tym podstawowym konsensusie, przekroczył czerwoną linię, skazując Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika na więzienie. Spowodowało to nie tylko ogłoszenie kuriozalnej amnestii przez prezydenta, ale i zemstę na samym Łączewskim.

> PiS robi wiele, by wygrać wybory albo w przypadku przegranej pozostać przy władzy. Ale jednego nie zrobił: nie osłabił opozycji **manipulując przy systemie finansowania partii politycznych.**

Szkopuł w tym, że niepisanej konstytucji nie można przeczytać i że ludzie spoza establishmentu politycznego o niej nie wiedzą. Prawdopodobnie nawet ci, którzy ją tworzyli, nie są jej istnienia świadomi. W dodatku jest ona dość chwiejna i elastyczna. Nowelizacje? Po każdych wyborach parlamentarnych do nowego Sejmu trafia 20-30 proc. posłów, którzy zostali wybrani po raz pierwszy, często z list nowych ugrupowań, jak Ruch Palikota, Nowoczesna czy Kukiz'15. Na początku ich członkowie często naruszają te „zapisy" i tym samym po części je – no właśnie – nowelizują.

Istnienie niepisanej konstytucji samo w sobie nie jest niczym nagannym: takie nieformalne zasady istnieją w niektórych krajach i często są stabilniejsze niż pisane konstytucje. Widać to chociażby w Wielkiej Brytanii, która jej w ogóle nie ma. Widać też w Izraelu, choć tam polityków co rusz korci, by zwykłymi ustawami próbować zmieniać ustrój państwa.

Nie do gardeł

Nasza ustawa zasadnicza z 1997 r. to klasyczna liberalna konstytucja państwa centralistycznego z kilkoma organami, których celem jest kontrola i ograniczanie zapędów rządu i parlamentu, wymuszanie kompromisów oraz rozliczanie władzy. I tu jest problem: w sytuacji, w której jedna partia kontroluje niemal wszystkie organy kontrolne, one nie tylko przestają chronić opozycję przed samowolą rządzących, ale zarazem przestają chronić obywateli. Więcej: również ta tajemna, niepisana konstytucja ich nie chroni.

To wyjaśnia ostatni z paradoksów sprawowania władzy przez PiS. Dlaczego w październiku 2020 r. – mimo licznych ostrzeżeń – przekroczył on czerwoną linię w sprawie aborcji, likwidując kompromis, który był respektowany przez wszystkie obozy polityczne po 1993 r.? Najwyraźniej ten temat nie był przedmiotem owej niepisanej konstytucji albo z niej wypadł gdzieś po drodze między rokiem 1993 i 2020.

Właściwie dlaczego? Otóż dlatego, że nie stanowił on nieformalnej umowy między rządzącymi i obywatelami, lecz jedynie chronił wspólny interes członków establishmentu politycznego, pragnącego ideowego rozejmu w tej kwestii. To bardzo sprzyja wszechobecnej w Polsce narracji o rzekomo wyobcowanych elitach politycznych, oderwanych od trosk prostych ludzi, ale jednocześnie chroni nas wszystkich przed siłowym wprowadzeniem dyktatury.

III RP na szczęście nie jest Turcją z tradycjami puczu (choćby w 2017 r.) i wsadzania przeciwników politycznych do więzień, nie jest też Tajlandią, która otarła się o wojnę domową w 2014 r., ani tym bardziej Mjanmą. Polacy mimo wszystkich medialnych i politycznych pozorów nie są głęboko podzielonym społeczeństwem, gdzie dwa wrogie obozy mogą sobie – dosłownie – skoczyć do gardeł. Być może w nadchodzącej kampanii coś takiego się zdarzy, kiedy krewcy zwolennicy wymkną się spod kontroli liderów, ale na razie w niepisanej konstytucji mamy „zapis", który mówi, że można upartyjnić policję i prokuraturę – ale partyjnych milicji i szwadronów śmierci zakładać nie wolno. Mimo że w ostatnich latach i PiS, i PO mogły posiłkować się przykładami ofiar, które poniosły śmierć z powodów politycznych, to wciąż Tusk i Kaczyński wolą zatrudnić (i drogo opłacać) prywatnych ochroniarzy, miast tworzyć partyjne (i tańsze) „oddziały samoobronny".

© KLAUS BACHMANN

Mieszkanie na minus

PIOTR WÓJCIK

Rewolucja mieszkaniowa PiS poniosła klęskę. Jeśli nowe pomysły w postaci tanich kredytów się nie sprawdzą, czekają nas fatalne konsekwencje społeczne.

Ogłoszone w 2016 r. Mieszkanie Plus miało być jednym ze sztandarowych programów społecznych partii władzy. Obecnie nikt z rządzących nie ukrywa, że projekt zawiódł oczekiwania. „Dziś sprzątam po Mieszkaniu Plus. Za chwilę zaproponuję rozwiązanie, które zamknie ten temat" – przyznał minister Waldemar Buda w rozmowie z „Rzeczpospolitą".

Głównym założeniem programu miało być zapewnienie tanich mieszkań na wynajem. Niestety, lokatorzy tych nielicznych, które udało się wybudować, najprawdopodobniej będą musieli je wykupić (choć rzekomo na preferencyjnych zasadach). W gruncie rzeczy i tak mają szczęście, że udało im się zdobyć jakiś lokal. Miliony młodych Polek i Polaków na własne mieszkanie nie mają obecnie szans. Prawdopodobnie ich sytuacji nie poprawi też uruchamiany od lipca rządowy Bezpieczny Kredyt 2 procent.

Polityka skapywania

Podczas marcowego posiedzenia sejmowej komisji infrastruktury wiceminister Olga Semeniuk poinformowała, że w ramach Mieszkania Plus wybudowano 20 tys. lokali, a kolejne 30 tys. jest w trakcie budowy. Zrealizowano więc ledwie jedną piątą planu (do końca 2019 r. miało być 100 tys. mieszkań), a w najlepszym razie uda się osiągnąć połowę zakładanej liczby, i to z kilkuletnim poślizgiem.

– Te obietnice były nierealistyczne już w momencie ich ogłoszenia – mówi dr Adam Czerniak, kierownik Zakładu Ekonomii Instytucjonalnej i Politycznej SGH. – Założenia programu zostały rozpisane poprawnie, ale politycy rozbudzili wobec niego zbyt duże oczekiwania.

Uruchomiony przez PiS Narodowy Program Mieszkaniowy składa się tak naprawdę z trzech różnych elementów. Pierwszym jest działalność spółki PFR Nieruchomości w ramach Polskiego Funduszu Rozwoju. W swoich założeniach działa ona na zasadach komercyjnych, budując mieszkania na wynajem z atrakcyjnym czynszem, mające być alternatywą dla zakupu na kredyt. To właśnie ten segment można uznać za właściwe Mieszkanie Plus. Według raportu GetHome.pl, powstałego na bazie danych PFR Nieruchomości, w latach 2016-2022 spółka wybudowała niespełna 3,5 tys. lokali. Kolejnych kilka tysięcy jest w budowie lub przygotowaniu. Największe inwestycje powstały do tej pory w Katowicach i Krakowie, gdzie oddano do użytku po ok. 500 lokali. Główną przyczyną niewielkiej skali było źle funkcjonujące przekazywanie publicznych gruntów pod nowe inwestycje.

– Agendy rządowe nie miały żadnych bodźców do tego, żeby przekazywać grunty – dodaje dr Marcin Wroński, ekonomista ze Szkoły Głównej Handlowej. – Proszę sobie wyobrazić sytuację prezesa Poczty Polskiej, który miałby przekazać jakąś działkę w Warszawie pod budownictwo komunalne, zamiast ją sprzedać za kilkadziesiąt milionów złotych.

Okazało się też, że mieszkania z PFR Nieruchomości nie są tak atrakcyjne, jak przekonywano. Lokatorzy budynków przy ul. Anny Szwed-Śniadowskiej w Krakowie skarżyli się na niską jakość wykonania oraz liczne błędy techniczne, skutkujące np. regularnym zalewaniem garaży. Mieszkańcy zaskoczeni są też wysokością czynszów, które w przypadku dużych mieszkań sięgają ponad dwóch tysięcy złotych.

Czynsze są problemem właściwie we wszystkich inwestycjach PFR Nieruchomości. Oburzonych lokatorów jest tak wielu, że w lutym prezes całej grupy PFR Paweł Borys poinformował o zamrożeniu stawek do końca 2025 r. Natomiast prezes PFR Nieruchomości Wojciech Caruk tłumaczył podczas zebrania sejmowej komisji infrastruktury, że jego spółka działa na zasadach rynkowych, więc musi oferować czynsze nieodbiegające zbytnio od realiów lokalnego rynku najmu.

– Wpisywanie klauzul inflacyjnych do umów najmu instytucjonalnego okazało się bardzo złym pomysłem – wyjaśnia sprawę Czerniak. – Pomysł ten pojawił się w momencie, gdy inflacja wynosiła 1-2 proc. i nikt nie przypuszczał, że za kilka lat wystrzeli do 18 proc. Gdy tak się stało, czynsze poszły mocno do góry i trzeba to było odkręcać.

Gminy nie chcą mieszkań

Pozostałe dwa elementy Narodowego Programu Mieszkaniowego to program wsparcia budownictwa komunalnego i program rozwoju budownictwa społecznego. Oba również zawodzą. W latach 2016-2022 powstało tylko 10 tys. mieszkań komunalnych, chociaż gminy mogą otrzymać dofinansowanie sięgające nawet 80 proc. kosztów inwestycji (z Funduszu Dopłat prowadzonego przez Bank Gospodarstwa Krajowego). Kolejne 11 tys. mieszkań oddały w tym czasie Społeczne Inicjatywy Mieszkaniowe i TBS-y, którym BGK oferuje wsparcie do 35 proc. kosztów. Gminy i TBS-y budowały lokale już długo przed dojściem PiS do władzy, a stworzenie Narodowego Programu Mieszkaniowego niespecjalnie rozruszało te segmenty budownictwa. Niestety, wciąż są one nieistotnym marginesem rynku. Dla przykładu, gminy w zeszłym roku oddały do użytku ledwie 629 mieszkań. To najmniej w tym wieku. Tymczasem w całym kraju w 2022 r. łącznie wybudowano ich 240 tys.

– Gminy nie chcą budować mieszkań, gdyż od pierwszego dnia muszą do nich co miesiąc dopłacać – wyjaśnia Adam Czerniak. – Czynsze komunalne są regulowane ustawowo na poziomie kraju i są zdecydowanie za niskie. Średnio stanowią ponad 1 proc. wartości odtworzeniowej mieszkania. Żeby takie mieszkanie miało dla gminy sens ekonomiczny, czynsz musiałby wynosić ok. 3 proc. wartości odtworzeniowej.

– Samorządowcom budowa mieszkań się nie opłaca, gdyż ich przełożenie na wyniki wyborów jest żadne. To bardzo drogie inwestycje, które dają niewiele głosów. Tym bardziej że lokatorzy mieszkań komunalnych często w ogóle nie głosują – uzupełnia Wroński.

ŁUKASZ DEJNAROWICZ / FORUM

Premier Mateusz Morawiecki podczas inauguracji budowy 171 mieszkań na wynajem w ramach rządowego programu Mieszkanie Plus. Gdynia, lipiec 2017 r.

Klapa Mieszkania Plus nastąpiła w najgorszym możliwym momencie. Właśnie teraz niezwykle by się przydało rozbudowane mieszkalnictwo publiczne, które wsparłoby pogrążony w kryzysie komercyjny rynek. Z powodu podwyżek stóp procentowych i zaostrzenia kryteriów dramatycznie spadła zdolność kredytowa Polaków. Według danych Biura Informacji Kredytowej w 2022 r. wartość udzielonych pożyczek hipotecznych spadła o połowę w porównaniu do 2021 r. W pierwszych czterech miesiącach tego roku kryzys na rynku hipotek jeszcze się pogłębił. Wartość nowych kredytów mieszkaniowych znów spadła o połowę – tym razem w porównaniu do analogicznego okresu 2022 r., gdy trwała już przecież bessa.

Według danych NBP przeciętna zdolność kredytowa w siedmiu największych miastach spadła z 700 tys. zł na początku 2021 r. do 450 tys. zł na koniec 2022 r. Pomimo załamania się popytu ceny nieruchomości mieszkalnych nadal jednak rosną. Te transakcyjne na rynku pierwotnym w ostatnim kwartale zeszłego roku wzrosły nominalnie o 13,5 proc. rok do roku. Deweloperzy nie mieli motywacji do korekty swojej oferty w dół, gdyż dzięki bardzo wysokim marżom zbudowali sobie solidną poduszkę finansową. Poza tym wciąż mogą liczyć na kupujących lokale w celach inwestycyjnych (np. pod wynajem), którzy płacą gotówką.

Niska dostępność mieszkań dla młodych ludzi przyniesie w niedalekiej przyszłości fatalne konsekwencje społeczne. Brak możliwości wyprowadzki od rodziców frustruje, ogranicza samodzielność i wymusza na młodych dorosłych odkładanie decyzji o założeniu własnej rodziny i dzieciach. W zeszłym roku odsetek Polek i Polaków w wieku 18-34 lata, którzy wciąż mieszkają z rodzicami, wzrósł z 64 do 66 proc. Jeszcze przed pandemią wynosił on „tylko" 59 proc. Średnia unijna to niecałe 50 proc.

Polski wskaźnik dzietności szoruje po dnie. W 2021 r. wyniósł ledwie 1,33. Cofnęliśmy się więc pod tym względem do czasów sprzed wprowadzenia 500 plus. Aktywna polityka mieszkaniowa i poprawa dostępności lokali w Polsce być może nie wpłyną skokowo na wskaźnik dzietności, ale lepszego sposobu na ten problem na razie nie wymyślono.

Polacy żądają wsparcia

Nowy program mieszkaniowy rządu to wchodzący w życie od lipca Bezpieczny Kredyt 2 procent. Zapewni on kredytobiorcom państwowe dopłaty do rat odsetkowych przez pierwsze dziesięć lat. Raty będą naliczane malejąco (na początku są najwyższe), dzięki czemu po ustaniu dopłat wzrosną tylko minimalnie. Beneficjentami programu będą mogły być osoby poniżej 45. roku życia, które chcą kupić swój pierwszy w życiu lokal na własne potrzeby mieszkaniowe. Platforma Obywatelska obiecuje wprowadzenie bliźniaczego, ale znacznie dalej idącego Kredytu 0 procent, w którym państwo spłacałoby wszystkie odsetki przez cały okres kredytowania.

– Program Bezpieczny Kredyt 2 procent oceniam wybitnie negatywnie – nie pozostawia złudzeń Czerniak. – Podobny program w USA częściowo przyczynił się do poprzedniego kryzysu finansowego. Dopłaty do kredytów powodują wzrost cen nieruchomości, w wyniku czego dostępność mieszkań wraca do tego samego poziomu, co sprzed ich wprowadzenia. Korzyści zdążą odnieść tylko ci, którzy pierwsi skorzystają z dopłat, gdyż kupią lokal jeszcze w niezłej cenie.

Niestety, w Polsce właśnie takie programy mają największe szanse na zdobycie poparcia. – Badania CBOS pokazują, że Polacy oczekują od państwa wsparcia finansowego dla mieszkań na kredyt. Budowy przez państwo lokali czynszowych oczekuje ledwie jedna piąta społeczeństwa – mówi Marcin Wroński.

– Pomysły na politykę mieszkaniową w Polsce dzielą się na te, które są skuteczne, i na te, które są politycznie chodliwe. Bezpieczny Kredyt 2 procent zalicza się do tej drugiej grupy – uzupełnia Czerniak.

Według niego nie do końca trafiony jest również pomysł Lewicy, która postuluje utworzenie publicznego dewelopera, mającego budować mieszkania czynszowe wspólnie z samorządami. Wymagałby on zaangażowania ogromnych środków, które w polskich realiach politycznych i organizacyjnych mogłyby zostać częściowo zmarnotrawione. Z kolei według Marcina Wrońskiego stworzenie publicznego dewelopera to pomysł zasadniczo sensowny, chociaż byłby on drogi i ma nikłe szanse na aprobatę ze strony elektoratu, gdyż Polacy w większości stawiają na mieszkania własnościowe.

Być może w Polsce najlepiej sprawdziłoby się partnerstwo publiczno-prywatne, w którym samorząd współpracuje albo z osobami prywatnymi budując wspólnie nieruchomości (tak jak dzieje się to w TBS-ach), albo z prywatnym inwestorem, a za wniesiony wkład otrzymuje na cele komunalne np. 20 proc. wybudowanych lokali. Zdaniem Czerniaka takie rozwiązanie jest najefektywniejsze w relacji wydatków publicznych do korzyści społecznych. Na dużą skalę stosują je chociażby Niemcy i Austria. Tą drogą mogłaby też pójść Polska. ©

Smartfon zamiast szczoteczki

ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

Państwo inwestuje w zęby przeciętnego Polaka 52 zł rocznie, co oznacza przerzucenie na obywateli zdecydowanej większości kosztów leczenia. I to po nas widać.

Tylko jedna czwarta Polaków stosuje się do podstawowych zaleceń higieny jamy ustnej, a 70 proc. nie bada się systematycznie u dentysty. Jeszcze gorzej wyglądają statystyki Naczelnej Izby Lekarskiej dotyczące próchnicy. W grupie trzylatków cierpi na nią 41 proc., a wśród osiemnastolatków – aż 93 proc.

– Mój syn Walduś długo myślał, zanim poszedł do dentysty – opowiada pani Aniela. – Mówię mu, jesteś już w latach, jak se kobity nie znajdziesz, to się gospodarka zmarnuje. No i trafiła się jedna z Ukrainy, akurat pan Bóg wojnę nadał, z dzieckiem, ale porządna i robotna. Tylko jak mu przed ołtarzem stawać, kiedy on ma w gębie taką przecinkę? Trzeba mu było zęby wstawić.

Waldek wahał się jeszcze miesiąc, bo może dla przyszłej żony ważniejsza będzie łazienka w domu niż to, czy on ma czym schabowego pogryźć. Sprawdził ceny, wyszło, że łazienka taniej go wyniesie niż leczenie zębów i wstawienie dwóch mostków. Jednak Olena naciskała na zęby. Waldek skończył wtedy 40 lat, miał ponad 30 hektarów, plantację truskawek, nowoczesne maszyny w leasingu i 13 zębów z 32 możliwych. To mniej, niż posiada przeciętny Polak w jego grupie wiekowej; tak mała ich liczba charakteryzuje dopiero starszych rodaków, w wieku 65-74 lat.

Dziś jednak Waldek szczerzy zęby w uśmiechu za 18 tysięcy. Czeka u dentysty w Chełmie na mamę, która właśnie przymierza protezę akrylową. – Mama zrobiła zęby „na fundusz", ale ja musiałem za każdą plombę zapłacić. Mostki mam wstawione też prywatnie, chociaż płacę składkę zdrowotną. U dentysty ostatnio byłem za dzieciaka, jeszcze w szkole mechanicznej. Jak ząb bolał, to się czosnek w dziurę pchało albo znieczulało spirytusem.

Naczelna Izba Lekarska i Polskie Towarzystwo Stomatologiczne od lat alarmują, że nakłady państwa na opiekę zdrowotną są zbyt niskie. Finansowanie leczenia zębów zostało w większości przerzucone na pacjentów, a nakłady państwa na stomatologię w 2023 r. zaplanowano na poziomie 2,8 mld zł, co stanowi około 2 proc. ogólnego budżetu NFZ. To więcej niż rok temu, ale nadal mniej niż w 2008 r., kiedy nakłady wynosiły 3,8 proc. Gdybyśmy chcieli te pieniądze przeliczyć na statystycznego Polaka, wypadnie 52 zł rocznie.

Trzecie miejsce od końca

– Obecnie mamy 40 tys. zarejestrowanych lekarzy dentystów, co znaczy, że na 100 tys. mieszkańców przypada ich około 100. Mieścimy się w średniej europejskiej, ale pod względem higieny jamy ustnej Polska znajduje się na 26. miejscu wśród 28 badanych krajów – podkreśla Paweł Barucha, wiceprezes Naczelnej Izby Lekarskiej.

Brak szerokiego dostępu do opieki stomatologicznej gwarantowanej przez państwo ma negatywny wpływ na zdrowie, bo zęby to nie tylko kwestia estetyczna. Nieleczone stany zapalne w szczęce wywołują choroby serca, stawów i oczu, a nawet mogą prowadzić do sepsy. Tymczasem w ramach NFZ pacjentom przysługuje leczenie kanałowe siekaczy i kłów, czyli zębów przednich: górnych i dolnych. Dzieci i młodzież do ukończenia 18. roku życia oraz kobiety w ciąży i w okresie połogu (42 dni od momentu porodu) mają prawo do bezpłatnego leczenia wszystkich zębów. Bez względu na wiek pacjenci mogą raz w roku usunąć na koszt państwa kamień nazębny. W teorii nie jest więc źle.

– W ramach NFZ dostępne jest wypełnienie z białego, kompozytowego materiału chemoutwardzalnego, ale tylko do ubytków w zębach przednich górnych i dolnych, a w pozostałych: z cementu szkło-jonomerowego – wyjaśnia Małgorzata Bartoszek, rzeczniczka prasowa lubelskiego oddziału Funduszu.

ANATOL CHOMICZ / FORUM

Jednak nawet te dostępne „na papierze" usługi refundowane przez państwo są w gruncie rzeczy trudno osiągalne. Stomatolodzy niechętnie podpisują umowy z NFZ, wielu nie odnawia wcześniej zawartych kontraktów.

– Stopień finansowania świadczeń stomatologicznych jest niedostateczny, procedury są niedoszacowane. NFZ nieustannie podnosi wymagania placówkom w zakresie personelu, sterylizacji, informatyzacji czy wymogów lokalowych, ale nie idzie za tym gratyfikacja finansowa – uważa Małgorzata Górska, stomatolożka w Centrum Stomatologii Estetycznej Multimed w Zamościu.

Zagłębiam się w wycenę świadczeń NFZ i konfrontuję je z cenami, które widnieją na stronach internetowych gabinetów w różnych miastach. Za leczenie zęba z wypełnieniem jednego kanału NFZ płaci stomatologom od 95,25 do 153 zł, tymczasem prywatnie w krakowskim gabinecie zostawimy za taką samą usługę od 450 do 800 zł. Jeśli jednak zechcemy leczyć się

Stoisko kierunku lekarsko-dentystycznego Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku na Podlaskim Festiwalu Nauki i Sztuki, czerwiec 2018 r.

z użyciem mikroskopu i potrzebujemy znieczulenia, to np. w lubelskim gabinecie zapłacimy już 900 zł, a wypełnienie trzech kanałów podnosi ten koszt do 1700 zł. Z kolei za usunięcie zęba jednokorzeniowego NFZ zapłaci stomatologowi 35 zł, natomiast w gabinecie prywatnym w dużych miastach trzeba będzie wysupłać na ten cel od 290 do 600 zł, w zależności od tego, jak przebiegnie ekstrakcja.

Znacznie mniej wydamy za te same procedury w gminach wiejskich. Ma na to wpływ wiele rzeczy – dla przykładu strzykawka może kosztować 50 zł, ale także 200. Lekarze stosują różnej jakości wypełnienia, wielu zatrudnia asystentki. Beata, dentystka w powiecie krasnostawskim, za unit stomatologiczny (fotel z zestawem urządzeń) zapłaciła 48 tys. zł, ale na rynku dostępne są również takie za ponad sto tysięcy.

Jeden na tysiące

– Nie ma jednej stomatologii, inaczej wygląda leczenie w dużych ośrodkach, a inaczej na wsi, gdzie czynsze są niższe. U mnie ceny nigdy nie będą takie jak w miastach, muszę się dostosować do możliwości finansowych pacjentów. Wyrwanie zęba kosztuje w granicach 150 zł, leczenie kanałowe to 200 zł, przegląd zębów robię dzieciom za darmo – wylicza Beata, dentystka z 24-letnim stażem. – Moi pacjenci to głównie rolnicy, pracownicy sezonowi, często ludzie zarabiający najniższą krajową. Kiedy zaczynałam pracę na wsi, prowadziłam głównie walkę z bólem. Ropnie, zgorzele, usuwanie zębów. Zaniedbania były ogromne, dopiero po kilku latach sytuacja ustabilizowała się i mogłam zacząć naprawdę leczyć.

Beata przez 22 lata pracowała na kontrakcie z NFZ. Wspomina, że na początku, kiedy funkcjonowały kasy chorych, ale także przez kilka kolejnych lat, współpraca układała się dobrze, a wycena procedur medycznych nie była tak oderwana od rzeczywistości jak obecnie. – Zrezygnowałam, bo nie mogłam się pogodzić z tym, że polskie państwo tak marnie ceni moją wieloletnią pracę. Za usunięcie zęba NFZ płaci dziś mniej niż kosztuje sterylizacja narzędzi i przygotowanie się do zabiegu – podsumowuje Beata, która od stycznia prowadzi tylko praktykę prywatną.

Taką decyzję jak Beata podjęło wielu lekarzy, dlatego chociaż NFZ deklaruje, że leczenie zębów jest w Polsce bezpłatne, w praktyce to obywatele ponoszą większość kosztów. Nawet jeśli chcą pójść do dentysty na zabiegi refundowane i czekać tygodniami w kolejce, jest to w niektórych miastach niemożliwe. Np. w województwie lubelskim świadczenia stomatologiczne są zabezpieczone w 181 gminach na 202 objęte kontraktowaniem. W 20-tysięcznym Krasnymstawie nikt nie podpisał umowy z NFZ. Takich miejsc jest w Polsce więcej. W Krakowie „na fundusz" leczy 199 dentystów. Na jednego specjalistę przypada 4 tys. pacjentów.

– Stomatologia w Polsce musi zmagać się z niedofinansowaniem przy stale rosnących kosztach. Lekarze są obciążeni biurokracją i niezrozumiałymi, ciągle zmieniającymi się przepisami. W efekcie na NFZ pracuje tylko 30 proc. dentystów, a ok. 90 proc. gabinetów jest prywatnych. Mamy dostęp do nowoczesnych metod leczenia tylko dzięki determinacji i zaangażowaniu dentystów – podsumowuje Paweł Barucha, wiceprezes Naczelnej Izby Lekarskiej.

Wspomniane nowoczesne metody są dostępne dla coraz mniejszego grona klientów. Powodem są ceny, które w wyniku inflacji i ogromnych podwyżek opłat za prąd i gaz wzrosły średnio o 30 proc. i postawiły wielu ludzi w sytuacji dramatycznego wyboru: leczyć zęby czy zapłacić za mieszkanie?

Coraz powszechniejsze jest też zaciąganie kredytów na długotrwałe leczenie lub poważne zabiegi, np. implantologiczne. Implant to tytanowa śruba wkręcona w szczękę na stałe, na której umieszczona jest ceramiczna lub porcelanowa korona. Ceny wahają się od 5 do 8 tys. zł i zależą od jakości wybranego materiału i rodzaju zabiegów, które towarzyszą implantacji. Czasem okazuje się, że nie można pacjentowi wszczepić do szczęki śruby, bo kość jest zbyt wątła i wymaga uzupełnienia, a to podnosi koszty i wydłuża leczenie.

Paweł, stomatolog z Gdańska z 15-letnim stażem, gabinet odziedziczył po ↦

mamie. Chciał być dentystą już w dzieciństwie, toteż wszystkie lalki siostry miały dziury w miejscu ust. Paweł z zacięciem szukał w nich zębów.

– Cztery lata temu zgłosiła się do mnie nauczycielka, która w wypadku samochodowym straciła przednie zęby i konieczna była implantologia. To była młoda kobieta, pracowała w szkole średniej i nie mogła pokazać się uczniom i ich rodzicom w takim stanie. Zresztą przez brak zębów mówiła niewyraźnie. Kiedy już skończyliśmy wszystkie zabiegi, wyznała, że nosi w szczęce cały swój wkład na mieszkanie. Koszt leczenia przekroczył 50 tys. zł – opisuje Paweł.

Pasta była za droga

Ryszard Kapuściński w reportażu „Reklama pasty do zębów" z 1962 r. opisał życie mieszkańców wsi Pratki. Dziewczyny w rozmowie z reporterem dławiły się bezgłośnym śmiechem lub zasłaniały dłonią usta. Kapuściński pisze: „Kawalerka pratkowska kupuje sobie motocykle, a dziewczyny nabywają za słony grosz przebojowe halki z organtyny i dlatego nikogo nie stać na tubkę pasty »Odonto« (Lechia, Poznań) za trzy złote i pięć groszy". Od napisania tego reportażu minęło 60 lat i wydawać by się mogło, że od tego czasu zmieniło się wszystko. Jednak w wielu miejscach Polski refleksja Kapuścińskiego pozostaje aktualna. Nawet cena najtańszej pasty waha się w granicach trzech złotych.

– Był u mnie niedawno pacjent z bólem, trzydziestoletni, z zawodu kierowca, zęby miał tak bardzo oblepione płytką nazębną, że od razu zobaczyłam, że ich nie czyści – opowiada Beata, dentystka w powiecie krasnostawskim. – Okazało się, że nie ma w domu szczoteczki, choć ma niezłego smartfona. Kiedyś takie rozmowy były dla mnie trudne, ale to jest moja praca, muszę ludzi uświadamiać. U tego mężczyzny wszystkie zęby kwalifikują się do leczenia, ale jak założyć wypełnienie, kiedy z dziury wygląda szczypiorek?

Mimo że dziś wiedza na temat higieny jest łatwo dostępna, a półki w sklepach uginają się pod ciężarem past, szczoteczek, płynów i nici dentystycznych, tylko co piąty Polak myje zęby raz dziennie, 10 proc. obywateli nie czyści ich nigdy, a 800 tys. nie ma własnej szczoteczki. Tego już nie da się usprawiedliwić wysokimi cenami w gabinetach. Zaniedbań o takiej skali nie da się tłumaczyć wyłącznie cenami usług dentystycznych. Do stomatologa w ramach NFZ można dostać się w ciągu kilkunastu dni, czasem trzeba będzie poczekać ponad miesiąc. A jeśli komuś nie odpowiada „państwowa plomba", może dopłacić do lepszej.

Półki w sklepach uginają się pod ciężarem past, ale tylko co piąty Polak myje zęby choć raz dziennie, 10 proc. nie czyści ich nigdy, a 800 tys. nie ma szczoteczki.

– Bardziej zaniedbani są mężczyźni, ale jest też duża grupa młodych osób obojga płci niedbających o higienę. Zdarza mi się przyjmować dziewczyny, wymalowane tak dokładnie, jakby zaraz miały wejść na plan filmowy, ale zęby mają tak brudne... I jeszcze w uśmiechu pokazują, jak bardzo są one zjedzone przez próchnicę – opowiada Ewa, dentystka z 35-letnim stażem w wiejskiej gminie województwa lubelskiego.

Ewa w czerwcu zamyka gabinet i przechodzi na emeryturę, a z mapy zniknie kolejny punkt, w którym można było leczyć się na NFZ. – Umowa zapewnia stały przypływ pieniędzy, ale wymagania są bardzo wyśrubowane. Koszt utrzymania lokalu, opłacenie technika, asystentki, zakup materiałów czy remonty pochłaniają całą refundację. Wycena świadczeń jest do nich niewspółmierna, bywają miesiące, że po rozliczeniu zostaje mi 3 tys. zł. Zarabiam na leczeniu prywatnym – podsumowuje.

Dentobus nie dojechał

Gabinet Beaty zdobią laurki narysowane przez młodych pacjentów. Dzieci oswajały się z nią powoli, ale teraz wiele dziewczynek w gminie chce być dentystkami.

– Na pierwszej wizycie nigdy nie leczę dziecku zębów, jest zabawa na fotelu w samolot. Buduję zaufanie i zapraszam dziecko do współpracy mówiąc mu, że jak tylko poczuje dyskomfort, ma podnieść rękę. Wtedy od razu przerywam – opowiada Beata.

Lekarka podkreśla, że stosunek do higieny i dbania o zęby wyrabia się w dzieciach od najmłodszych lat. Jeśli nabiorą odpowiednich nawyków i nauczą się poprawnego szczotkowania, ta umiejętność będzie im towarzyszyć przez całe życie. Dużą rolę odgrywa w tej kwestii świadomość, zwłaszcza rodziców, ale także dostępność punktów stomatologicznych w szkołach.

– W Krakowie gabinety stomatologiczne są w 22 placówkach, dwa uruchomiono od marca tego roku. Jeśli w szkole go brakuje, dyrekcja musi zawrzeć umowę na leczenie zębów dzieci z najbliższą przychodnią, która ma umowę z NFZ. Uczniowie są tam przyjmowani poza kolejnością – podkreśla rzeczniczka małopolskiego NFZ, Aleksandra Kwiecień. – W ubiegłym roku ze świadczeń stomatologicznych finansowanych przez państwo skorzystało w naszym regionie ponad 278 tys. uczniów.

Rozwiązaniem dla dzieci i młodzieży pozbawionej dostępu do lekarza miały być tzw. dentobusy, czyli mobilne gabinety stomatologiczne, które – jak chwali się na swojej stronie Ministerstwo Zdrowia – dojeżdżają w najdalsze zakątki Polski. Idea brzmi pięknie. Podczas wizyty lekarz ocenia stan jamy ustnej, ustala plan leczenia i udziela informacji w zakresie profilaktyki. Według danych NIL w 2021 r. z wizyty w dentobusie skorzystało 18 tys. dzieci, jednak polegały one głównie na zrobieniu przeglądu i lakowaniu (uszczelnieniu zagłębień) zębów, dużo rzadziej podejmowano w mobilnych gabinetach poważne leczenie. Na pewno dentobusy nie zmienią jednej przygnębiającej prawdy: dzieci w Polsce za późno trafiają na pierwszą wizytę stomatologiczną, bo około siódmego roku życia, i jest to najczęściej związane z bólem.

– W Polsce pokutuje przekonanie, że zębów mlecznych się nie leczy, a to ogromny błąd. Rodzice małych dzieci muszą sobie uświadomić, że należy kontrolować ich uzębienie od wczesnych lat, a nie szukać pomocy, kiedy dziecko już jest spuchnięte – podkreśla Małgorzata Górska, stomatolożka z Zamościa. Nie jest optymistką i uważa, że realne zmiany to raczej kwestia pokoleń niż kilku lat. A i to przy założeniu zaangażowania państwa i systematycznej edukacji higienicznej. Czyli tego, czego w dobie smartfonów wciąż nie zrozumieliśmy.

© ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

TOMASZ

Stawiszyński: *Przyspieszenie*

James Hillman, myśliciel oscylujący gdzieś na pograniczach filozofii, psychoanalizy, antropologii, mitoznawstwa i kilku jeszcze innych dyscyplin (wiadomo, pogranicza zawsze są najciekawsze), słynął z cokolwiek dygresyjnego, meandrycznego sposobu pisania i mówienia. Kiedy podczas spotkań autorskich albo dyskusji po wykładach ktoś podnosił rękę i prosił o możliwość zadania „jeszcze jednego szybkiego pytania", nieodmiennie odmawiał: „przykro mi, moje odpowiedzi są powolne". Napisał nawet na ten temat esej pod tytułem „Cnoty ostrożności" („Virtues of caution"), który jest swoistą pochwałą tego, co – zdaniem autora – stanowi przeciwieństwo trendów od pewnego czasu w kulturze zachodniej dominujących. To znaczy: pośpiechu, przyspieszenia, ekspansji, progresu, przekraczania granic. Ponieważ właśnie takie jakości rządzą dziś światem, wszystko, co się w tę globalną frenetyczność nie wpisuje albo też wyraźnie jej przeciwstawia, bywa automatycznie postrzegane jako zagrożenie. Stąd właśnie powszechna niechęć do refleksji, jednostronna koncentracja na praktyczności i efektywności, stąd także definiowanie czynników spowalniających – np. smutku, zwątpienia czy bezradności – jako przeszkód wymagających takiej czy innej (najczęściej farmakologicznej lub terapeutycznej) korekty.

Oczywiście, tego rodzaju kulturowo-cywilizacyjne środowisko jest na dłuższą metę nie do wytrzymania. Nie da się funkcjonować w nieustannej euforii, zniecierpliwieniu, kulcie efektywności, optymizmie i przyspieszeniu. Kiedy zaś kultura nie stwarza przestrzeni dla innego typu przeżyć czy wartości, powracają one – zgodnie ze starą psychoanalityczną zasadą, w myśl której w psychice nic nie ginie – w formie inwazyjnej i gargantuicznej. Z takiej dynamiki – przynajmniej po części – bierze się, zdaniem Hillmana, współczesna epidemia depresji. Nie wnikając w naturę ostatnich sporów wokół tego zjawiska, jego istota polega być może także na tym, że dla ogromnej części ludzi wprzęgniętych w reżim efektywności nie ma dziś innej dopuszczalnej formy doświadczenia bezradności i rozpaczy niż... medyczna diagnoza. Ten bowiem, kto wypada z powszechnego wyścigu, kto nie ma już siły, kto zatem nie nadąża – ten może zostać uznany albo za nieudacznika (co niesie ze sobą moralne odium), albo pacjenta (co moralne odium przynajmniej częściowo zdejmuje).

Zauważmy, że tak czy inaczej źródła cierpienia pozostają tutaj wewnątrz jednostki. Opresyjna, skoncentrowana na konkurencji i efektywności rzeczywistość społeczno-ekonomiczna wciąż pozostaje poza sferą podejrzeń. Tymczasem bardzo możliwe przecież, że to ona jest w pierwszej kolejności winowajcą, ona jest źródłem naszych cierpień... Nie zmienia to oczywiście faktu – co, nawiasem mówiąc, czasami umyka rozmaitym krytykom „panterapeutyzmu" – że, po pierwsze, cierpienie, owszem, niekiedy rodzi się właśnie w jednostce, w zdarzeniach jej prywatnej historii albo w komórkach jej układu nerwowego, a po drugie że dla ogromnej rzeszy ludzi pozostawionych samym sobie gabinet psychiatryczny czy psychoterapeutyczny bywa dziś *de facto* ostatnią deską ratunku. Poza wszystkim zaś, kiedy naprzeciwko staje wycieńczony i cierpiący człowiek, trzeba mu po prostu pomóc – niezależnie od tego, co na ten temat twierdzą najbardziej nawet przenikliwi tropiciele patologii kapitalizmu.

Ale wątek związany z epidemią depresji to tylko dygresja, jak na tekst, w którym mowa o Hillmanie, przystało. Tematem, który mnie głównie interesuje, jest bowiem wspomniany na początku pośpiech, przyspieszenie i idąca z nimi naturalnie w parze niecierpliwość. O „powolnych odpowiedziach" Hillmana, o jego niechęci do szybkich, krótkich, efektownych formułek i redukcyjnych wyjaśnień złożonych problemów przypominam sobie dziś bardzo często. Specyficznie – w kontakcie z mediami społecznościowymi, których masywnej ekspansji Hillman wprawdzie nie uświadczył (zmarł w 2011 r.), ale nawet gdyby uświadczył – jestem pewien – nie założyłby konta w żadnym społecznościowym portalu.

Abstrahując już od tempa, w jakim przed naszymi oczami przepływają kolejne wiadomości i posty, abstrahując od tego, że za tym strumieniem informacji zwyczajnie nie sposób nadążyć (choć zarazem ma się imperatyw, że koniecznie trzeba dotrzymać mu kroku), intensywnym przyspieszeniem i zniecierpliwieniem nacechowane są w mediach społecznościowych także międzyludzkie – czy też raczej należałoby powiedzieć: międzyawatarowe – interakcje. Posty domagają się natychmiastowego komentowania, komentarze – natychmiastowych odpowiedzi; wysłane i odczytane wiadomości, jeśli brak na nie reakcji choćby w postaci emotikonu, wywołują nieokreślony, a wzrastający z minuty na minutę niepokój. Publikowane w mediach społecznościowych teksty – w postaci linków i krótkich zajawek – opatrywane są błyskawicznie znamionami radykalnej sympatii lub antypatii, zanim jeszcze użytkowniczki i użytkownicy zdążą zapoznać się z ich treścią. Chociaż właściwie określenie „zanim" jest tutaj niespecjalnie adekwatne, ponieważ treść pozostaje często bez znaczenia – feeria opinii rozwija się bez związku z tym, co opiniowaniu podlega. Po to tylko, żeby za chwilę uwaga przekierowała się w stronę innego emocjonującego tematu, a potem kolejnego i kolejnego. Coraz szybciej i szybciej...

Jak to wpływa na jakość naszych relacji i bliskich więzi? A to już temat na zupełnie inne rozważania, proszę więc o cierpliwość. ©

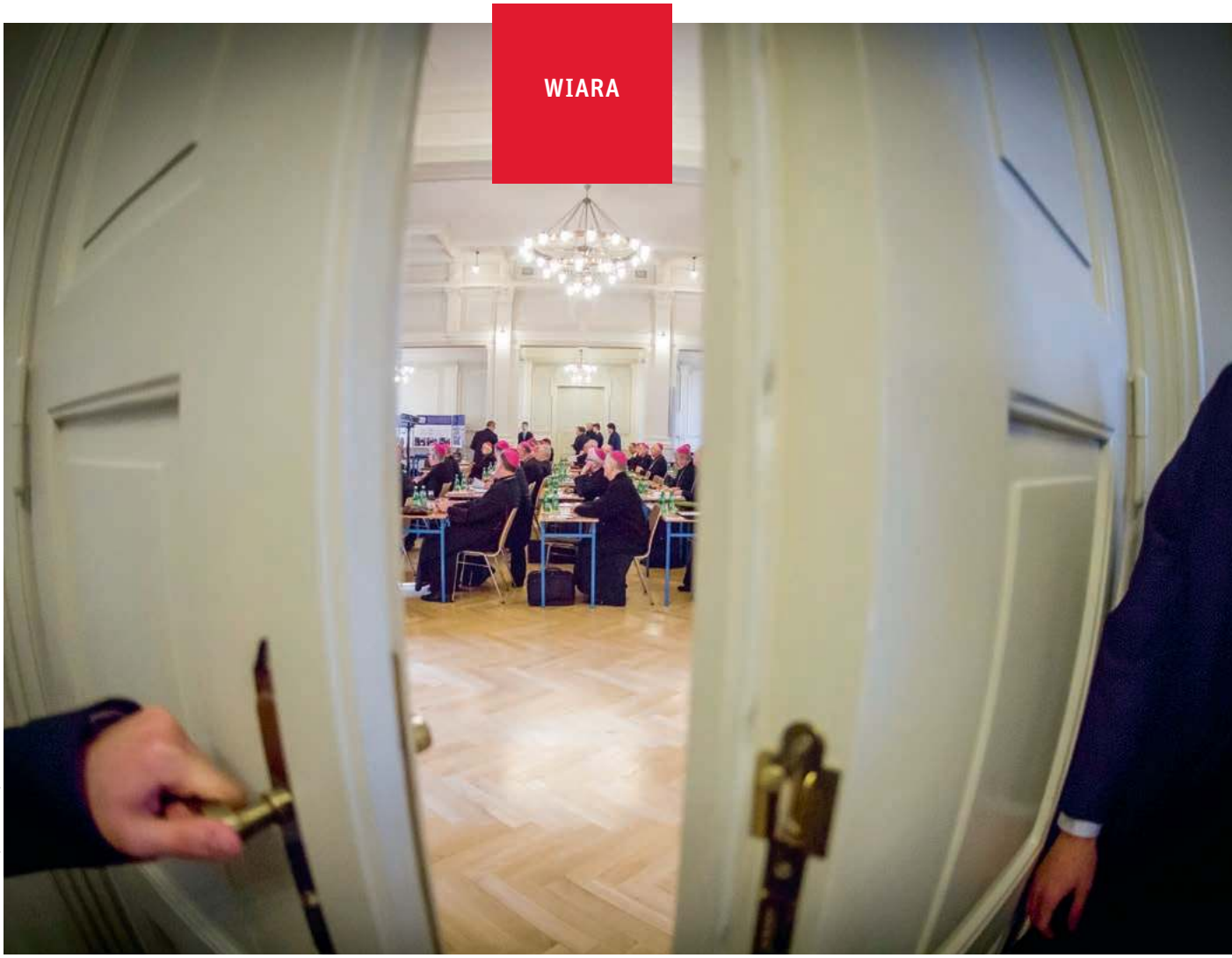

MARCIN MAZUR / BP KEP / MATERIAŁY PRASOWE

Obrady Konferencji Episkopatu Polski w Poznaniu, kwiecień 2016 r.

FALA ZGŁOSZEŃ

KS. PIOTR STUDNICKI:

Jeszcze kilka lat temu usłyszałem opinię, że nas ochronił komunizm, bo wpływy Zachodu były mniejsze, a poza tym Kościołowi zabrano katechizację w szkołach, więc księża mieli mniejszy dostęp do małoletnich.

ANNA GOC: Dziennikarze Tomasz Krzyżak i Piotr Litka ustalili, że w latach 1944-89 władze PRL zajmowały się 121 sprawami wykorzystania seksualnego małoletnich przez duchownych. Jaką wiedzę o sprawcach i osobach pokrzywdzonych ma dzisiaj Kościół?

KS. PIOTR STUDNICKI: Episkopat Polski przy pomocy Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego przeprowadził dotąd cztery kwerendy statystyczne. Mamy informacje o blisko 900 oskarżonych i sprawcach i ponad 1200 skrzywdzonych małoletnich. Połowa z nich miała mniej niż 15 lat. Dane pokazują skalę zgłoszeń, a nie skalę krzywdy.

Do skali zgłoszeń wątpliwości były już przy pierwszej prezentacji danych. Przypomnijmy: raport episkopatu z 2019 r. zawierał dane o 382 sprawcach i 625 pokrzywdzonych. Ojciec Adam Żak mówił rok wcześniej w wywiadzie dla „Tygodnika Powszechnego": „Wszystko, co wiemy albo będziemy wiedzieli

o liczbie zgłoszeń lub skazań, może się okazać wierzchołkiem góry lodowej". To zdanie jest aktualne?

Jeśli w 2019 r. mieliśmy informacje o 382 sprawcach, a dzisiaj, zaledwie cztery lata później, wiemy o 900, to znaczy, że już przeżywamy falę ujawnień. Są to sprawy wykorzystania seksualnego małoletnich przez duchownych i zakonników zgłoszone w diecezjach i zakonach męskich od 1990 do końca 2022 r. Najstarsze ze zgłoszonych przestępstw popełniono w latach 50.

Dziennikarze zajęli się kwerendą archiwalną, czyli okresem od 1944 do 1989 r. Dlaczego Kościół dotąd tego nie zrobił?

Odpowiem cytatem z papieża Franciszka.

Wolałabym rozmawiać z księdzem Piotrem Studnickim.

Podpisuję się pod tym, co powiedział papież: „Pasterz czasem idzie przed owcami dając dobry przykład, czasem obok, towarzysząc im, a czasem idzie za owcami, ponieważ ich węch pozwala mu rozpoznać nowe drogi". Myślę, że to jest ten trzeci przypadek.

Nie rozumiem. Zapytam inaczej: dlaczego polski episkopat nie zajął się kwerendą archiwalną, czyli nie zrobił tego, co zrobiły np. episkopaty Niemiec, Francji i Portugalii? A wcześniej Irlandii, Stanów Zjednoczonych, Australii czy Anglii i Walii.

Myślę, że dopiero dojrzeliśmy do odważnego spojrzenia wstecz, rozliczenia się z przeszłością. I wzięcia za nią odpowiedzialności.

Mówi Ksiądz o „księżach pasterzach", którzy idą za „dziennikarzami owcami", zdając się na ich węch – gdzie tu jest wzięcie odpowiedzialności?

Decyzja o rozpoczęciu prac nad komisją jest krokiem w stronę wzięcia odpowiedzialności. Mógłbym przecież zapytać: dlaczego dziennikarze dopiero teraz zrobili kwerendę w archiwach IPN, skoro dokumenty są dostępne od kilkunastu lat?

Zostałabym jednak przy fakcie, że dziennikarze zrobili kwerendę archiwalną w IPN oraz w Archiwum Akt Nowych i że nie mają szansy jej wyników porównać z archiwami kościelnymi, które są dla dziennikarzy opisujących od lat przypadki pedofilii w Kościele zamknięte.

Jeśli chodzi o badania archiwalne, takiej poważnej kwerendy, jaką zrobili redaktorzy Litka i Krzyżak, do tej pory nie było. Żeby było jasne, to nie jest mój zarzut wobec kogokolwiek. Mnie też trudno zrozumieć, dlaczego potrzebowaliśmy aż tyle czasu, żeby rozpocząć proces rozliczania się z przeszłością. Widzę to jednak tak: wszyscy dojrzewamy do zmierzenia się z dramatem wykorzystania seksualnego – ludzie świeccy dojrzewają, dziennikarze dojrzewają i duchowni dojrzewają.

Archiwa kościelne będą dostępne dla dziennikarzy?

Nie przypuszczam. Warto zauważyć, że komisje powoływane przez Kościół we wspomnianych przez panią państwach składały się z ekspertów różnych dyscyplin naukowych, a nie dziennikarzy.

Dziennikarze pracując nad materiałami także potrzebują materiałów z archiwów, w tym kościelnych. Czy archiwa kościelne będą dostępne dla członków polskiej komisji?

W marcu polscy biskupi zdecydowali o rozpoczęciu prac nad powołaniem komisji niezależnych ekspertów. Delegat ds. ochrony dzieci i młodzieży wraz ze współpracownikami opracowuje koncepcję i założenia metodologiczne takiej komisji, które chce przedstawić biskupom w czerwcu na zebraniu plenarnym episkopatu. Analizujemy raporty, m.in. z Francji i Portugalii, pod kątem przeprowadzonych tam badań. Jeśli chodzi o komisję polską, to na pewno biskupi wyrazili oczekiwanie przeprowadzenia badań archiwalnych – zarówno w archiwach państwowych, jak i kościelnych. Zakładam więc, że komisja będzie miała możliwość przejrzenia archiwów kościelnych. Być może więcej szczegółów pojawi się w czerwcu.

Jaka jest struktura archiwów kościelnych? Gdzie są dokumenty dotyczące wykorzystania seksualnego małoletnich przez duchownych?

Nie pracuję w archiwach kościelnych.

Sądziłam, że szef Biura Delegata KEP ds. Ochrony Dzieci i Młodzieży ma dostęp do archiwów kościelnych, w których jest dokumentacja dotycząca sprawców i pokrzywdzonych.

Nie ma. Prowadzenie postępowań kanonicznych nie należy do zadań delegata KEP ani jego biura.

A gdyby Ksiądz chciał przejrzeć archiwa, to mógłby?

Oryginały akt z postępowania wstępnego przeprowadzonego w diecezji lub zgromadzeniu zakonnym są przekazywane Dykasterii Nauki Wiary, która prowadzi dalszą część postępowania kościelnego. Od tego momentu akta są własnością Stolicy Apostolskiej i to ona musi wyrazić zgodę na ich udostępnienie, nawet jeśli kopie tych akt znajdują się w archiwach diecezji lub zakonu. To dlatego episkopaty Francji i Portugalii prosiły Stolicę Apostolską o zgodę na dostęp do kościelnych akt dla członków komisji.

Czyli musiałby Ksiądz poprosić o zgodę Stolicę Apostolską?

Tak.

Portugalską komisją kierował psychiatra dziecięcy, który zajmuje się ochroną dzieci. Czy w Polsce takie rozwiązanie jest możliwe?

Mam nadzieję, że również w Polsce niezależną komisją będzie kierowała osoba, co do której kompetencji i bezstronności nie będzie wątpliwości. Na tym etapie nie jestem w stanie powiedzieć nic więcej. Zarówno główne założenia komisji, jak i jej skład muszą najpierw zatwierdzić biskupi.

Czy jako Biuro Delegata ds. Ochrony Dzieci i Młodzieży rozważacie szkolenia dla biskupów w zakresie psychologicznych aspektów wykorzystania seksualnego?

Dotychczas przeprowadziliśmy takie szkolenia dla wyższych przełożonych żeńskich zgromadzeń zakonnych. Trwają ustalenia, by podobne szkolenie przygotować dla przełożonych zakonów męskich. W następnym etapie chcielibyśmy je również zorganizować dla biskupów. Mam nadzieję, że się uda.

Dlaczego jesteśmy co najmniej kilka lat za innymi krajami z decyzją o powołaniu niezależnej komisji, która ↦

↦ **zajmie się zbadaniem skali wykorzystania seksualnego małoletnich przez duchownych?**

Zanim powoła się niezależną komisję, warto zrobić badania, które pozwolą przybliżyć skalę problemu. Inne kraje, np. Francja, także zbierały najpierw dane wewnątrz Kościoła, a potem decydowały się na powołanie komisji.

Inną kwestią jest fakt, że do tej pory nie mieliśmy odwagi spojrzenia w przeszłość. Skupiliśmy się na budowaniu systemu prewencji, na pomocy osobom skrzywdzonym, zabrakło natomiast determinacji, żeby zmierzyć się z przeszłością. Baliśmy się przyznać do ignorancji, do zaniedbań, do błędów. W Kościele w Polsce mocne było przekonanie, że to Zachód ma problem, a nie my. Jeszcze kilka la temu usłyszałem opinię, że nas ochronił komunizm, bo wpływy Zachodu były mniejsze, a poza tym Kościołowi zabrano katechizację w szkołach, więc księża mieli mniejszy dostęp do małoletnich.

Kwerenda dziennikarzy „Rzeczpospolitej" obala tę tezę.

Nasze myślenie o historii nie ułatwia przyjęcia do wiadomości, że w historii Kościoła były sprawy, których powinniśmy się wstydzić. Jako Kościół wychodziliśmy z komunizmu z poczuciem dumy i satysfakcji. Teraz wiemy, że obok prawdziwych powodów do dumy są także powody do wstydu. Mamy też przestępców w sutannach – byli księża, którzy krzywdzili dzieci, współpracowali ze służbami.

Z jakimi reakcjami wewnątrz Kościoła spotyka się Ksiądz, gdy mówi o tych dwóch stronach historii?

Moje doświadczenia są różne, ale przeważają pozytywne. Wraz z zarządem Fundacji Świętego Józefa dużo jeździmy po Polsce i spotykamy się z osobami odpowiedzialnymi w diecezjach za reagowanie na przestępstwa seksualne, pomoc pokrzywdzonym oraz prewencję. Mam w pamięci dobre, merytoryczne rozmowy, liczne pytania, z których wynika, że jest chęć do wspólnego działania.

Czasem trafiamy też na opór. Nie tyle wobec naszej działalności, co wobec tematu pedofilii w Kościele. Księża czują się tym tematem napiętnowani. Opowiadają, że mają wrażenie, jakby w odbiorze społecznym wszyscy byli pedofilami. Staramy się ich również wspierać.

Jedna piąta zgłoszeń pochodzi od duchownych.
Mamy więc do czynienia z przełamaniem czegoś, co moglibyśmy nazwać klerykalizmem, a nawet zmową milczenia.

Wyjaśniać, że naszymi działaniami nie chcieliśmy powiedzieć, że wszyscy jesteśmy winni. Tylko że ciąży na nas, jako instytucji, odpowiedzialność za pomoc skrzywdzonym.

Warto dodać, że jak wynika z ostatnich dwóch kwerend przeprowadzonych w 2021 i 2022 r., jedna piąta zgłoszeń pochodzi od duchownych. Mamy więc do czynienia z przełamaniem czegoś, co moglibyśmy nazwać klerykalizmem, a nawet zmową milczenia. Myślę, że to także efekt pracy prewencyjnej prowadzonej już od blisko dziesięciu lat, zainicjowanej przez o. Adama Żaka i realizowanej przez Centrum Ochrony Dziecka, a dziś także przez Fundację Świętego Józefa. Widać, że dzięki szkoleniom, spotkaniom i rozmowom wśród księży wzrasta świadomość i umiejętność reagowania.

Wróćmy do danych. Wspomniał Ksiądz o czterech kwerendach. Jaka jest metodologia zbierania danych?

Pierwsza kwerenda była badaniem pilotażowym. Rozpoczął ją w 2014 r. o. Adam Żak, a została dokończona przez ISKK na początku 2019 r. Przeprowadzono ją na formularzu, w którym jednostką badawczą był obwiniony lub sprawca. Sporo było otwartych pytań, a odpowiedzi otrzymane z diecezji i zakonów były mało precyzyjne.

Na przykład?

Na pytanie o liczbę pokrzywdzonych zdarzały się odpowiedzi „kilka" albo „kilkanaście". To uniemożliwia precyzyjne oszacowanie, bo kilka może oznaczać np. trzy lub dziewięć.

Po doświadczeniach pierwszej kwerendy sprawdzono, jakie metodologie stosuje się w innych krajach. Nowy formularz przygotowany przez ISKK był konsultowany z prawnikami i kanonistami. Jednostką badawczą stało się każde zgłoszenie. Ten nowy formularz zastosowany został w kolejnych trzech kwerendach. Dane, które zebraliśmy w ten sposób, były o wiele bardziej precyzyjne.

Wiemy, ile jest zgłoszeń w danym roku i na jakim etapie są te sprawy w momencie, kiedy zbieramy dane, czyli na początku roku. Nie wiemy jednak, co się z nimi dzieje dalej. By mieć taką wiedzę, trzeba by przejść od badania statystycznego do systemu monitorowania tych spraw.

Ile ze zgłaszanych spraw jest uznawanych za niewiarygodne?

Około 10 procent zgłoszeń.

Czy odpowiedzi, których udzielali biskupi i przełożeni zakonni – „kilka", „kilkanaście" osób pokrzywdzonych – mogą być wynikiem tego, że do 2001 r. nie było obowiązku zgłaszania tych spraw do Watykanu? I czy w związku z tym sporo spraw może być nieudokumentowanych w archiwach kościelnych? Pytam o to w kontekście kwerendy Krzyżaka i Litki, której wyniki trzeba byłoby porównać z archiwami kościelnymi.

Nie wiem, skąd dokładnie brał się wspominany brak precyzji, ale sam kwestionariusz był również mało dokładny. Odrębnym dużym pytaniem jest to, ile spraw z okresu PRL znajdzie odzwierciedlenie w archiwach kościelnych.

W przeszłości Kościół nie miał specjalnych procedur dotyczących dokumentowania zgłoszeń przestępstw seksualnych duchownych wobec małoletnich. Były tylko ogólne przepisy Kodeksu Prawa Kanonicznego. Dopiero w 2001 r. Stolica Apostolska wprowadziła szczegółowe rozwiązania, nakazała wszystkie te zgłoszenia przekazywać do ówczesnej Kongregacji Nauki Wiary, a następnie zobowiązała episkopaty do opracowania wytycznych.

Myśląc o polskim kontekście, trzeba też pamiętać, że okres PRL to czas wrogich relacji między państwem a Kościołem. Z obawy przed wykorzystaniem przestępstw księży przez władzę komunistyczną do kompromitowania czy uwikłania ludzi Kościoła niektóre decyzje przełożonych wobec oskarżonych mogły nie być dokumentowane na piśmie i dziś nie będzie po nich śladu.

Sprawy, do których dotarli dziennikarze „Rzeczpospolitej", dotyczą w dużej mierze sprawców, którzy już nie żyją. Mogą jednak żyć osoby przez nich pokrzywdzone. Jak wygląda postępowanie w takich sytuacjach?

Na poziomie ogólnokościelnym nie została wypracowana jednolita procedura postępowań historycznych. Nie ma też obowiązku prawnego prowadzenia takich postępowań. Wytyczne KEP mówią jedynie, że „gdyby oskarżenie zostało wniesione przeciwko zmarłemu duchownemu, nie należy wszczynać dochodzenia kanonicznego, chyba że zasadnym wydałoby się wyjaśnienie dla dobra Kościoła". Wiem natomiast od niektórych delegatów ds. ochrony dzieci i młodzieży, że takie postępowania nieraz są prowadzone. Osoba zgłasza krzywdę delegatowi, a ten po przyjęciu stara się sprawdzić zawiadomienie. Chodzi o zbadanie dostępnej dokumentacji księdza, czy znajdują się w niej informacje, które mogą uwiarygadniać zawiadomienie. Znam historię osoby, która po zawiadomieniu otrzymała z diecezji pisemne potwierdzenie uznania krzywdy, mimo że sprawca już nie żyje.

Czy jeśli sprawca nie żyje, pokrzywdzonym przysługuje pomoc od Kościoła?

Fundacja Świętego Józefa jest gotowa pomagać także skrzywdzonym przez sprawców, którzy już nie żyją. Warunkiem jest zgłoszenie krzywdy do diecezji lub zakonu, a potem uwiarygodnienie zgłoszenia. Jak wspomniałem, postępowania historyczne są jednak bardzo trudne. Często poza relacją jednej osoby nie ma innych źródeł.

Jeśli chodzi o pomoc skrzywdzonym, dodam, że Fundacja oraz diecezje i zgromadzenia zakonne zapewniają obecnie wsparcie około trzystu osobom, głównie finansując psychoterapię.

Sześćset zgłoszeń w ciągu ostatnich pięciu lat. Zastanawiam się, gdzie ci księża przebywają?

Nie mamy w Kościele dobrej odpowiedzi na to pytanie. I to jest rzeczywiście duże wyzwanie.

Po zgłoszeniu zawiadomienia na księdza, którego sprawa dotyczy, nakładane są środki zapobiegawcze. Najczęściej jest odsuwany od duszpasterstwa do czasu wyjaśnienia sprawy. Niestety postępowania kościelne trwają długo, bo jak wspomniałem wcześniej, od 2001 r. wszystkie sprawy związane z przestępstwami duchownych wobec małoletnich są zgłaszane do Watykanu. Po przesłaniu tam dokumentacji postępowania wstępnego, które zazwyczaj w diecezji trwa kilka miesięcy, na odpowiedź, jak ma być dalej procedowana sprawa, czeka się długo, nawet rok. Potem trzeba doliczyć czas samego procesu sądowego lub postępowania karno-administracyjnego, którego wynik też jest przesyłany do Stolicy Apostolskiej. To ona ostatecznie rozstrzyga sprawę. To wszystko może trwać kilka lat.

KEP / MATERIAŁY PRASOWE

KS. PIOTR STUDNICKI (ur. 1981) jest kierownikiem Biura Delegata Konferencji Episkopatu Polski ds. Ochrony Dzieci i Młodzieży.

Najczęściej przełożeni kościelni nakazują oskarżonemu księdzu przebywać w miejscu, gdzie nie ma kontaktu z dziećmi i młodzieżą. W postępowaniu wobec oskarżonych dużo zależy od tego, czy również organy państwowe prowadzą odrębne postępowanie w sprawie. A także od tego, czy sprawa dotyczy dawnych czynów, czy też oskarżenie jest związane z obecną posługą. Gra też rolę wiek oskarżonego i to, na ile jest otwarty np. na fachową diagnozę psychoseksualną.

W ostatnich latach w Kościele w Polsce podjęto pracę nad instytucjonalnym zajęciem się oskarżonymi księżmi. W 2020 r. w diecezjach i zakonach ustanowiono funkcję kuratora. Głównym jego zadaniem jest przygotowanie indywidualnego „planu bezpieczeństwa" dla obwinionego księdza, monitorowanie stosowania nałożonych na niego ograniczeń i wsparcie w ich przyjęciu. Obecnie w Polsce jest około 90 kuratorów, co najmniej jeden w każdej diecezji i wielu w zgromadzeniach męskich.

Z materiałów dziennikarskich wynika, że oskarżeni księża mieszkają często w domach seniora.

Tak, bo takie domy nie prowadzą duszpasterstwa. Niektórzy są odsyłani do domów zakonów niezajmujących się duszpasterstwem albo domów rekolekcyjnych dla księży.

Wydaje się, że system pomocy pokrzywdzonym został wypracowany. Wyzwaniem na dzisiaj jest zajęcie się oskarżonymi. Ten temat wraca podczas rozmów w diecezjach: co zrobić z oskarżonym księdzem, gdzie go wysyłać, jak z nim pracować? Nie wiemy, co z tymi duchownymi robić, poza tym, że ze względu na zapewnienie bezpieczeństwa odsuwamy ich od pracy duszpasterskiej.

Jak wygląda nadzór nad tymi miejscami?

Ze strony Kościoła każdy ksiądz otrzymuje kuratora. Pomaga w tym najnowsza reforma księgi karnej prawa kanonicznego, która przewiduje środek karny, jakim jest nadzór. Nieraz jest to jedyny możliwy nadzór, bo połowa ze spraw zgłaszanych Kościołowi dotyczy małoletnich powyżej 15. roku życia, które nie są penalizowane przez państwo. Jeśli chodzi o sprawy krzywdy małoletnich poniżej lat 15, to wiele z nich jest umarzanych przez państwowe organy ścigania ze względu na przedawnienie. Brakuje nam pomocy państwa w ich wyjaśnianiu, osądzaniu przestępstw i karaniu sprawców. W takich przypadkach jedynie na Kościół spada duża odpowiedzialność przeprowadzenia postępowania, wyjaśnienia sprawy, a po potwierdzeniu winy wymierzenia kościelnej kary. I pozostaje dylemat: co my mamy z takim księdzem zrobić? Wydalić z kapłaństwa? A może jednak nie zawsze, by przez kontrolę nad sprawcą spróbować zapobiec kolejnej możliwej krzywdzie? Tak naprawdę zostajemy z tym sami.

©℗ Rozmawiała ANNA GOC

Odkrywanie Klawittera

STANISŁAW ZASADA

Efrem Maria z Kcyni – tak się podpisywał. Tworzył w całej Europie, cenili go król Belgów i kardynał Mercier, znał papież.

DŹWIĘKOWE ARCHIWUM KCYNI / MATERIAŁ PRASOWY

To już dobre trzydzieści lat, jak infułat Kasprowicz zna Klawittera. To znaczy wie, że ktoś taki był. Bo wcześniej nie miał pojęcia. Teraz to jeden z duchowych towarzyszy jego życia. Artysta światowy. Duchowość niezwykła. Do tego erudyta wyśmienity.

– Znał osiem języków. „Iliadę" recytował z pamięci. P o g r e c k u!

Dante i Franciszek

„Dante Alighieri i święty Franciszek z Asyżu". Obaj nie mieszczą się na płótnie. Autor „Boskiej komedii" w czerwonym płaszczu i czapce (jak u Botticellego) wpatruje się nabożnie w Biedaczynę. Franciszek jakby odrealniony – to przez światło, które go spowija.

„Dziewica Maryja pokazuje Dzieciątko Jezus w pieluszkach świętemu Franciszkowi i świętej Klarze". Też olej na płótnie. Po prawej stronie mniszka w brązowym habicie, czarny welon opadł jej na plecy. Po lewej – mnich. Przed Matką Bożą tak klęczą. Dostojna jak na bizantyjskich ikonach, owija dziecko białą pieluszką, jakby nakrywała całunem.

„Święty Franciszek uwalnia jagnięta", olej na desce. Biedaczyna w szarym habicie. Młodzieniec na kolorowo: koszula biała, portki czerwone. Na ramię zarzucił drążek z owieczkami: nogi im powiązał, przez kij przewiesił. Na targ idzie. Franciszek dotyka czule owieczki, jakby z nią rozmawiał. Odkupi je od młodzieńca.

„Święty Franciszek grający na mandolinie", olej na kartonie. Przysiadł w dolnym rogu obrazu, ręką trąca o struny. Ale nie grą jest pochłonięty; zapatrzył się w górę, gdzie świetlista postać w prawej ręce trzyma krzyż, w lewej kielich mszalny.

Najsłynniejsze obrazy Stanisław Klawitter namalował na obczyźnie.

Krewny poety

U infułata Jana Kasprowicza jak w muzeum: portrety zacnych postaci, grafiki, rzeźby. Proboszcz katedry w Gnieźnie jest historykiem sztuki.

– Kawę wypijemy w altanie – prosi do pomieszczenia z widokiem na ogród. To nie jest zwykła altana. Stylowe meble, książki, portret astronoma Kopernika, kopie witraży ze św. Wojciechem i opatem Sugeriuszem z Saint-Denis. – Dostałem od współczesnych witrażystów – objaśnia.

Na przeciwnej ścianie akwarela w ramkach: biały domek kryty czerwoną dachówką. Szymborze pod Inowrocławiem, gdzie urodził się Jan Kasprowicz, poeta Młodej Polski. Ten, co napisał: „Na Anioł Pański biją dzwony". Akwarela to prezent od stowarzyszenia, które gromadzi przyjaciół twórczości Kasprowicza. Pradziadek księdza Jana i ojciec młodopolskiego poety byli kuzynami.

Wracamy do Klawittera. Infułat pokazuje notatki sprzed trzydziestu lat. – Wszystko zaczęło się od tego referatu.

„Ojcze nasz" i „Unser Vater"

Gdy w kwietniu 1894 r. Stanisław Klawitter przychodzi na świat, Kcynia na Pałukach jest w zaborze pruskim i nazywa się Exin. Ojciec, Franciszek, jest krawcem. O matce, Katarzynie, wiadomo niewiele. Piętrowy dom z dwuspadowym dachem stoi do dziś.

Staś Klawitter chodzi do szkoły powszechnej. Do tej pory przed lekcjami uczniowie mówili pacierz po niemiecku. Teraz wolą „Ojcze nasz" zamiast „Unser Vater". Nie pomaga bicie trzciną. Szkolny strajk w Kcyni będzie się ciągnął miesiącami. Staś szczęśliwie kończy szkołę, chociaż „Unser Vater" mówić nie chciał. Buntowniczego ducha zachowa.

Efrem Maria z Kcyni (Stanisław Klawitter), Święty Franciszek uwalnia jagnięta, 1935 r., Muzeum Franciszkańskie w Rzymie.

obok:
Fotografia o. Efrema Klawittera odnaleziona na strychu plebanii przez ks. Zbigniewa Grzegorzewskiego, obecnego proboszcza parafii farnej w Kcyni. Rok nieznany.

DOMENA PUBLICZNA / CC 4.0

Przeprowadza się do Gniezna. U malarza Wiktora Gosienieckiego (współpracował ze Stanisławem Witkiewiczem) uczy się rysunku, malarstwa, rzeźby. Potem Berlin, gdzie jest słynna Akademia Sztuk Pięknych. W opactwie św. Marcina w Beuron nad Dunajem uczy się w szkole malarskiej benedyktynów. Tamtejsi artyści trzymają się prostoty, swoich dzieł nie przeładowują mało ważnymi szczegółami – pokazują, co istotne. Działalność beurończyków ceni ówczesna awangarda: Cézanne, Gauguin, van Gogh.

„Dezydery Chłapowski w pałacu w wieku dziecinnym" – podpisał akwarelę wielkości pocztówki (przyszły oficer napoleoński i powstaniec listopadowy, a potem prekursor pracy organicznej jako mały chłopiec gra na bębenku). Ma 25 lat, gdy ją maluje. Starsze o rok są szkice domów na przedmieściach Reims. Wcześniejsze próby artystyczne się nie zachowały.

Cofnijmy się. W czerwcu 1914 r. serbski nacjonalista strzela w Sarajewie do arcyksięcia Ferdynanda. Za miesiąc wybuchnie Wielka Wojna, zmieni Europę. Losy Stanisława Klawittera też.

Tablica

Tak więc trzydzieści lat temu z okładem księdza Kasprowicza proszą, żeby napisał referat o ojcu Efremie Klawitterze. Kcynia chce uczcić słynnego krajana – to 95. rocznica jego urodzin.

Przyszły infułat był po studiach z historii sztuki w Lublinie. O bohaterze referatu nic nie wiedział. Kontaktuje się z tymi, którzy wiedzą, z rodziną, szuka w archiwach. – Dla mnie to było wielkie odkrycie. Zafascynował mnie bogactwem swojej twórczości, bo nie tylko malował, ale rysował, rzeźbił.

Referat zamówił prałat Wiesław Kreisner. Był proboszczem kcyńskiej fary, chciał przypomnieć kcynianom postać ojca Efrema: zamontowano właśnie witraże, które zaprojektował pod koniec życia.

Od prałata Kasprowicz dostał trochę materiałów. Na przykład zdjęcia belgijskich znaczków pocztowych według projektu Klawittera. Zdał sobie sprawę, że to musiał być artysta światowy.

W ostatnią sobotę maja 1989 r. na domu, w którym artysta się urodził, odsłonięto tablicę. Wyryto na niej: „światowej sławy malarz, grafik i rzeźbiarz". Na uroczystości przyjechał prymas Józef Glemp.

Płomienie katedry

– Niemcy przegrają wojnę. Musi być kara Boska za takie barbarzyństwo! – Klawitter burzy się. Ubrali go w mundur pruskiego artylerzysty, posłali na francuski front. Latem 1918 r. walczy w bitwie nad Marną. To wtedy szkicuje przedmieścia Reims.

Co go tak wzburzyło? Płomienie, które buchały z katedry w Reims. Prusacy z zemsty, że nie dali rady sforsować Marny i dojść do Paryża, podpalili perłę gotyku, gdzie koronowano królów Francji. Zniszczenia będą usuwane do końca stulecia.

Artylerzysta Klawitter nie może ścierpieć barbarzyństwa. Dowódcy nie mogą mu darować niesubordynacji. Za karę wysyłają go do Wrocławia – będzie strażnikiem w więzieniu. Siedzi tam belgijski kapucyn Efrem Facon – Niemcy uznali go za politycznego wroga. Strażnik i więzień dużo rozmawiają. Między innymi o Franciszku z Asyżu, który majątek biednym rozdał i ubóstwo chwalił.

Tymczasem wybucha Polska. Kcynia jest znowu Kcynią. Stanisław Klawitter nosi paszport z polskim orzełkiem.

Psalmy i ucieczka

Bolszewicy podchodzą pod Warszawę, a nowicjusz Klawitter śpiewa psalmy. W klasztorze kapucynów w Sędziszowie dostał brązowy habit, obwiązał się białym sznurem w pasie. Ma nowe imię: Efrem Maria (to z szacunku do o. Efrema, którego poznał we Wrocławiu). ↦

ISTITUTO STORICO DEI CAPPUCCINI / MATERIAŁY PRASOWE

Efrem Maria z Kcyni, Franciszek z Asyżu zwraca szaty ojcu, 1935 r., reprodukcja z publikacji „Efrem Maria da Kcynia. Vita e opere d'arte", Rzym 2020.

↦ Przepędzono bolszewików, z Rosją pokój, a brat Efrem Klawitter jedzie do Krakowa na studia z filozofii i teologii. Z Maksymilianem Kolbem (rówieśnik, choć już profesor) i jego bratem Alfredem stanie do pamiątkowego zdjęcia (on w środku, bracia Kolbe po bokach).

Okładkę do pierwszego numeru „Rycerza Niepokalanej" zrobi potem. Matka Boża stoi na półksiężycu, depce węża, po bokach dwa wielkie miecze, które przebijają księgi z tytułami: „Herezja" i „Masoneria". Bogoojczyźniano, nie w jego stylu.

Na studiach mu się nie podoba. Czas na wkuwanie Platona i Arystotelesa wolałby poświęcić na malarstwo. Przełożonych nie słucha. Czasem odpyskuje.

Po pierwszym roku rusza do Belgii. Samowolnie.

Sztuka

Infułata co rusz muszę dopytywać o Klawittera. Historia sztuki to nie jedyna jego pasja, stale ucieka w nowe tematy.

A to o opacie Sugeriuszu (ma go na swoim witrażu) opowiada, jak budował klasztor benedyktynów w Saint-Denis pod Paryżem. I jak go na studiach odkrył, gdy omawiali gotyk. A to o poecie Kasprowiczu, że za patriotyczną działalność siedział w więzieniu, musiał uchodzić do Galicji. A to o malarzu Gosienieckim, który dawał w Gnieźnie nauki Klawitterowi (że zostały po nim polichromie i witraże w wielu kościołach). A to jak prymas Wyszyński wysyłał go na studia z historii sztuki. Jak tłumaczył, że nowe czasy idą i że kultura chrześcijańska będzie ważna.

Mecenas

Za ucieczkę do Belgii chcą Klawittera wyrzucić z zakonu. Generał każe wracać do Krakowa. Kto wie, jak by się skończyło, gdyby belgijska prowincja się za nim nie wstawiła. Mieszka w klasztorze w Izegem (gwardianem jest ojciec Efrem Facon, poznany w więzieniu). Nauka znowu słabo mu idzie, najlepsze oceny ma z języków.

Uratuje go miłość do sztuki. „Zachwycające" – napisze kardynał Désiré Joseph Mercier, gdy obejrzy jego osiem akwarel o św. Franciszku. Ufunduje mu studia artystyczne w Leuven.

A on za Polską tęskni („Zabrałem z sobą »Pana Tadeusza«, poezje Rydla i Wyspiańskiego i Tetmajera"). Dobrze, że chociaż powiernika ma w kraju: to o. Kosma Lenczowski, kapucyn, były kapelan Legionów. Brat Efrem pisze do niego listy.

Narzeka na zakonny los w Polsce. „Życie tu mogę ukształtować sobie jak najidealniej. Och gdyby te same stosunki były w naszej polskiej prow[incji] dlaczego taka niesłychanie wielka różnica?".

Opowiada o życiu w belgijskim klasztorze. „Dużo maluję, dużo się uczę jestem cały dzień porządnie zajęty. Wyzdrowiałem zupełnie, lekarz specjalista stwierdził zupełnie zdrowy stan płuc".

Ujawnia poglądy polityczne. „Tu jest dużo dobrego ale też i strasznego. Masoństwo intryguje i działa piekielnie. Czytałem w gazecie flamandzkiej że i w Polsce masoństwo się szerzy i działa w kole politycznym".

Pisze chaotycznie, bez interpunkcji, jakby się spieszył.

Innym belgijskim kapucynom święceń udzielają biskupi. Diakona Efrema wyświęci kardynał Mercier. Dla Belgów to bohater narodowy: po Wielkiej Wojnie zabiegał o niepodległość swojej małej ojczyzny, popierał polską sprawę. Może dlatego polubił zdolnego Polaka?

Klawitter odwdzięczy mu się portretem, pomnikami, serią znaczków pocztowych. Za nagrobek kardynała w katedrze św. Rumbolda w Mechelen dostanie medal na wystawie w Chicago. Na odsłonięcie pomnika Merciera w jego rodzinnej Brabancji przyjedzie Leopold III, król Belgów.

„Efrem zyskuje światowy rozgłos" – napiszą biografowie.

Rusztowanie

– Pracował w habicie – infułat Kasprowicz wraca do opowieści o Klawitterze, bo spojrzałem na oprawione zdjęcie, które ustawił na małym stoliku.

Na habicie roboczy fartuch, w jednym ręku miseczka z gipsem, w drugim szpachelka. Obok biskup Laubitz i generalny konserwator Rutkowski. Stoją na rusztowaniu w katedrze gnieźnieńskiej, gdy artysta kończy płaskorzeźbę o św.Wojciechu. – Pół życia spędził na rusztowaniu – dopowiada infułat.

Franciszek

„Każdy kolor mieszałem z myślami o Franciszku" – wyznaje Dante Gabriel Rossetti, angielski malarz prerafaelita, jeden z tych, którzy natchnienia szukali we włoskim renesansie.

Wiek XIX i początek XX to nowa fascynacja Biedaczyną i zakonem franciszkanów. Święty z Umbrii pokazywany jest jako mistyk, poeta i romantyk, który wystąpił przeciwko staremu porządkowi.

W Polsce do franciszkańskiego nurtu przyznają się Malczewski (namalował autoportret w habicie franciszkańskiego tercjarza, w takim też każe się pochować) i Wyspiański (malował polichromię i projektował witraże w krakowskiej bazylice franciszkanów).

Na 700-lecie śmierci Biedaczyny o. Klawitter robi 28 rysunków do „Kwiatków świętego Franciszka". Rzeźbi Franciszka w klasztorach po całej Belgii, maluje w Asyżu, Rzymie.

Dla katedry w Gnieźnie – płaskorzeźby ze scenami z życia św. Wojciecha (znisz-

czą je Niemcy) i rzeźbę kardynała Dalbora. Portretuje kapucyńskich współbraci. Robi witraże dla kościoła św. Józefa w Inowrocławiu.

Gdy wybucha następna wojna światowa, pracuje w Hiszpanii: freskami zdobi kryptę kościoła kapucynów w Barcelonie.

Po wojnie jeździ znowu z kraju do kraju, z klasztoru do klasztoru. Wszędzie pracuje. Trzy lata leczy się z depresji w szpitalu psychiatrycznym. Maluje wtedy akwarelowe krajobrazy.

Piękno

Kilka lat temu do infułata Kasprowicza dzwoni o. Piotr Stasiński, kapucyn z Warszawy. Mówi, że niedługo 50. rocznica śmierci ojca Klawittera. Że przygotowują wielką wystawę i międzynarodowe sympozjum. Pyta kanonika, czy wygłosi referat.

– Znowu zacząłem się interesować Klawitterem – mówi ks. Kasprowicz. Temat: „Działania artystyczne ojca Efrema uczynione dla Bazyliki Prymasowskiej". O pomniku prymasa Dalbora infułat mógłby długo. Że klęczy, że ręce złożył do modlitwy, że w stroju kardynalskim, że biret ma na głowie. Że na kardynalską sutannę zarzucił kapę z mory.

Ale jak płaskorzeźby opisać, skoro Niemcy je zniszczyli? Znalazł numer „Przewodnika Katolickiego" sprzed 70 lat: na 950-lecie śmierci Wojciecha wydali jednodniówkę z archiwalnymi zdjęciami płaskorzeźb. Zamiast szesnastu scen – osiem. Pozostałe infułat sam wyszperał.

Wystawie o ojcu Efremie kapucyni dali tytuł: „Zanurzony w pięknie".

Kcynia

Katarzyna Klawitterowa ma czepek zawiązany pod brodą, włosy gładko zaczesane. Niemłoda. Portret matki Stanisław naszkicował ołówkiem w latach 30. XX w. „Szkice do portretu mamusi" – zatytułował jeden z rysunków. Wyrzeźbi jeszcze jej popiersie z brązu.

„Efrem Maria a Kcynia" – podpisuje swoje dzieła. Kcynianie też o nim pamiętają. Gdy przed wojną umiera jego krewna, „Ilustrowany Kurier Pałucki" donosi, że zmarła „siostrzenica znanego na całej kuli ziemskiej artysty rzeźbiarza Ojca Efrema".

Rok 1983, proboszcz kcyńskiej fary jedzie z pielgrzymką do Rzymu. Prałat Kreisner ledwo zdążył się przedstawić papieżowi, a Jan Paweł II na to: „Z Kcyni pochodzi ojciec Efrem".

Powrót

„Mam jedno tylko pragnienie spoczywać w ojczystej ziemi, za której »Ojcze nasz« byłem katowany w strajku szkolnym dwa lata czy więcej. Pragnę ucałować ziemię polską. Na moim stoliku zawsze figuruje maleńka urna z ziemią z grobów rodzinnych...".

Gdy to pisze, jest po siedemdziesiątce, schorowany. Czas jakiś spędza w Kcyni („surowy, ale serdeczny" – zapamięta go kcyński ministrant), potem w klasztorze w Zakroczymiu, ostatnie lata u kapucynów na Miodowej w Warszawie.

Zdjęcie sprzed pół wieku: w habicie, o lasce, spaceruje po ogrodzie, uśmiecha się. Ale przeważnie jest nerwowy, szybki w ruchach. Nosi przy sobie wytarty egzemplarz „Iliady" po grecku. Czyta codziennie, jak brewiarz. „Tu jest cała mądrość i nauka, i prawda, i piękno" – powtarza.

Projektuje witraże dla kcyńskiej fary, robi ilustracje do „Iliady" i „Odysei", franciszkanie z Niepokalanowa zamawiają u niego pomnik Maksymiliana Kolbego.

Ma 76 lat, gdy 4 grudnia 1970 r. umiera. Pomnika o. Kolbego nie zdążył zrobić.

Odpoczynek

Do krypty kapucynów przy Miodowej przyprowadził mnie brat Jarosław, zakrystian. Stoimy przy grobie Efrema Klawittera. Brat Jarosław mówi, że „tworzył piękne rzeczy na chwałę Bożą".

Pół wieku temu Efrema odprowadził tu o. Gabriel Bartoszewski, ówczesny prowincjał. Krótko rozmawiamy. Wspomina, jak Efrem malował mu portret. Pamięta, że chyba ze dwa razy mu pozował. Malarz dbał, aby nie uchybić szacunku przełożonemu.

Obraz zaginął. © STANISŁAW ZASADA

Korzystałem z książki „Zanurzony w Pięknie. Efrem Maria z Kcyni 1894-1970", Wydawnictwo oo. Bernardynów Calvarianum, 2020.

REKLAMA

Te mamy nas potrzebują
Ми потрібні цим мамам

Wspieraj pomoc medyczną w Ukrainie

DIEGO HERRERA CARCEDO / GETTY IMAGES

Ukraińska cerkiew na linii frontu Marinka-Pisky, obwód doniecki, kwiecień 2023 r.

Czołg i krzyż

MACIEJ MÜLLER

Wojna skłania do zadawania podstawowych pytań o Boga i wiarę. Odpowiedzi istnieją: są proste i budzą silny sprzeciw. Odwagę do ich głoszenia ma kosmolog ks. Michał Heller.

Nie mogłem – wspomina ks. Heller – w niedzielę, po przeczytaniu wyznaczonego fragmentu Ewangelii, mówić na jakiś »neutralny« temat. Moje słowa, odbiwszy się echem od ścian kościoła, wróciłyby do mnie ponad głowami słuchaczy". Zbiorek kazań głoszonych w kolejnych tygodniach po 24 lutego 2022 r. nie jest – zaznacza autor – traktatem o złu. To raczej spisywane na gorąco myśli.

HIOB | Pytania o (bez)sens tego, co dzieje się za wschodnią granicą, to pytania Hiobowe – a pamiętamy, jaką ostatecznie Hiob otrzymał odpowiedź. To jednak nie odbiera nam prawa, by pytać – przekonuje ks. Heller. Po Starym Testamencie nastąpił przecież Nowy. Wszystko, co wiedzieli autorzy Biblii Hebrajskiej o Bogu i Jego stosunku do ludzkiego cierpienia, przewartościował Chrystus.

„Czyż może naczynie gliniane zapytać tego, kto je ulepił, »Dlaczego mnie takim uczyniłeś«?" – przypomina ks. Heller wątpliwość św. Pawła. I ocenia, że „Bóg nie pozostawił nas w sytuacji bezmyślnego garnka. Dał nam odpowiedź (...), wziął na siebie śmierć, poprzedzoną bolesną agonią na krzyżu. Śmierć także zadaną rękami ludzi-agresorów".

Pierwsza odpowiedź brzmi więc: krzyż – który „nie rozstrzyga racji, nie waży argumentów, lecz przeprowadza człowieka przez tę najbardziej wąską bramę". Jak wobec tego – stojąc w cieniu krzyża – powinniśmy zachować się wobec tragedii wojennej? Obudzić w sobie solidarność, wyzbyć się „nawet cienia agresji w stosunku do ludzi, którzy w jakikolwiek sposób od nas zależą". Przyjąć do wiadomości, że ani życie, ani szczęście nie są czymś zagwarantowanym. Ukraińcom „ten dar został odebrany, my się nim nadal cieszymy. Zróbmy z tego daru dobry użytek" – mówi ks. Heller.

ZŁO | Czy Bóg biernie patrzy na bombardowanie miast, torturowanie jeńców, gwałcenie kobiet i dzieci? Ks. Heller przytacza historię, w której Jezusowi opowiedziano o tym, jak Piłat „zmieszał krew Galilejczyków z krwią ich ofiar". Przestrzegł wtedy słuchających: „Jeśli się nie nawrócicie, wszyscy tak samo zginiecie".

Co to oznacza? „Czy ci, którzy giną w Ukrainie, w Syrii lub gdziekolwiek, gdzie toczy się wojna, są większymi grzesznikami od nas?" – pyta ks. Heller. Wypowiedź Chrystusa tylko pozornie odbiega od sedna sprawy, nie chodzi w niej o ignorowanie realnego, dziejącego się zła. Jezus wskazuje na jego źródło. „Jeżeli nie odwrócimy się od zła – zdecydowanie i bezwarunkowo – to zginiemy. Nie od kul i bomb. Sami zaprzepaścimy swoje istnienie. (...) Jeżeli nie przylgniecie do dobra – całkowicie i bezkompromisowo – jesteście na z góry przegranej pozycji" – tłumaczy kaznodzieja.

Dlaczego to przylgnięcie jest tak ważne? Bo jeśli Bóg w ogóle ingeruje w historię ludzkości, to niewykluczone, że czyni to „nie przy pomocy jakichś nadzwyczajnych »pchnięć«, ale (...) np. poprzez mądre myślenie i działanie uczciwych ludzi". Jest i druga strona medalu. Tyle wiemy o sobie, ile nas sprawdzono – ostrzegała Szymborska. „Moje życie toczy się w miarę normalnie. Nic szczególnego się nie dzieje. Uważam się za człowieka uczciwego. (...). Ale jak bym się zachował w sytuacji próby? – pyta ks. Heller. – Jeżeli liczy się w takiej chwili na improwizację, to można się mocno zawieść". Dlatego właśnie „w dobru nie można tkwić powierzchownie. (...) Korzenie winny być tak głębokie, żeby w chwili próby mocno nas trzymały". Bo „wojny toczą się nie tylko na terenach objętych pożogą, wszystkie wojny zaczynają się w nas".

MIŁUJ | W jednym z kazań ks. Heller wspomina historię z reportażu Jacka Hugo-Badera. Jego bohater był czołgistą podczas wojny afgańskiej. Na rozkaz dowódcy staranował dom, w którym znajdowała się rodzina z dziećmi. Podobnie teraz, w Ukrainie „niektórzy [rosyjscy żołnierze – MM] się wyżywają i nic sobie z tego nie robią, ale dla wielu to pozostanie zadrą na całe życie. I jedni, i drudzy zasługują na nasze współczucie – podkreśla ks. Heller. – Nie wiadomo, co lepiej: czy zginąć od kuli, czy na całe życie zostać duchowym kaleką".

Mamy więc współczuć Rosjanom? Kazania ks. Hellera przypominają, że w Biblii nie ma przecinków – a więc wyjątków – nie tylko po „nie zabijaj", ale także po „miłuj nieprzyjaciół". „Nasz gniew na agresora jest słuszny. Walka zbrojna przeciw agresorowi jest słuszna. Ale my, chrześcijanie, musimy wywiązać się z chrześcijańskiego obowiązku miłości nieprzyjaciół. Zakończmy to rozważanie chwilą ciszy, w której pomodlimy się za tych, którzy niszczą, zabijają i gwałcą tuż za naszą granicą". ©℗

Ks. Michał Heller
PYTANIE GLINIANEGO GARNKA. KAZANIA KRÓTKIE O WOJNIE I POKOJU
CC Press, 2022

ZUZANNA

Radzik: *Kim jestem bez niedzielnej mszy*

Dwa długie weekendy w maju. Tyle w Belgii zostało katolicyzmu. Przesadzam pewnie, ale wolne w dniu Wniebowstąpienia i dzień po Zesłaniu Ducha, w kraju, gdzie 2,5 proc. obywateli chodzi w niedzielę do kościoła, jest jednak reliktem świata, którego już nie ma. Dni bez pracy wiosną są jednak zawsze miłe, nawet gdy maj jest tak lodowaty, jak ten. Trochę wyciszenia, szansa na wyjazd z miasta jako scheda układu państwo–Kościół nie jest zła.

Sprawy wiary podliczyli ostatnio za miedzą Francuzi i donoszą z kolei, że kiepsko jest u katolików z międzypokoleniowym przekazem. Ponoć jest on silny w islamie i judaizmie, bo 91 proc. wychowanych jako muzułmanie i 84 proc. wychowanych jako żydzi pozostaje przy religii rodziców. Ta sztuka udaje się tylko 67 proc. katolickich rodziców. A liczby katolików spadają, zwłaszcza wśród młodych. Regularnie do kościoła chodzi tylko 8 proc. francuskich katolików, więc wyniki mają gorsze niż żydzi w chodzeniu do synagogi i protestanci na swoje nabożeństwa (22 proc.). Dla dużej części żydów i muzułmanów religia jest istotnym wymiarem ich tożsamości, ale jest tak w przypadku tylko 6 proc. katolików.

Z badań wynika, że transmisja wiary udaje się rodzinom praktykującym i bardziej konserwatywnym, które starannie dobierają sposoby socjalizacji dzieci, z pomocą katolickich szkół i ruchów młodzieżowych. Choć, dodajmy, po raportach o skali wykorzystywania i ukrywania go przez biskupów, które publikowano ostatnio we Francji, trzeba mieć dużo zaufania, by dzieci powierzać kościelnemu personelowi. Trochę inaczej widzi to Yann Raison du Cleuziou, socjolog śledzący trendy w katolicyzmie, komentujący w „La Croix", że przekazywanie wiary wychodzi gorzej w rodzinach, które religijną edukację dzieci wydelegowały na struktury Kościoła. Zaznacza też, że sukces przekazu wiary opiera się na dwóch wymiarach: wartości rytuałów oraz wierze przenikającej wszystkie aspekty życia dziecka.

Ostatecznie, jak mówi ów francuski socjolog, religie mniejszościowe umieją się zrestrukturyzować, by nie zniknąć, i zintensyfikować powód swojego istnienia wokół praktyk religijnych. Łatwo mu mówić, ale katolicyzm w Europie zarówno jest i nie jest mniejszościowy. Niskie procenty praktykujących z jednej strony, ale dumne struktury i układy państwo–Kościół z drugiej. Słabe wyniki, ale stabilne długie trwanie jeszcze przez chwilę poniesie przywódców, których nikt z wyników nie rozlicza. Jest tyle do stracenia, zwłaszcza świetego spokoju i przywileju, po co się restrukturyzować? Gdyby się uprzeć, da się pociągnąć całkiem długo, utrzymując niedobitki kleru dla niedobitków wiernych, choćby ze skumulowanego przez wieki majątku.

W tym wszystkim jednak frapuje pytanie, co to znaczy „przekazać wiarę"? Badacze mierzą chodzenie do Kościoła, ewentualnie na pielgrzymki i nabożeństwa. Czy to ten parametr powinien być brany pod uwagę w czasach, gdy Kościół nie jest przestrzenią bezpieczną? Gdy uchylał się przez kilkadziesiąt lat od rozmowy o potrzebnych zmianach, gdy zamiast odpowiadać na przemiany i kryzys w liczbie księży, kazał modlić się o powołania, kumulował parafie i dalej marginalizował świeckich, choć korzystał z ich pracy tam, gdzie już naprawdę musiał?

Co to znaczy „skuteczny przekaz wiary" i czy na pewno jego wyrazem jest tylko frekwencja? Był taki czas, zanim uczucia wzburzenia się upowszechniły, że bycie w kościele na liturgii doprowadzało mnie do wściekłości i łez. A jednocześnie niechodzenie do niego, dla katoliczki wychowanej w obowiązku mszy niedzielnej, było jakimś palącym przełomem. Wygrały jednak wtedy czułość wobec siebie i troska o swoje nerwy, a nie poczucie, że obowiązki się wypełnia mimo wszystko. Zupełnie serio pytałam samą siebie, kim właściwie jestem bez tej mszy niedzielnej? Co w mojej codzienności świadczy o moim chrześcijaństwie? W całym tym kryzysie było to mocne doświadczenie.

Może więc i frekwencyjny kryzys europejskiego katolicyzmu, który zagląda w oczy również Polsce, jest dobrą okazją do zadawania pytań, czy transmisja wiary to tylko przyuczanie się nawzajem w kościelnej dyscyplinie. Może jest jakaś praktyka czy rytuał, który również daje owo poczucie wiary przenikającej wszystkie aspekty życia, ale uwzględnia niewygodę i bunt wobec dzisiejszego stanu Kościoła?

To gdzie jedziecie na długi weekend z okazji Bożego Ciała? ©

Serwisy specjalne: patrz szerzej

KSIĄŻKI W TYGODNIKU

Eseje, recenzje, felietony, podkasty

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/KSIAZKI

TRAGEDIA, KTÓRA WSTRZĄSA SERBIĄ

Reakcja władz w Belgradzie na masowe strzelaniny ukazała charakter reżimu, który opiera się na strachu i polaryzacji. I wyprowadziła na ulice tysiące protestujących.

MARTA SZPALA

Nic nie zapowiadało tragedii w tamten środowy poranek 3 maja. Po majówce Serbia powoli wracała do zwykłego rytmu: dzieci do szkoły, rodzice do pracy.

Tuż po ósmej z Belgradu zaczęły napływać niepokojące wiadomości. W jednej z najlepszych szkół podstawowych w kraju, położonej w spokojnej inteligenckiej dzielnicy Vračar, miało dojść do strzelaniny. Wąskimi uliczkami, między starymi kamienicami, przemykały karetki pogotowia i policyjne wozy. Przed szkołą gromadzili się zaniepokojeni rodzice. Godzinę później prorządowe tabloidy podały, że w strzelaninie zginęły dzieci. Zabił je ich niespełna czternastoletni kolega z klasy, po czym oddał się w ręce policji. Ofiarami było osiem dziewczynek i jeden chłopiec w wieku 12-14 lat, a także szkolny ochroniarz.

TOMAS TKACIK / SOPA / GETTY IMAGES

Szkoła podstawowa im. Vladislava Ribnikara, w której doszło do strzelaniny. Belgrad, 4 maja 2023 r.

Był to pierwszy w Serbii przypadek strzelaniny w szkole. Ale na tym nie koniec. Następnego wieczora, gdy wstrząśnięci mieszkańcy palili przed szkołą świece, we wsiach oddalonych o 60 km od stolicy dwudziestolatek zabił osiem osób, strzelając na oślep w tłum młodzieży zgromadzonej na placu koło szkoły.

Powrót do normalności okazał się niemożliwy.

Szukanie winnych

Zwykle takie dramaty jednoczą dotknięte nimi społeczeństwo i rządzących we wspólnym przeżywaniu żałoby. To czas autorefleksji i zadumy. W Serbii było jednak inaczej. Priorytetem dla władz okazało się odsunięcie od siebie cienia podejrzenia, że mogą być w jakikolwiek sposób współodpowiedzialne za to, co się stało. Zaczęło się szukanie tych, których można obciążyć odpowiedzialnością.

Tuż po pierwszej strzelaninie minister edukacji ogłosił, że tragediom winny jest Zachód i organizacje społeczne, które propagują wartości obce serbskiej kulturze. W kolejnych dniach w mediach bliskich rządowi insynuowano, że sprawcy mogą być powiązani z organizacjami faszystowskimi lub islamistycznymi. Politycy sugerowali, że były to zamachy terrorystyczne.

Prezydent Aleksandar Vučić najpierw jakby zapadł się pod ziemię. Potem wygłosił orędzie do narodu, w którym opisał dokładnie przebieg wydarzeń (eksperci wskazują, że należy tego unikać, bo to może być inspiracja dla naśladowców), a potem, wcielając się w rolę prokuratora, podał szczegóły dotyczące rodziny sprawcy – łącznie z ich statusem materialnym, wykształceniem, sytuacją rodzinną. Następnie pojechał na spotkanie konserwatywnych liderów do Budapesztu, gdzie rozmawiano o tym, że zachodnie wartości mają być zagrożeniem dla tradycyjnej rodziny.

Żałoba jako wrogi akt

Rząd ogłosił wprawdzie trzydniową żałobę narodową, ale ani prezydent, ani szefowa rządu Ana Brnabić nie pojawili się w miejscach tragedii. Nie złożyli kwiatów, nie wpisali się do księgi kondolencyjnej w szkole (zrobił to jedynie minister edukacji, po kilku dniach i pod naciskiem społecznym), nie spotkali się z rodzinami ofiar, nie uczestniczyli w pogrzebach.

– Reakcja władz była dla wielu szokująca – mówi mi Maja Bjeloš, specjalistka Belgradzkiego Centrum Polityki Bezpieczeństwa. – Jesteśmy przyzwyczajeni do agresywnych i pełnych przemocy wypowiedzi polityków, mieliśmy jednak nadzieję, że tym razem będzie inaczej, że rząd wyrazi empatię i solidarność ze społeczeństwem, że zamiast dzielić, będzie jednoczył.

Gdy opozycja zaproponowała marsz milczenia przeciw przemocy, członkowie partii rządzącej zaczęli atakować jego inicjatorów, twierdząc, że to zamach na porządek publiczny i działania wbrew interesom państwa. Gdy ludzie w ciszy szli ulicami Belgradu, pani premier na Twitterze umieściła prześmiewczy mem, mający kwestionować liczbę uczestników marszu. Telewizja publiczna sugerowała, że wzięło w nim udział kilka tysięcy ludzi – faktycznie było to ponad 50 tysięcy. Opozycję oskarżano o polityzację tragedii.

– Wobec protestujących zastosowano całą paletę epitetów, którą władze i bliskie im media określają przeciwników politycznych: awanturnicy, padlinożercy czy pijana banda to te łagodniejsze. Władza zakwestionowała nasze prawo do żałoby – mówi Maja Bjeloš. – Uznała ją za akt antypaństwowy. A prezydent zapowiedział kontrmanifestację poparcia dla rządu. Słuchając rządzących, ma się wrażenie, że to oni są ofiarami. A rodziny faktycznych ofiar i głęboko zranione społeczeństwo odchodzą na dalszy plan.

Wszystko pod kontrolą

– Reakcja władz była manifestacją arogancji rządzących i braku zainteresowania obywatelami – uważa Aleksandra Tomanić, szefowa Europejskiego Funduszu dla Bałkanów. – To, co ich najbardziej obchodziło w tamtym momencie, to chronienie siebie nawzajem.

Premier powtarzała, że instytucje państwa zadziałały odpowiednio. W mediach społecznościowych pojawiły się jednak informacje, że przynajmniej jednej tragedii można było zapobiec: sprawca z podbelgradzkich wsi był wcześniej zatrzymywany za nielegalne posiadanie broni, z której później strzelał, a sąsiedzi zgłaszali policji, że zachowuje się agresywnie. Był jednak synem członka rządzącej Serbskiej ↦

Partii Postępowej (SNS) i prokuratura wycofała zarzuty, a chłopaka wypuszczono.

– Władza zachowuje się tak, jakby obwiniała obywateli za to, co się stało i za ich reakcję – mówi mi Aleksandra Tomanić. Związane jest to z charakterem reżimu Vučicia, prezydenta i lidera SNS, która rządzi u nas od 2012 r. Prezydent i jego poplecznicy podporządkowali sobie całkowicie instytucje państwa, gospodarkę i media, a dzięki rozległym sieciom klientystycznym z łatwością wygrywają kolejne wybory. Nie będąc w SNS, można tylko marzyć o pracy w sektorze publicznym.

Vučić kreuje się na osobę wszechmocną, która kontroluje wszystko. To on podejmuje wszystkie decyzje w państwie, choć kompetencje prezydenta są raczej symboliczne. Opozycji właściwie nie ma. Prorządowe media niszczą wiarygodność każdego, kto cieszy się autorytetem i ma potencjał, by stworzyć polityczną alternatywę.

Popularny mural w Belgradzie głosi: absolutna władza to absolutna odpowiedzialność. Każde przyznanie się do błędu kwestionowałoby więc obraz prezydenta jako mądrego przywódcy narodu. Tomanić: – Dlatego władze nerwowo reagują na sugestie, że warto zastanowić się nad głębszymi przyczynami ostatnich wydarzeń i może ktoś powinien podać się do dymisji. Na kozła ofiarnego wybrano już ministra edukacji z małej partii koalicyjnej, dalszych dymisji nie będzie. Może zresztą wykorzystano to jako pretekst, bo prezydent od dawna chciał się go pozbyć.

Strasz i rządź

– Władza Vučicia opiera się na utrzymywaniu społeczeństwa w poczuciu zagrożenia, a także na zastraszaniu – mówi Aleksandra Tomanić. – Temu służą tabloidy i prorządowa telewizja. Ich rolą jest przedstawianie sąsiadów jako czyhających na nas wrogów. Najpierw byli to Chorwaci, później Bośniacy, ostatnio Kosowarzy.

Gdy brakuje pretekstów do uderzania we wrogów zewnętrznych, szuka się ich we własnym społeczeństwie: mogą to być naukowcy, aktywiści, opozycja lub każdy, kto kwestionuje autorytet władz. Nawet latem, gdy niewiele się dzieje, straszy się ludzi pogodą: upałami, gwałtownymi burzami. Bo ludzie, jak mówi Tomanić, mają się bać i wierzyć, że jedynym, który ich obroni, jest Vučić.

Dlatego reakcja władz na strzelaniny była w gruncie rzeczy tak paniczna: uderzała w fundamenty wizerunku prezydenta jako gwaranta bezpiecznej przyszłości dla obywateli, a zwłaszcza tych najmłodszych. W ostatnich wyborach jego partia startowała pod hasłem „Dla naszych dzieci".

Poza tym Vučić nie lubi niespodzianek. W Serbii to władza kreuje kryzysy – wtedy, gdy jest jej to na rękę, gdy trzeba np. przykryć niewygodny temat, storpedować rozmowy pokojowe z Kosowem, wymusić na Zachodzie ustępstwa.

Jeśli do kogoś nie trafia rządowa propaganda, są inne metody. Pechowo dla Vučicia tuż przed strzelaninami dziennik „New York Times" opublikował długi artykuł dokumentujący powiązania władz Serbii ze strukturami zorganizowanej przestępczości. Gazeta twierdziła, że rząd wykorzystuje te struktury do rozbijania protestów opozycji i wszelkiej tzw. brudnej roboty. Informacje zdobyte przez europejskie agencje wywiadowcze – przy okazji innego śledztwa – dotyczyły zabójstw ze szczególnym okrucieństwem, popełnionych przez członków mafii chronionych przez władze.

Niby wszystkie te sprawy to w Serbii tajemnica poliszynela, ale teraz ktoś pokazał je czarno na białym. W tej akurat sprawie aresztowano kilka osób (bo dowody nie pozostawiały wątpliwości). Jednak poczucie, że tutaj wszystko może ujść płazem tym, którzy są blisko władzy, pozostaje.

Przemoc nasza codzienna

Elementem tego systemu władzy jest też normalizacja przemocy w przestrzeni publicznej oraz agresja i mowa nienawiści wobec tych, którzy podważają autorytet władzy. Kluczową rolę odgrywają bliskie władzy tabloidy oraz stacje telewizyjne o niewinnych nazwach TV Happy i TV Pink, które gloryfikują rządzących (tej pierwszej stacji prezydent udzielił wywiadu po strzelaninie) i oczerniają ich przeciwników.

Skala przemocy werbalnej, fizycznej i na tle seksualnym w serbskich *reality shows* jest trudna do wyobrażenia dla polskiego odbiorcy – i budzi regularne protesty organizacji społecznych. Gwiazdami tych programów są kryminaliści albo członkowie mafii. Podobnie jest w tabloidach – kilka miesięcy temu jeden z nich opublikował długi wywiad z mężczyzną skazanym za gwałty, kreując go na osobowość medialną.

Dlatego główne postulaty protestujących – obok dymisji szefów MSW i agencji bezpieczeństwa – dotyczą także przestrzeni medialnej: wycofania koncesji dla stacji propagujących przemoc, zamknięcia tabloidów, rezygnacji członków Urzędu Regulacji Mediów Elektronicznych.

Więcej (złych) facetów z bronią

W reakcji na ostatnie tragedie rząd skupił się na kwestii ograniczenia dostępu do broni – zapowiedział memorandum na wydawanie nowych pozwoleń, częstsze badania osób już je posiadających i pod-

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

ZIELONA GÓRA, wtorek 6 czerwca,
Kawiarenka zielonogórska,
„Dlaczego warto czytać dobrą prasę?" / stacjonarne /

REZERWUJ CZAS!

OGÓLNOKLUBOWE, poniedziałek 5 czerwca,
spotkanie dyskusyjne wokół książki Tomáša Halíka „Popołudnie chrześcijaństwa" – rozdział „Wspólnota drogi", cykl „Wspólne czytanie"/ online /

GLIWICE, środa 7 czerwca,
Spotkanie autorskie z Beatą Dżon-Ozimek i Michałem Olszewskim wokół książki „Ptaki krzyczą nieustannie"/ stacjonarne /

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

ZORANA JEVTIC / REUTERS / FORUM

Mieszkańcy Belgradu gromadzą się w proteście „Serbia przeciwko przemocy" w reakcji na masowe strzelaniny, 8 maja 2023 r.

wyższenie kar za nielegalne posiadanie broni, co poprzedza program zdawania jej przez najbliższy miesiąc bez konsekwencji. Prezydent już hucznie ogłosił, że w ramach programu zebrano 13 tys. sztuk broni. Ma to pokazać, że władze coś robią.

Faktycznie Serbia jest pierwsza w Europie, biorąc pod uwagę ilość broni palnej na jednego mieszkańca: to 39 sztuk na 100 osób. W niespełna siedmiomilionowym kraju w rękach obywateli jest ponad 800 tys. sztuk broni palnej – tej posiadanej legalnie. Ile może być nielegalnych pistoletów czy karabinów, nie wie nikt.

– W Serbii posiadanie broni to element tradycji, często traktuje się ją jako trofeum, pamiątkę po przodkach. Do tego dochodzi także pokłosie wojny i popularność myślistwa, a także duża ilość broni w rękach organizacji przestępczych – mówi Maja Bjeloš. – Pomysł zaostrzenia regulacji na pierwszy rzut oka wydaje się dobry, ale to chwyt populistyczny, bo nawet obecne regulacje nie są przestrzegane. Rząd obiecuje też, że zwiększy finansowanie policji pod hasłem „Policjant w każdej szkole", ale strukturom siłowych i tak zwiększono już w ostatnich latach finansowanie, a policja, znana ze swej brutalności, nie cieszy się zaufaniem społecznym.

– Te pierwsze decyzje rządu dotyczą prawie wyłącznie środków represyjnych i wydaje się, że autorytarny serbski rząd i prezydent mogą dążyć do rozszerzenia uprawnień oraz roli policji i służb wywiadowczych pod pozorem promowania bezpieczeństwa obywateli Serbii – uważa Bjeloš. – To nie rozwiąże głębszych przyczyn przemocy rówieśniczej czy innych form przemocy obecnych w serbskim społeczeństwie – dodaje.

Rząd miał też pomysł, by stworzyć listę problematycznych uczniów, którzy byliby pod obserwacją służb. Wprawdzie pod presją społeczną wycofał się z pomysłu, ale oddaje on logikę działania władz: próbują wykorzystać tragedię, by zwiększyć kontrolę nad społeczeństwem, a nie podjąć rzeczywistą próbę zapobieżenia takim tragediom. „Pieniądze na edukację, nie dla policji" – wołają protestujący. O lepszym finansowaniu edukacji, pomocy psychologicznej czy społecznej władze milczą. Na to w ostatnich latach trudno było znaleźć pieniądze.

Kropla, która przelała czarę

Wydarzenia z początku maja mają jeszcze jeden wymiar: w Serbii już wcześniej w incydentach związanych z przemocą domową ginęli ludzie. Zabójstwa kobiet z rąk byłych i obecnych partnerów są częste – w tym roku zginęło ich już siedemnaście.

Lata rządów Vučicia to pasmo skandali, afer korupcyjnych i przestępczych (jak odkrycie największej plantacji marihuany prowadzonej przez ludzi powiązanych z władzą) czy katastrof wynikających z niekompetencji partyjnych nominatów (jak doprowadzenie do awarii, która pozbawiła prądu jedną trzecią Serbów). Nikt za to nie odpowiedział. Także to jest źródłem jedności obozu władzy – za lojalność nagradza się bezkarnością.

A społeczeństwo nie reagowało, bo afery nie dotykały ich bezpośrednio. Wielu Serbów – zwłaszcza tych z klasy średniej i z Belgradu – dystansowało się od polityki i spraw publicznych. Pozbawieni złudzeń, że można coś zmienić, nieufający politykom i instytucjom, uciekali w życie prywatne.

– Zwłaszcza strzelanina w szkole pokazała, że nikt nie jest bezpieczny – mówi Aleksandra Tomanić. – Że to, co się dzieje w społeczeństwie, dotyczy nas wszystkich i wszyscy ponosimy konsekwencje stylu rządzenia obecnego reżimu, opartego na przemocy i niekompetencji. Nie można już udawać, że jest się ponad tym. Stąd tyle ludzi na ulicach, bo kolejne działania władz tylko ich mobilizują. Protestujący często powtarzają: jesteśmy tu dla naszych dzieci i wnuków.

Miasto w żałobie

Minęło kilka tygodni, a Belgrad wciąż nie może otrząsnąć się z tego, co się stało.

– Mieszkańcy jakby pogrążyli się w zadumie – opowiada Aleksandra Tomanić. Są bardziej uważni, przyjaźniejsi. Pewnie nie potrwa to długo i wrócimy do rytmu zabieganej i stale śpieszącej się stolicy. Ale jeszcze nie teraz.

Sytuacja polityczna i społeczna wciąż jest bardzo napięta – mówi Maja Bjeloš. – Media donoszą o kolejnych incydentach z użyciem broni. Zwołując kontrmanifestację, prezydent tylko pogłębia napięcia i podziały. Ma to być największa demonstracja w historii Serbii, cały aparat państwa zaprzęgnięto do ściągania ludzi do Belgradu. Pokaz zasobów reżimu kontra samoorganizacja obywateli.

Czy poranek 3 maja zapoczątkował procesy, które mogą doprowadzić do zmiany władzy? Były to w końcu największe demonstracje w historii Serbii i odbywały się nie tylko w stolicy, ale też w mniejszych miastach.

– Myślę, że nie stanie się to szybko – uważa Aleksandra Tomanić. – Ale ludzie zrozumieli, że oddali swoje państwo w ręce osób, które je konsekwentnie niszczą. Jednak wśród Serbów panuje przekonanie, że ten reżim nie odda władzy pokojowo. Vučić pamięta historię Slobodana Miloševicia, który po odsunięciu od władzy skończył w celi Trybunału w Hadze, sądzony za zbrodnie wojenne.

– Społeczeństwo nie chce też przemocy i nie jest gotowe na przejęcie władzy siłą – uważa Tomanić.

Wśród protestujących nie widać dziś ani wyrazistych liderów, ani wspólnych celów czy wizji, jak taka przyszła Serbia po Vučiciu mogłaby wyglądać.

▪▪▪

Zachód przygląda się temu wszystkiemu z zaniepokojeniem. Z jednej strony nikt już nie ma złudzeń co do charakteru obecnego reżimu. Z drugiej strony, nikt nie chce destabilizacji na Bałkanach.

W głosach z Belgradu słychać jednak nadzieję: „Nas jest więcej, jesteśmy tu, bo chcemy... Coś się wreszcie musi zmienić... Może jeszcze nie dziś, ale wkrótce...".

© MARTA SZPALA

To nie jest (k)raj dla kobiet

MARTYNA WASIUTA

Mimo chwalebnej historii feminizmu stereotypy ról kobiet i mężczyzn są nadal silnie obecnie w czeskiej polityce i społeczeństwie. Czasem silniej niż w Polsce.

Pierwszy ostrzejszy spór w Czechach między prawicowo-centrowym rządem Petra Fiali a prezydentem Petrem Pavlem, który urzędowanie rozpoczął w marcu, wybuchł wokół ratyfikacji konwencji stambulskiej. Jednocześnie niewielu Czechów wie, czego ona w ogóle dotyczy.

Nie oznacza to, że problem przemocy wobec kobiet tu nie istnieje. Bynajmniej. Ponadto w Czechach wciąż wysoki jest poziom stereotypowego postrzegania ról obu płci, co prowadzi np. do gorszego położenia kobiet na rynku pracy. Mimo wielu przyjaznych rozwiązań dla kobiet i matek, a także rodzin, pozycja kobiety nie jest tak sielankowa, jak mogłoby się wydawać.

Mniej urodzeń...

Na podstawie komentarzy na temat dzietności w Czechach, które pojawiają się w polskich mediach tradycyjnych i społecznościowych, można by odnieść wrażenie, że jest to państwo przyjazne rodzinie, matkom i kobietom. Czytamy o czeskim cudzie demograficznym, o tym, że Czechy są unijnym liderem dzietności. Wśród przyczyn tego zjawiska wymienia się skuteczną politykę społeczną i mieszkaniową, poczucie bezpieczeństwa socjalnego, niskie bezrobocie i zagrożenie ubóstwem. Kreślony jest czeski model godny naśladowania, mający stanowić inspirację dla polskiego rządu i społeczeństwa.

Tymczasem w marcu Czeski Urząd Statystyczny opublikował dane, z których wynika, że w roku 2022 w kraju urodziło się najmniej dzieci od 18 lat. Łącznie w zeszłym roku było 99,8 tys. urodzeń, co oznacza, że po 17 latach roczna suma ponownie nie przekroczyła stu tysięcy. Rekordowo wysoki współczynnik dzietności – w 2021 r. było to statystycznie 1,83 dziecka na kobietę – obniżył się w 2022 r. do 1,66 (w Polsce było to 1,38; w 2022 r. urodziło się u nas najmniej dzieci od II wojny światowej). Dla Czechów oznacza to spadek liczby urodzeń rok do roku o 11 proc. – największy od połowy lat 90. XX w.

Zdaniem demografów Czechom grozi dalszy spadek liczby urodzeń. Nie bez znaczenia są tu wojna w Europie oraz inflacja – mogą one wpływać na odłożenie decyzji o urodzeniu dziecka na spokojniejsze czasy.

...i mniej aborcji

Mniej w polskich mediach mówi się o tym, że w tak liberalnym na pozór społeczeństwie jak czeskie głęboko zakorzeniony jest wciąż stereotyp kobiety opiekunki domowego ogniska i mężczyzny żywiciela rodziny.

Za liberalizm w czeskim wydaniu uznaje się bowiem zwykle dostęp do legalnej aborcji na życzenie i do antykoncepcji awaryjnej bez recepty, co ma dawać kobietom poczucie bezpieczeństwa i świadomego macierzyństwa. Poglądy Czechów na aborcję są stabilne od lat i istotnie liberalne. Według badań ośrodka CVVM z 2019 r. pełne prawo kobiety do decydowania o przerwaniu ciąży popierało 68 proc. pytanych, a kolejne 19 proc. zgodziłoby się na aborcję „jedynie biorąc pod uwagę względy zdrowotne i społeczne dziecka i kobiety".

Przerwanie ciąży do 12. tygodnia jest w Czechach legalne od lat 50. XX w. Obecnie, aby do niego doszło, Czeszka lub inna obywatelka państwa członkowskiego Unii musi pisemnie zwrócić się o aborcję do ginekologa. Musi też pokryć jej koszt, chyba że są wskazania medyczne do przerwania ciąży; wówczas jest pokrywana z ubezpieczenia zdrowotnego. Aktualnie

TOMAS TKACIK / SOPA / GETTY IMAGES

Demonstracja stowarzyszenia Milion Chwil dla Demokracji przeciwko rządom Andreja Babiša. Praga, 9 czerwca 2020 r.

wykonanie zabiegu kosztuje od 3,5 tys. do 5 tys. koron (665-950 zł), w zależności, czy to aborcja farmakologiczna czy zabieg chirurgiczny.

Od lat liczba aborcji w Czechach spada. Na podstawie danych Instytutu Informacji i Statystki Zdrowia można oszacować, że od 1960 r. zmniejszyła się ponad czterokrotnie: z ówczesnych 67 tys. zabiegów do 15,9 tys. w 2020 r., kiedy osiągnęła najniższy wskaźnik od czasu, gdy prowadzone są takie statystyki.

Na stanowiskach decyzyjnych

Czechy mają swoją historię feminizmu. Pierwszy prezydent Czechosłowacji i jej ojciec założyciel w roku 1918, Tomáš Garrigue Masaryk, był feministą, czego ślad odnajdujemy nawet w jego nazwisku: Garrigue to nazwisko jego pochodzącej z USA żony Charlotte Garrigue Masarykovej. Przybrał je na znak poparcia dla ruchu emancypacyjnego.

Równość kobiet i mężczyzn była jedną z fundamentalnych wartości, na których po I wojnie światowej zbudowano demokratyczną Pierwszą Republikę. W 2020 r. minęło sto lat od uchwalenia czechosłowackiej konstytucji, która gwarantowała czynne i bierne prawo wyborcze wszystkim obywatelom. Od stu lat formalnie kobiety mogą uczestniczyć w życiu publicznym i podejmowaniu decyzji w takim samym stopniu jak mężczyźni.

Mimo to ich reprezentacja na stanowiskach decyzyjnych należy do najniższych w Unii. Brak kobiet na takich stanowiskach to jedna z głównych przyczyn słabych wyników Czech w różnych międzynarodowych wskaźnikach równouprawnienia płci. Np. w Gender Equality Index 2020, który oceniał równouprawnienie w obszarze stanowisk decyzyjnych, Czechy uplasowały się na trzecim miejscu od końca z wynikiem 27,7 punktów na 100 możliwych. W Global Gender Gap Index 2020 Czechy zajęły 78. miejsce na 153 państwa, głównie ze względu na niską reprezentację kobiet w polityce.

Stereotyp tradycyjnych ról kobiet i mężczyzn nadal jest więc obecny w życiu społecznym, co przekłada się na dyskryminację kobiet na rynku pracy i powoduje inne negatywne zjawiska. Feminizm zaś uznawany jest, w sposób przypominający dość popularne w Polsce podejście, za importowany z Zachodu i kontrowersyjny.

Spór o konwencję

W podobnym do polskiego duchu przebiega też debata o ratyfikacji konwencji stambulskiej o zapobieganiu i zwalczaniu przemocy wobec kobiet i przemocy domowej.

Choć większość społeczeństwa (prawie 75 proc.) nie wie, czego dotyczy ta konwencja, a niemal tyle samo nie ma zdania na temat, czy parlament powinien ją ratyfikować, debata wokół konwencji podgrzała w ostatnim czasie czeską politykę. Stała się też źródłem pierwszego poważniejszego sporu na linii prezydent–rząd – podczas gdy do tej pory obie strony miały podobne stanowiska w kluczowych kwestiach politycznych. Przypomnijmy, że premier Fiala i jego Obywatelska Partia Demokratyczna (ODS) poparli kandydaturę Petra Pavla na prezydenta w wyborach w 2022 r., a ODS nie wystawiła własnego kandydata.

Podczas kwietniowej wizyty w Brukseli Pavel powiedział, że jest za jak najszybszą ratyfikacją konwencji. „Nie ma ani jednego prawdziwego powodu, dla którego powinniśmy dalej tego unikać" – dodał. Czechy podpisały tę konwencję w 2016 r., gdy rządził socjaldemokratyczny gabinet z Bohuslavem Sobotką na czele. Ani on, ani kolejny rząd Andreja Babiša nie doprowadziły do jej ratyfikacji.

Dziś ratyfikacji przeciwni są ministrowie z ramienia chadecji (KDU-ČSL), a ministrowie sprawiedliwości i kultury z ODS chcą odsunięcia jej w czasie. Premier twierdzi, że ratyfikacja nie będzie owocować żadnymi istotnym zmianami w systemie prawnym. Jego zdaniem dotyczy głównie „formy, języka, tonu, a nie treści". Według Fiali większość wymogów wynikających z konwencji jest już zawarta w kodeksie karnym i ustawach (mimo to zdaniem części konserwatywnych senatorów konwencja wymusiłaby zmiany w kodeksie cywilnym czy prawie azylowym).

Luka płacowa

W Czechach mamy do czynienia z jedną z najwyższych nierówności płacowych kobiet i mężczyzn (tzw. *gender pay gap*) w Unii. W 2020 r. mężczyźni zarabiali statystycznie o 16,4 proc. więcej od kobiet – i było to o 3,4 pkt. proc. więcej niż średnia unijna (w Polsce ta tzw. luka płacowa wynosiła wówczas 6,5 proc., choć potem się zwiększyła). Dla Czechów to i tak postęp: jeszcze w 2018 r. luka ta wynosiła aż 20 proc. (i byłaby jeszcze wyższa, gdyby w statystykach uwzględniono także inne umowy niż tylko umowa o pracę).

Niższe zarobki kobiet sprawiają, że to one decydują się na urlop macierzyński i rodzicielski częściej niż ich partnerzy czy mężowie, którzy są w stanie utrzymać wspólne gospodarstwo domowe. W ten sposób tradycyjny podział ról się reprodukuje.

Niskie zarobki kobiet są pochodną dyskryminacji na rynku pracy, zarówno poziomej (sektorowej), jak i tej pionowej. Oznacza to, że w Czechach sfeminizowane zawody (jak szkolnictwo, opieka społeczna, pielęgniarstwo) są gorzej płatne, a reprezentacja kobiet na ↦

stanowiskach kierowniczych jest – jak już powiedziano – niższa niż mężczyzn. Według Gender Equality Index Czechy w 2019 r. miały też największą lukę zatrudnienia w zawodach związanych z nauką, technologią, inżynierią i matematyką (tylko 9 proc. zatrudnionych kobiet pracuje w takich sektorach, określanych skrótem STEM: *science, technology, engineering, mathematics*).

Choć zagrożenie ubóstwem w Czechach jest najniższe w całej Unii – co jest jednym z czynników pozytywnie wpływających na decyzję o posiadaniu dzieci – to paradoksalnie bardziej narażone są na nie właśnie kobiety: samotne matki i seniorki.

„Impuls niekontrolowany"

Oprócz gorszej sytuacji materialnej, Czeszki borykają się też z problemem przemocy seksualnej. Choć przestępczość generalnie spada, to w 2019 r. zarejestrowano największą liczbę gwałtów w ciągu ostatnich 10 lat. Odnotowano też znaczny wzrost zarejestrowanych przestępstw znęcania się nad osobą mieszkającą we wspólnym gospodarstwie domowym.

Sytuacji nie poprawia podejście wymiaru sprawiedliwości do takich spraw. Badania jakościowe treści wyroków orzeczonych w latach 2019-20 r. wykazały, że ofiary przemocy seksualnej spotykają się z uprzedzeniami ze strony sędziów i ekspertów sądowych. Polegają one na bagatelizowaniu przemocy, zaprzeczaniu jej negatywnemu wpływowi na psychikę ofiar, obwinianiu ofiar, usprawiedliwianiu sprawców czy przypisywaniu przemocy ich „niekontrolowanym impulsom".

Analiza wyroków dotyczyła też ich wysokości. Wynika z niej, że im poważniejsze przestępstwo, tym łagodniejsza kara. Nawet najbardziej bezbronne ofiary, jak dzieci lub osoby niepełnosprawne, były konfrontowane z sytuacją, gdy ich oprawca otrzymuje niski wyrok. Zgodnie z kodeksem karnym powinien on wynosić od 5 do 12 lat – tymczasem w co piątym przypadku kara została zmniejszona do dolnej granicy, a czasami nawet poniżej niej.

Rządowa „Strategia równości kobiet i mężczyzn" przywołuje badania opinii, z których wynika, że jeszcze w 2018 r. ponad połowa (58 proc.) pytanych uważała, że w pewnych sytuacjach kobieta jest przynajmniej częściowo odpowiedzialna za gwałt (np. była zalotna, wyzywająco ubrana, pijana). Jednocześnie ponad 70 proc. uważa, że obecna sytuacja w zakresie przemocy wobec kobiet jest w Czechach problemem, a 84 proc. opowiada się za tym, by państwo z większą skutecznością zapobiegało przemocy wobec kobiet.

> Choć zagrożenie ubóstwem w Czechach jest najniższe w Unii, bardziej narażone są **na nie kobiety: samotne matki i seniorki.**

Przypadek Feriego

Można tu wspomnieć o głośnej sprawie Dominika Feriego, byłego już posła z liberalno-konserwatywnej partii TOP 09, który w 2022 r. został oskarżony przez grupę ośmiu kobiet o molestowanie i gwałt. Przypadek Feriego wywołał dyskusję na temat przedmiotowego traktowania kobiet przez środowiska konserwatywne. Zarzucano mu też wykorzystywanie pozycji i popularności do wywierania presji na kobiety.

Feri, rocznik 1996, student prawa na Uniwersytecie Karola w Pradze, był najmłodszym radnym i posłem w historii czeskiej polityki. Partia wiązała z nim ogromne nadzieje ze względu na jego popularność wśród młodego elektoratu. Jego konto na Instagramie miało największą liczbą obserwujących spośród wszystkich posłów. Elokwentny Ferii cieszył się też sporym zainteresowaniem mediów, które chętnie zapraszały go do debat lub zwracały się o komentarz do bieżących wydarzeń.

W 2022 r. został lokomotywą wyborczą swojej partii, miał zachęcać młodych do pójścia na wybory. Tymczasem latem 2022 r. jeden z dzienników opublikował materiał obarczający Feriego. Natychmiast zrezygnował on z mandatu i wycofał się z polityki. Obecnie jest oskarżony o dwa gwałty i próbę trzeciego, grozi mu 10 lat. Były polityk nie przyznaje się do winy.

O sytuacji kobiet w Czechach mogą też poniekąd świadczyć wybory prezydenckie w 2023 r. Progresywna kandydatka Danuše Nerudová, choć w pewnym momencie była liderką sondaży, nie dostała się do drugiej tury i skończyła na trzecim miejscu, przegrywając z byłym premierem Babišem i emerytowanym generałem Pavlem. Okazało się, że w „tych liberalnych Czechach" jednak nie czas na kobietę-prezydenta. To kontrast ze Słowacją, uznawaną za konserwatywną, gdzie rządzi Zuzana Čaputová, też wywodząca się z progresywnego spektrum polityki. Słowacy zawstydzili więc Czechów.

Coś się zmienia...

Pewne jaskółki zmian jednak widać, czego sygnałem np. wyniki badań Ligi Otwartych Mężczyzn (organizacji promującej aktywne ojcostwo): można mówić o powolnym, ale przechodzeniu od modelu tradycyjnego w kierunku nowoczesnego ojcostwa. Znacznie spadł odsetek ojców opowiadających się za dawnym podziałem obowiązków, gdzie kobieta zajmuje się tylko dziećmi i domem, a mężczyzna zarabia. W 2010 r. popierało go 81 proc. badanych, a w 2020 już 54 proc. Dwukrotnie wzrósł w tym czasie odsetek ojców, którzy włączyli się np. w odprowadzanie dzieci na zajęcia dodatkowe, zakupy, wizyty u pediatry, opiekę nad chorym dzieckiem (z 15 do 31 proc.).

Gestem politycznym wartym odnotowania jest też fakt, że wspomnianej partii TOP 09, kojarzonej z domniemanym seksualnym drapieżcą, szefuje obecnie wyrazista kobieta o liberalnych poglądach Marketa Pekarová Adamová. Po wyborach parlamentarnych w 2022 r. została – jako pierwsza kobieta w historii izby niższej – przewodniczącą Izby Poselskiej. Także kobieta, Olga Richterová z Partii Piratów, zajmuje stanowisko wiceprzewodniczącej.

Czeski rząd upatruje remedium w cyfryzacji, która miałaby poprawić dostępność bardziej elastycznych form pracy, pozwalających na łączenie jej z opieką nad dzieckiem. Bo tak naprawdę to właśnie konieczność takiej opieki jest czynnikiem ograniczającym kariery i płace nawet w czeskim społeczeństwie, które uznaje się za bardziej liberalne niż polskie.

© MARTYNA WASIUTA

PAWEŁ PIENIĄŻEK

Ukraińscy wojskowi zmierzają na pozycje w pobliżu miasta Popasna, niedługo po jego zajęciu przez rosyjską armię. 7 maja 2022 r.

Ochotników już nie ma

PAWEŁ PIENIĄŻEK Z UKRAINY

Coraz więcej Ukraińców szuka sposobów, aby nie trafić na wojnę lub nie wrócić na nią znowu. Jedni uciekają za granicę, inni ukrywają się na terenie kraju.

To był początek ciepłego lata, a kraj od czterech miesięcy opierał się zmasowanej inwazji. 24-letni Ołeksandr (imię zmienione) siedział na ławce. Zastanawiał się, czy został zrobiony w konia. Właśnie przekazał pewnemu mężczyźnie półtora tysiąca dolarów. To cena, którą miał zapłacić za pomoc w nielegalnym przekroczeniu ukraińsko-rumuńskiej granicy.

Po przekazaniu gotówki mężczyzna wskazał Ołeksandrowi ławkę, powiedział, że ktoś po niego przyjdzie, i odjechał. To mogło okazać się najdroższe siedzenie na ławce w jego życiu. Już nawet zaczął racjonalizować sobie to w głowie. „Pieniądze zawsze da się zarobić" – myślał. Nie pozostało mu nic innego, jak tylko czekać.

Mniej więcej po dwudziestu minutach pojawił się chłopak, mógł mieć z szesnaście lat.

– Chodź za mną, teraz pracujemy – powiedział tylko.

Po krótkim marszu dotarli do niewysokiego ogrodzenia.

– Tutaj przechodzisz, wbiegasz do wody i płyniesz – poinstruował chłopak.

I po tym niezbyt wyczerpującym wyjaśnieniu uciekł spod ogrodzenia.

Ołeksandr patrzył na rwącą rzekę. Czuł strach. Nigdy w życiu nie przekraczał nielegalnie granicy, do tego ryzykując życiem. Przeprawa przez Cisę to popularna droga ucieczki z kraju dla tych, którzy nie chcą trafić do armii. Nie wszystkim się to udaje. Wiadomo o przynajmniej 16 osobach, które utonęły w Cisie od początku rosyjskiej inwazji na pełną skalę z 24 lutego 2022 r. Ciała znajdują pogranicznicy lub wyławiają rybacy.

Ołeksandr zdawał sobie sprawę, że to może być jego jedyna szansa na wydostanie się z Ukrainy. Kilka dni wcześniej otrzymał wezwanie do stawienia się w komisji poborowej i zrozumiał, że to tylko kwestia czasu. Jeśli zostanie w kraju, wreszcie go dopadną i wezmą w kamasze – tak myślał.

Już od wybuchu wojny w Donbasie wiosną 2014 r. Ołeksandr wiedział, że nie chce zakładać munduru. W rozmowie przekonuje, że ceni sobie wolność, że chce sam o sobie decydować, i że armia jest tego zaprzeczeniem, bo jesteś zmuszony do wykonywania rozkazów.

Wskoczył wtedy do rzeki z myślą, że lepiej umrzeć wolnym niż na froncie. Chaotycznie machał rękami i nogami z nadzieją, że mimo prądu dopłynie do rumuńskiego brzegu, gdzie czekała jego upragniona swoboda. Ona kojarzyła mu się już tylko z życiem za granicą.

Złapać rekruta

Ołeksandr uciekł z Ukrainy jeszcze w zeszłym roku. Od początku rosyjskiej inwazji nie brakowało i nie brakuje mężczyzn opuszczających kraj czy chowających się na jego terytorium przed komisjami poborowymi. Długo nie byli jednak widoczni, bo początkowo nie brakowało chętnych – przed „wojenkomatami" ciągnęły się kolejki ochotników. ↦

↦ Im dłużej jednak trwa inwazja, tym mniej jest chętnych, aby iść na front. Ma na to wpływ także brutalność tej wojny. W kwietniu tego roku w internecie pojawiły się dokumenty, które miały być wyciekiem z amerykańskiego wywiadu. Padają tam szacunki, według których do tej pory miało polec od 15,5 tys. do 17,5 tys. ukraińskich żołnierzy, a ponad sto tysięcy miało zostać rannych. Niektórzy uważają, że są to i tak szacunki zaniżone.

Obecnie trudno natrafić na ochotnika – przed „wojenkomatami" od dawna już nie ma kolejek. Stosownie do tego, komisje poborowe zmieniły taktykę. Grupy wojskowych i policjantów czatują teraz w często uczęszczanych przez mieszkańców miejscach: pod supermarketami, w metrze, na przystankach autobusowych i trolejbusowych, w parkach i w popularnych miejscach spotkań czy także na drogowych posterunkach, które zazwyczaj znajdują się na wjazdach i wyjazdach z większych miejscowości.

Ich celem są mężczyźni w wieku poborowym, czyli w przedziale 18-60 lat, którzy od wprowadzenia stanu wojennego nie mogą opuszczać kraju, poza szczególnymi przypadkami.

Nagłe pragnienie studiowania

W komunikatorze Telegram – popularnym na Ukrainie; ma go w telefonie prawie każdy – są kanały, na których ludzie dzielą się informacjami o tym, gdzie widziano „żołnierzy z teczkami". Mają one od kilkunastu do nawet ponad stu tysięcy obserwujących.

Odkąd zaczęły się takie masowe łapanki do wojska, wielu mężczyzn unika wychodzenia z domu bez potrzeby. A jak już są zmuszeni, ostrożnie podchodzą np. do supermarketów i sprawdzają, czy nie czają się tam mundurowi.

Wymyślają też kolejne sposoby, jak służby uniknąć. A sposobów jest wiele, m.in. załatwienie fałszywych dokumentów o kiepskim stanie zdrowia, kupienie czystych formularzy wezwań, które w razie potrzeby można by okazać „żołnierzom z teczkami" (wówczas co jakiś czas dana osoba wypisuje sobie taki fałszywy dokument i wtedy nie wręczają mu już kolejnego). Ponieważ do tej pory nie powołuje się studentów, sposobem na wymiganie się od poboru jest też nagły głód wiedzy i rozpoczęcie studiów – w ciągu ostatniego roku gwałtownie wzrosła liczba mężczyzn w wieku starszym niż studencka przeciętna, którzy zapisali się na płatne studia.

Mychajło ma plan

Także ci, którzy służyli wcześniej w armii, nie zawsze chcą znowu do niej trafić.

Ołeksandr wspomina, że na dzień przed rosyjską inwazją z 24 lutego 2022 r. spędzał czas w barze w Charkowie. Wśród jego znajomych był 35-letni architekt Mychajło (imię także zmienione). Obaj byli jak ogień i woda.

Jeszcze w trakcie wojny w Donbasie Ołeksandr zapłacił łapówkę – kilkaset dolarów – żeby otrzymać tzw. biały bilet, dzięki któremu wojsko uznawało go za niezdolnego do służby w czasie pokoju (choć w latach 2014-22 w Donbasie trwała wojna, była ograniczona do terenu obwodów donieckiego i ługańskiego). Jego biały bilet utracił jednak swoje znaczenie z chwilą, gdy 24 lutego stan wojenny wprowadzono w całym kraju.

Wcześniej Ołeksandr odrzucał od siebie myśl, że Rosja może rozszerzyć wojnę poza Donbas. Nie robił nic, by się przygotować na taką ewentualność. Inaczej Mychajło: on od dawna był przekonany, że Rosjanie uderzą na całą Ukrainę. Od kilku miesięcy chodził na szkolenia, gdzie uczono go posługiwania się bronią.

Przygotowywał też, jak mówi, schemat działań. Np. nie pozwalał żonie Alinie sprzedać WAZ-a 2101, popularnie nazywanego żyguli, auta z lat 80. XX w. Powtarzał, że jeszcze ich uratuje. Remontował je, aby było na chodzie, a gdy atmosfera gęstniała, przyniósł do garażu kanistry z 80 litrami benzyny. Priorytetem było dla niego wywiezienie Aliny i 4-letniej córki Olhi w jakieś bezpieczne miejsce; następnie zamierzał zaciągnąć się do armii.

Nowicjusz idzie na front

24 lutego Mychajło wprowadził pierwszą część planu w życie, a 27 lutego zjawił się w komisji poborowej.

Początkowo trafił do jednostki na tyłach i przede wszystkim ochraniał ważne obiekty. Gdy również na zachodnią Ukrainę spadły rosyjskie rakiety, stwierdził – podobnie jak wielu z jego oddziału – że nie chce siedzieć z tyłu i czekać, aż trafi go rakieta. Nie zamierzał ginąć na darmo, więc postanowił przenieść się do oddziału, wraz z którym będzie mógł brać udział w walkach.

Potem wszystko poszło szybko. Gdy tylko trafił do nowej jednostki, jeszcze tego samego dnia powiedziano mu, że jedzie na front. Tyle że on, odkąd zgłosił się do armii, właściwie nie przechodził porządnego szkolenia wojskowego. Nie wystrzelił nawet ani jednej kuli na poligonie. Przechodził tylko podstawowe szkolenia z medycyny taktycznej, uczył się, jak chodzić w szyku, a także jak rozkładać, składać i czyścić broń.

Teraz wszystkiego, co najważniejsze, dowiadywał się od bardziej doświadczonych kolegów, którzy na własną rękę prowadzili szkolenia nowicjuszy.

Mimo wszystko miał poczucie, że nadal jest zupełnie nieprzygotowany, gdy w połowie marca 2022 r. trafił w okolice miasta Popasna w obwodzie ługańskim. Był to wówczas jeden z najgorszych odcinków frontu.

Pierwsza godzina

Po ponad dobie w drodze, nad ranem jego drużyna trafiła na pozycje. Gdy dotarli do celu, żołnierz-przewodnik zaprowadził ich do czerwonego domu. Znajdował się na skraju miejscowości. Dalej był parów, a za parowem Rosjanie. Pięciu żołnierzy miało rozłożyć się w piwnicy, a pięciu w pokoju, którego okna wychodziły w stronę przeciwnika. Przewodnik ostrzegł ich, aby niczym nie świecili, bo zostaną zauważeni.

Pociski spadały raz bliżej, raz dalej.

Jeden z żołnierzy, imieniem Misza, zaczął rozkładać śpiwór w pokoju. Zignorował ostrzeżenie i podświetlał pokój latarką.

Mychajło stał w progu i obmyślał, jak szybko ukryć się w razie czego. Kazał Miszy przestać świecić, ale ten mówił, że musi widzieć, co robi. Wkrótce także inni włączyli swoje latarki.

Chwilę potem rosyjski czołg strzelił prosto w ich okno. Mychajło miał szczęście, że osłaniała go ściana, więc wyszedł z tego cało, tylko w uszach strasznie piszczało. Wczołgał się do piwnicy. Gdy piszczenie trochę ustało, usłyszał ryk Miszy: „Oderwało mi rękę!".

Mychajło, wściekły na Miszę, próbował mu pomóc. Już w pokoju zobaczył, że jeszcze kolejnych dwóch żołnierzy ucierpiało. Jednemu krew lała się z okolicy oczu. Mychajło myślał, że tamten oślepł. Dał mu bandaż, żeby przewiązał twarz, a sam zajął się Miszą. Zacisnął stazę, opa-

skę uciskową hamującą krwawienie, na kikucie pozostałym po ramieniu. Czołg nadal strzelał po okolicy, licząc zapewne, że trafi żołnierzy, którzy wybiegli z domu.

Drużynie na szczęście udało się wydostać do miejsca ewakuacji. W ciągu tej pierwszej godziny z dziesięciu żołnierzy raniono trzech.

Gdy opadła adrenalina, Mychajło pomyślał, że wdepnął w niezłe bagno.

Jednorazówki

Następnego dnia on i pozostali wrócili do Popasnej. Tygodnie mijały, a sytuacja była coraz gorsza. Rosyjska artyleria, czołgi i moździerze pracowały jak fabryka, z ogromną intensywnością waliły po całym mieście. Na cele naprowadzały je drony.

W kwietniu rosyjska piechota ruszyła do ataku i wszystkie ukraińskie siły w Popasnej rzucono do obrony. Mychajło trafił do okopu, gdzie każdy dzień dopisywał kolejne makabryczne sceny. Gdy artyleria trafiła prosto w jeden z ich okopów, po jednym z kolegów została tylko ręka, a po drugim tułów. Ktoś ledwie pojawił się w okopie, a po chwili już nie żył. Obok innego tak długo spadały pociski moździerzowe, aż częściowo stracił słuch, choć i tak mógł mówić o szczęściu.

Liczba rannych i zabitych rosła szybko. Mychajło wraz z trzema kolegami próbowali wyciągać rannych. Biegł obok Iwana. W którymś momencie odwrócili się i zobaczyli, że została ich dwójka. Widzieli Jurę, chcieli go odciągnąć w bezpieczne miejsce, ale pod ostrzałem ciężko było to zrobić. Gdy Mychajło go podniósł, kawałek mózgu spadł na ziemię.

Wrócili do okopu. Rosjanie się zbliżali. Mychajło po raz pierwszy musiał strzelać do ludzi. Wspomina, że najpierw nie chciał tego robić, ale z czasem zaczęło przynosić mu to pewną radość.

Pewnego dnia Mychajło i Iwan przyszpilili grupę Rosjan. Ci nie mogli się ruszyć, ale wezwali wsparcie ogniowe – nad ich głowami leciały pociski z granatnika i moździerzy. Mychajło namawiał Iwana, by się wycofali. Iwan przekonywał, że lepiej zostać. Nagle coś zaczęło syczeć. Mychajło nie jest pewien, ale chce wierzyć, że krzyknął „Na ziemię!". Iwan coś odpowiedział, ale Mychajło nie słyszał, co. Fala uderzeniowa była straszna, w oczach mu pobielało. Nie wiedział, czy jeszcze jest wśród żywych. Spojrzał przed siebie, a tam leżał podziurawiony hełm. Myślał, że to jego, zerwany z głowy, ale dotknął i jego hełm był na miejscu. Iwan leżał obok z dziurą w potylicy.

Do dzisiaj gryzie się z myślami, czy mógł coś zrobić, by go uratować.

To w tym czasie stwierdził, że tacy jak on byli – jak dziś mówi – „jednorazówkami".

Prawny opiekun

Mychajło został wtedy lekko ranny: odłamek trafił go w ramię. Powiedział żołnierzom z sąsiedniej pozycji, że musi się wycofać. Został ewakuowany. Wówczas historia z frontem się dla niego zakończyła. – Uważam, że swoje zrobiłem. Zapłaciłem krwią własną i wroga – stwierdza.

Po powrocie do Lwowa porozmawiał z żoną, która wówczas z córką znajdowała się na Litwie. Alina od lat cierpiała na depresję. Teraz wojna pogorszyła jej stan zdrowia. Mówiła, że już nie wytrzymuje. Kiedy z córką wróciły do Lwowa, zostawiła ją pod opieką matki Mychajła, a sama udała się na leczenie do szpitala. Wówczas Mychajło rozpoczął starania o prawne uznanie, że mała mieszka z ojcem. Mówi, że nie chciał dawać łapówek urzędnikom, że jedyne, na co wydał pieniądze, to konsultacje z adwokatem.

Pod koniec lipca otrzymał pozytywną decyzję i dzięki temu zwolnił się z armii.

Mówi, że nie chciał jechać za granicę. Nie chciał też jednak, by Olha rosła w ciągłym strachu i zagrożeniu. Ponadto potrzebował pieniędzy, a na Ukrainie sytuacja na rynku pracy nie napawała optymizmem. Gdy otrzymał propozycję pracy w biurze architektonicznym od znajomych w Niemczech, przyjął ją.

Pod koniec sierpnia starym żyguli wyjechali we troje do Niemiec, gdzie są do dzisiaj.

Czasami Mychajło zastanawia się, czy nie wrócić i nie wstąpić na nowo do armii. Bo skoro raz udało mu się z niej wyjść cało...

I tak bym wyjechał

Ołeksandr z Rumunii trafił do Holandii, gdzie dostał pracę w firmie informatycznej. Po pół roku pojechał dalej, do Kanady, bo – jak twierdzi – tam ma większe szanse na otrzymanie karty pobytu czy nawet obywatelstwo. – Nie mam wyrzutów, że wyjechałem, bo zrobili to niemal wszyscy moi znajomi – mówi. Dodaje, że wojna ułatwiła mu decyzję o emigracji, o której myślał od dawna.

W Kanadzie najbardziej doskwiera mu samotność, bo całe dotychczasowe życie zostawił za sobą. Wątpi, by kiedyś wrócił na stałe do Ukrainy.

© PAWEŁ PIENIĄŻEK

TP W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA" SPECJALNY DODATEK

Dwudziesta rocznica referendum akcesyjnego

Czy wyraża Pani/Pan zgodę na przystąpienie Rzeczypospolitej Polskiej do Unii Europejskiej?

NIE TAK

renew europe.

A w nim: Róża Thun, Radosław Ciszewski, Danuta Hübner, Maciej Müller, Antoni Dudek...

„TYGODNIK" Z DODATKIEM W SPRZEDAŻY OD ŚRODY 7 CZERWCA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ANNA W OBLICZU ZŁA

„Przeciwstawia się niemieckości", ale jest jeszcze szansa – pisał o niej gestapowiec. Czy dwudziestolatka uległa presji i wpisała się na Volkslistę? Oto historyczno-rodzinne śledztwo.

PIOTR SAUTER-ZAWADZKI

Fotografię maturzystek z prywatnej żeńskiej Szkoły Sióstr Urszulanek Unii Rzymskiej zrobiono w Gdyni wiosną 1939 r. Jest wśród nich Anna, rocznik 1921 – siostra mojego ojca, najstarsza z trojga rodzeństwa.

Wiedziałem o niej, że ukończyła wspomnianą szkołę, i że zmarła podczas II wojny światowej. Ojciec udzielał skąpych informacji o losach swej rodziny, która pochodziła z pogranicza Pomorza i Mazur. Co było powodem jego przemilczeń? Po śmierci ojca długo trwało poszukiwanie odpowiedzi na to pytanie.

Wyjątkowe miasto, niezwykła szkoła

Na atmosferę w gdyńskiej szkole wielki wpływ miał duch rodzącego się miasta (ustawę o budowie portu w Gdyni Sejm przyjął w 1922 r.). O tej dynamice pisano wówczas, że „dużą rolę odgrywał (...) nacechowany sentymentem pęd ku morzu, jaki daje się zauważyć wśród społeczeństwa polskiego po odzyskaniu niepodległości". Gdynia stała się symbolem jednoczenia się kraju po rozbiorach. Miała pokazać prężność państwa i jego prawo do istnienia. W zbiorze artykułów z 1932 r. jeden z autorów określa Gdynię mianem „chluby i dumy młodej Rzeczypospolitej", inni „cudem nadmorskim Polski odrodzonej".

ARCHIWUM RODZINNE AUTORA

Fotografia maturalna klasy z żeńskiej Szkoły Sióstr Urszulanek Unii Rzymskiej. Anna znajduje się w pierwszym rzędzie stojących dziewcząt, druga od prawej. Gdynia, 1939 r.

Na temat kształcenia w szkole urszulanek kronikarze piszą, że „społeczne wychowanie młodzieży zakładało wszechstronny rozwój osobowości drogą kształcenia religijnego, moralnego, umysłowego i fizycznego", i że „w Gdyni wychowanie patriotyczne i społeczne miało swoisty koloryt umiłowania niepodległej Polski nad Bałtykiem i związania mieszkańców miasta z polskimi Kaszubami".

W artykule s. Darii Klich w „Zeszytach Gdyńskich" czytamy, że wyjątkowość szkoły sprawiała, iż „uczennice były dumne z przynależności do niej". Cytowana jest opinia jednej z uczennic o pedagogach: „Nauczyli nas, że najważniejszy jest człowiek, jego stosunek do drugiego człowieka".

Kilkoro z tych nauczycieli zasiada w pierwszym rzędzie na maturalnej fotografii Anny. Są to m.in.: s. Mieczysława Dzionara (prefektka), ks. Zygmunt Wiecki (przeżył potem obozy koncentracyjne Stutthof, Grenzdorf, Sachsenhausen i Dachau), s. Alojza Bańkowska (dyrektorka szkoły w latach 1933-39 i polonistka), a także nauczycielka historii s. Urszula Bazali. Ich podpisy widnieją na maturalnym świadectwie Anny, odnalezionym w skrywanych przez ojca rodzinnych dokumentach.

Cytaty

Wśród tych dokumentów są też zdjęcia Anny w szkolnym stroju. „Urszulański mundurek – pisze s. Daria Klich – składał się z ciemnogranatowej spódniczki układanej w fałdy oraz bluzy tego samego koloru z wykładanym kołnierzem marynarskim, obszytym trzy razy białym sutaszem. W porze letniej i w czasie uroczystości uczennice nosiły białe bluzy tego samego kroju. Marynarski kołnierz obszyty był trzy razy tasiemką granatową, a wkładka z przodu miała wyhaftowany wianuszek otaczający literę »U«. Oprócz tego każdą uczennicę obowiązywał beret granatowy z odznaką metalową z blachy tłoczonej, podobną jak na wkładce, a także tarcza szkolna na lewym rękawie. Do całości stroju należał odpowiedni płaszcz, buty i pończochy".

Pamiątką po szkolnych latach Anny są dwa tomy dzieł zebranych Słowackiego i Mickiewicza, wydane przez warszawską Księgarnię Przeworskiego, z tłoczonymi na płóciennych okładkach podobiznami autorów i rycinami Andriollego. Na pożółkłych stronach w wielu miejscach widnieją zapisane ołówkiem komentarze i podkreślenia. Szczególnie dużo jest ich w mickiewiczowskich „Księgach Pielgrzymstwa Polskiego".

Aby zobaczyć, co kształtowało Annę, odnotujmy dwa zaznaczone przez nią cytaty: „Kto nie wyjdzie z domu, aby zło znaleźć i z oblicza ziemi wygładzić, do tego zło samo przyjdzie i stanie przed obliczem jego". Oraz: „Kto odrzuca wezwanie wolności, odrzucony będzie od oblicza jej".

Kantoristin z Bodenamtu

Po wybuchu II wojny światowej i zajęciu Gdyni przez Niemców Annę z rodzicami i braćmi wysiedlono. Schronienia udzieliła im rodzina z ziemi lubawskiej. Jesienią 1939 r. ziemię tę wraz z całym polskim Pomorzem Niemcy anektowali do III Rzeszy pod nazwą Reichsgau Danzig-Westpreussen (Okręg Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie). W zapowiedzi Hitlera okręg ten miał się stać *kristalldeutsch*, kryształowo niemiecki.

W archiwum ojca zachowały się dokumenty Anny z tego czasu, m.in. zgłoszenie z prowadzonego przez niemiecką policję spisu ludności i zaświadczenie o zatrudnieniu. Oba związane są z Ciechanowem, przemianowanym na Zichenau, do którego Anna się przeniosła w poszukiwaniu pracy. Po aneksji Ciechanów stał się centrum rejencji (jednostki administracyjnej) Regierungsbezirk Zichenau. Rejencję wykrojono z północnego Mazowsza i przyłączono do prowincji Prusy Wschodnie.

W zgłoszeniu policyjnym Anna zadeklarowała narodowość polską. Na pytanie, jakiego języka używa się w jej domu, napisała „polnisch". Na dole dokumentu widnieje odcisk linii papilarnych kciuka prawej dłoni (stąd dokumenty te zwano „palcówkami"). W zaświadczeniu o pracy, w punkcie dotyczącym zawodu, podano: „Kantoristin" (urzędniczka), a miejscem pracy jest „Bodenamt" (urząd ziemski).

Aby zostać na miejscu

Dzięki zachowanym zdjęciom i listom udało mi się odnaleźć wojennego narzeczonego Anny: Stanisława Borodzicza. Przedstawił się, że był oficerem Narodowych Sił Zbrojnych o pseudonimie „Wara" i pełnił funkcję adiutanta dowódcy północnego okręgu NSZ pułkownika Nakoniecznikoffa-Klukowskiego. Po wojnie za antykomunistyczną działalność skazano go na 15 lat więzienia.

W trakcie rozmowy Borodzicz wyjaśnił, że Annę zatrudniono w Bodenamt, gdyż dobrze znała niemiecki.

Wspomniawszy o ojcu Anny, mówił: – Chciałem, żeby on był spokojny, bo tam zmuszali ich do tak zwanej czwartej kategorii. To cała jest tragedia, bo część z tych ludzi, młodych, brano później do wojska niemieckiego. Oni byli wychowani w duchu polskim. Nawet Kaczmarek za to siedział. Ten biskup. Dlatego, że on wtedy powiedział, że Polacy za wszelką ↦

↦ cenę powinni starać się zostać w tych miejsca ch, czyli być na placówce na tej ziemi, to znaczy przyjąć obywatelstwo niemieckie i być [tam]. Ja przesłałem ojcu od pułkownika, mojego dowódcy, blankiet z pełnym zezwoleniem na to, żeby mógł mieć ten angedojcz [*Eingedeutschte* to III grupa Volkslisty]. Że do władz, które będą [w przyszłości], żeby mu nie robili jakichś trudności.

System Volkslisty

Jak działała Niemiecka Lista Narodowościowa (Deutsche Volksliste, DVL), obejmująca kilka grup, tłumaczy „Encyklopedia konspiracji wielkopolskiej 1939-1945": „Wprowadzony jesienią 1939 w Kraju Warty, został w marcu 1941 rozciągnięty na cały obszar ziem wcielonych. (...) Grupa I była przeznaczona dla członków przedwojennych niemieckich organizacji oraz osób, których dzieci chodziły do niemieckich szkół; II – dla obywateli polskich, którzy nie objawiali ostentacyjnie swej niemieckiej przynależności narodowej (...); III – obejmowała osoby pochodzenia niemieckiego (...), żyjące w związku małżeńskim z Niemcem lub Niemką, także osoby, które określały siebie jako Ślązaków, Kaszubów i Mazurów (...); IV grupa (...) była przeznaczona dla tej samej kategorii osób co poprzednia, jeśli brały udział w polskim życiu politycznym, a nawet występowały przeciw Niemcom, gdyż »żadna kropla niemieckiej krwi nie powinna zginąć«".

Dalej czytamy: „Wobec osób, które uchylały się od złożenia wniosku, stosowano przymus, najpierw w postaci pouczenia przez Gestapo, potem przez dwutygodniowy pobyt w obozie policyjnym, wreszcie przekazanie do obozu koncentracyjnego. Grupa I i II otrzymały pełną niemiecką przynależność państwową (...), grupa III – ograniczoną przynależność państwową z chwilą wpisu na listę. Osobom z grupy IV mogła być ona nadana tylko indywidualnymi aktami". Osoby z III i IV grupy podlegały „różnym ograniczeniom, szczególnie wielkim w grupie IV. Ograniczone obywatelstwo mogło być odwołane w ciągu 10 lat, ale zobowiązywało do służby wojskowej".

Liczba wpisów na Volkslistę była znacznie większa na Pomorzu niż na innych terenach wcielonych do Rzeszy. To efekt polityki, jaką prowadził tu wobec Polaków Albert Forster, namiestnik Pomorza. W 1942 r. wezwał on wszystkich ludzi z podległego sobie terenu do wpisywania się na Volkslistę. „Forster zakładał, że każdy mieszkaniec Pomorza jest kandydatem na Niemca", a tym, którzy nie złożą wniosku, groził surowymi konsekwencjami – pisał w „Tygodniku" historyk Tomasz Chinciński, który badał realia okupacyjne na tym terenie [„TP" nr 9/2022 – red.].

ARCHIWUM RODZINNE AUTORA x2

Anna ze Stanisławem Borodziczem. Grudzień 1942 r.

Na Pomorzu panował więc powszechny przymus wpisywania się na Volkslistę – inaczej niż na pozostałych terenach anektowanych i inaczej niż w Generalnym Gubernatorstwie. Tymczasem to zwłaszcza realia GG zdominowały polską pamięć o czasach okupacji – co sprawiło, że w powszechnym osądzie utrwaliły się krzywdzące zarzuty wobec osób, które na Pomorzu poddano działaniu systemu DVL.

Sprawia wrażenie Niemki...

Zamieszczony w „Tygodniku" wywiad z historykiem z warszawskiego IPN Marcinem Przegiętką na temat *Intelligenzaktion* w Ciechanowie [„TP" nr 10/2021 – red.] naprowadził mnie na przypuszczenie, że w zachowanej dokumentacji ciechanowskiego Gestapo mogę znaleźć ślady, które pomogą w wyjaśnieniu informacji uzyskanych od Borodzicza.

Trop był trafny: z archiwum IPN otrzymałem akta sprawy Anny z 1941 r.

W sierpniu tamtego roku Geheime Staatspolizei w Zichenau przesłało do Stapostelle w Schroettersburgu (tj. do delegatury Gestapo w Płocku), jednostki nadrzędnej, kopię listu otrzymanego z ciechanowskiego Bodenamtu. Pewien SS-Untersturmführer donosił w nim, że zatrudnioną w tym urzędzie Annę zbadano pod kątem umieszczenia jej na Volksliście. Ustalono, że jej rodzice powinni zostać przyjęci do III grupy, a ona sama wykazuje się bardzo dobrym wychowaniem oraz wykształceniem i „zdecydowanie sprawia wrażenie Niemki". Poinformowano ją, że w związku z uznaniem za etniczną Niemkę musi natychmiast zrezygnować ze wspólnego mieszkania z innymi Polkami. Ponieważ Anna mimo licznych upomnień nie zgodziła się na to, odpowiadając, że chce pozostać Polką, założono, że znajduje się ona pod jakimś wpływem i uznano, że należy ją natychmiast z urzędu usunąć.

W odpowiedzi Gestapo w Zichenau dostało ze Schroettersburga polecenie przesłuchania Anny i jej aresztowania, jeśli okaże się wrogo nastawiona do Niemiec.

Protokół przesłuchania podaje, że z uwagi na wychowanie i wykształcenie w szkole urszulanek Anna podtrzymała wolę pozostania Polką, gdyż czuje i myśli po polsku, jest też przekonana, że byłaby złą Niemką. Miała też zeznać, że nic nie wie o tym, aby jej rodzice wystąpili o przyjęcie do III grupy Volkslisty, i nie widzi powodu, żeby wobec złej sytuacji Polaków stać się nagle Niemką, by dzięki temu poczuć się lepiej.

„Jeśli w efekcie jej postawy będzie miała jakieś problemy – notował przesłuchujący – godzi się z tym i nazywa to losem. Stąd zauważa się, że (...) jest niewątpliwie narodowości polskiej. Ze względu na wykształcenie można ją (...) zaliczyć do grona inteligencji. (...) Z całą pewnością można przyjąć, że winę za jej obecną postawę ponosi wychowanie (...) w dawnym polskim instytucie kościelnym".

...ale się przeciwstawia

Potem trwały konsultacje i spory, co z Anną zrobić – między Gestapo, Bodenamtem, biurem Komisarza Rzeszy ds. Umacniania Niemczyzny, powiatowym przywódcą NSDAP i Służbą Bezpieczeństwa SS. Wystosowano też pytanie do biura DVL, czy jej rodziców zaliczono do III grupy (w aktach jest informacja, że złożyli jakieś pismo w tej sprawie). Ich niemieckie pochodzenie potwierdzać miało, że ojciec urodził się w Prusach Zachodnich i podczas I wojny służył w niemieckiej armii, a matka urodziła się w Prusach Wschodnich, i że oboje mieszkają w Reichsgau Danzig-Westpreussen. Stało się to

Niemiecki dowód osobisty Anny wystawiony w Zichenau (Ciechanowie).

podstawą do uznania, że także Anna jest „niewątpliwie pochodzenia niemieckiego”.

We wnioskach z przesłuchania śledczy zanotował w sprawie Anny, że „nawet jeśli [jej] postawa z czysto ludzkiego punktu widzenia może być uznana za dobrą cechę charakteru, to (...) nie można jej zaakceptować”, i że „choć (...) nie dochodzi z jej strony do bezpośredniego wyrażenia wrogości [wobec państwa niemieckiego], to jednak biernie przeciwstawia się ona niemieckości, a tym samym znajduje się poza niemiecką wspólnotą narodową”.

Jego zdaniem Anny ze względu na młody wiek nie należy objąć *Inschutzhaftnahme*, „aresztem ochronnym” (czyli zesłaniem do obozu koncentracyjnego), natomiast „wydaje się celowe wydalenie jej z miejscowych terenów i ewentualne skierowanie przez Arbeitsamt [Urząd Pracy] do Altreich [Starej Rzeszy]”. Z Bodenamtu należało ją natychmiast zwolnić.

Obóz, wydalenie do GG lub do Altreichu, gdzie zapewniono by Annie „ukształtowanie” przez „odpowiednie kierownictwo okręgu NSDAP w zakresie narodowego socjalizmu” – wokół takich rozwiązań toczył się spór.

W piśmie skierowanym do Sicherheitsdienst des RFSS-SD – Abschnitt Zichenau (Służby Bezpieczeństwa SS, Oddział Ciechanów) funkcjonariusz Gestapo, sprzeciwiając się naciskom, by umieścić Annę w obozie, argumentował, że jego zdaniem jest „nie do przyjęcia z punktu widzenia dążeń niemieckich na Wschodzie, aby takie działania stwarzały wśród polskiej ludności wrażenie zmuszania do przechodzenia na niemieckość”.

Poinformował też, że „zgodnie z zawiadomieniem otrzymanym w międzyczasie z Bodenamt w Zichenau, urząd ten zamierza przenieść [Annę] do Białegostoku, aby zatrudnić ją w tamtejszym swoim urzędzie” (on sam nadal optował za wysłaniem jej do Altreichu).

Możemy mówić o szczęściu

W lutym 1942 r. Gestapo w Zichenau poinformowało Stapo w Schroettersburgu, że od listopada 1941 r. Anna pracuje w oddziale Bodenamt Zichenau w Białymstoku, i że „podobno zmieniła swój dotychczasowy pogląd” oraz „można się spodziewać, że (...) będzie się teraz ubiegać o wpisanie na Niemiecką Listę Narodowościową, zwłaszcza że jej rodzice zostali w międzyczasie wpisani do Niemieckiej Listy Narodowościowej w grupie III”. Na tym kończą się akta ciechanowskiego Gestapo.

Czy Anna uległa presji i wpisała się na Volkslistę? Nie wiadomo. W 1943 r. zmarła w Białymstoku na tyfus.

W archiwum rodzinnym jest dokument wydany w 1945 r. dla jej ojca: „Wymieniony przez cały czas okupacji niemieckiej pod względem narodowościowym zachowywał się dobrze. Nie działał na szkodę Narodu ani Państwa Polskiego”. To ślad po tzw. procesach rehabilitacyjnych, które po wojnie prowadzono na terenach wcielonych podczas okupacji do Rzeszy. Brunon Zwarra, autor książek o historii Gdańska, wspominał na ten temat: „Jakież to było dla nas obraźliwe. (...) Teraz władze polskie zaszeregowały nas jako niepełnoprawnych Polaków. (...) Możemy mówić jeszcze o szczęściu, że nie uznano nas za Niemców”.

Realia pojałtańskiej Polski, w tym powojenna nienawiść do wszystkiego, co niemieckie, a także tropienie folksdojczów oraz dominujący przekaz o warunkach okupacji pochodzący z terenu GG – wszystko to sprawiało, że ludzie, którzy przeżyli ją na Pomorzu, bali się mówić o swych doświadczeniach z opresyjnym systemem Volkslisty. Woleli milczeć. Jak mój ojciec. © PIOTR SAUTER-ZAWADZKI

NAUKA

WEŹ BADAJ

Coraz więcej amatorów przyrody dzieli się swoimi obserwacjami z naukowcami za pośrednictwem specjalnych platform. Dzięki tak działającej nauce obywatelskiej odkrywano już nawet gatunki.

JUSTYNA KIERAT

Wiosenny ciepły dzień, miejski park, w którym zaczęły już kwitnąć pierwsze rośliny. Tata z synkiem w wieku wczesnoszkolnym przechadzają się alejkami, co chwilę przystając. Chłopiec pokazuje ojcu zauważone na kwiatach owady, a ten fotografuje je smartfonem. Zabawa na świeżym powietrzu? A może pomoc w badaniach naukowych?

Oblicze pracy naukowej zmieniało się na przestrzeni wieków. Wraz z rozwojem poszczególnych dziedzin mocno zaznaczyła się specjalizacja – trudno dziś szukać takich ludzi jak Leonardo da Vinci czy Gottfried Wilhelm Leibniz, mających szczegółową wiedzę w wielu odległych od siebie działach nauki. Dzisiejsi naukowcy zajmują się zwykle wąskim zakresem tematów, a szersze spojrzenie uzyskują dzięki współpracy z badaczami z innych dziedzin przy interdyscyplinarnych projektach. Bycie specjalistą wymaga wielu lat przygotowań, zdobywania wiedzy i warsztatu metodologicznego, a do badań niejednokrotnie potrzeba specjalistycznego (i bardzo drogiego) sprzętu.

Nie jest to jednak jedyne oblicze współczesnej nauki, a obserwacje przyrody prowadzone z lornetką, lupą czy nawet gołym okiem wciąż należą do jej metodologii. W XXI w. potrafimy zbadać wnętrze atomu i sekwencjonujemy całe genomy człowieka i innych organizmów, ale wciąż nie jesteśmy pewni, ile gatunków zamieszkuje wraz z nami Ziemię. Wiele spośród nich nie doczekało się opisania i nadania nazwy. O tych opisanych z kolei czasami nie wiemy prawie nic, włącz-

nie z tak podstawowymi informacjami jak to, gdzie obecnie można je spotkać i co jest im potrzebne do życia.

Obserwacje zachowań zwierząt w ich naturalnym środowisku często są żmudne i czasochłonne, ale mogą dostarczać istotnych informacji na ich temat. W dobie zmian klimatu szczególnie pilne staje się też badanie zasięgów występowania, które teraz szybko się zmieniają. Zapotrzebowanie na wyjście w teren i badanie żyjących tam organizmów oraz zachodzących procesów wciąż jest duże, a osób, które mogą i chcą to robić, często brakuje.

O ile do pewnych zadań, takich jak obsługa specjalistycznych sprzętów, analiza danych i interpretacja wyników, konieczne są wykształcenie i odpowiednie umiejętności, to są i takie, które wymagają co najwyżej krótkiego przeszkolenia oraz dużej ilości czasu i cierpliwości. Gdyby tak zaprosić do współpracy wolontariuszy, którzy będą mogli dać swój czas i zaangażowanie, a odpowiednio pokierowani przez specjalistów pomogą zebrać wartościowe dane do dalszych analiz? Na tym właśnie opiera się coraz popularniejsza idea *citizen science*, czyli nauki obywatelskiej.

Zdjęcia z Facebooka

Pomoc „obywatelska" może być różna, a w niektóre projekty można włączyć się bez wychodzenia z domu (mnóstwo takich projektów można znaleźć m.in. na stronach: eu-citizen.science, scistarter.org czy zooniverse.org). Możemy np. analizować nagrania z fotopułapek i oddzielać te, na których utrwaliły się zwierzęta, od tych, gdzie fotopułapka aktywowała się pod wpływem gałązki poruszonej wiatrem, albo rozszyfrowywać zeskanowane etykiety ze starych muzealnych okazów. Jeśli wolimy przebywać w terenie, możemy po prostu dokumentować to, co napotkamy na swojej drodze, albo rozglądać się za konkretnymi organizmami, których w danym momencie ktoś poszukuje do swojego projektu.

Nauka obywatelska okazuje się niezwykle pomocna w badaniach rozmieszczenia gatunków. Samodzielne przeprowadzenie badań terenowych przez jedną lub kilka osób może być trudne lub wręcz niewykonalne ze względów logistycznych. Czasem miejsce występowania danego gatunku znajduje się setki czy tysiące kilometrów od miejsca zamieszkania zajmującego się nim specjalisty.

Przykładowo Radomir Jaskuła, biolog pracujący na Uniwersytecie Łódzkim, bada m.in. chrząszcze z rodziny zgniotkowatych (*Cucujidae*). Można je spotkać na wszystkich kontynentach poza Afryką i Antarktydą. Jaskuła wraz ze współautorami opublikował prace na temat występowania pewnych gatunków z tej rodziny na Półwyspie Koreańskim oraz w Ameryce Południowej i Północnej. Badania te nie wymagały jednak dalekich podróży, gdyż były oparte na obserwacjach osób, które spotkały i sfotografowały te chrząszcze, a zdjęcia umieściły w internecie.

Większość obserwacji użytych przez badaczy pochodziło z bazy iNaturalist, ale interesujących danych dostarczyło też przeszukanie forów tematycznych, a nawet portali Facebook i Flickr. Czasem wymagało to dodatkowego kontaktu z autorem obserwacji w celu dopytania o ważne szczegóły (jak miejsce i czas stwierdzenia). Wysiłek się opłacił – uzyskano pełniejsze dane na temat rozmieszczenia dwóch gatunków zgniotkowatych ↦

MICHEL PORRO / GETTY IMAGES

Wolontariusze porządkują muszelki podczas Dnia Wielkiego Liczenia Muszelek, obywatelskiej akcji organizowanej w nadmorskich miejscowościach Belgii, Holandii i Francji, której celem jest zbadanie poziomu zanieczyszczenia Morza Północnego i kondycji zamieszkujących je organizmów. Katwijk aan Zee, Holandia, marzec 2023 r.

↦ na Półwyspie Koreańskim, do tej pory bardzo słabo zbadanym pod tym względem, a w Peru znaleziono dwa gatunki, których obecność nie została nigdy wcześniej odnotowana na całym kontynencie południowoamerykańskim.

Dla jednego z chrząszczy zamieszkujących Amerykę Północną udało się zebrać nie tylko dane o samym jego występowaniu, ale i o ekologii oraz wymaganiach środowiskowych. Pozwoliło to oszacować, jak na zasięg tego gatunku mogą wpłynąć zmiany klimatyczne. To ostatnie było możliwe dzięki wykorzystaniu dużej liczby pojedynczych obserwacji.

Inwazja azjatyckiej pszczoły

Obecnie działa szereg portali, które ułatwiają dzielenie się swoimi obserwacjami przyrodniczymi oraz udostępnianie ich osobom prowadzącym badania. Jednym z nich jest wspomniany iNaturalist, gdzie można zamieścić obserwację dowolnego organizmu żywego z każdego miejsca na świecie. Aby mogła zostać później wykorzystana w badaniach, musi spełnić kilka prostych warunków – zawierać zdjęcie, film lub nagranie dźwiękowe pozwalające rozpoznać napotkany organizm, a także informację o dacie i miejscu spotkania. Tyle wystarczy – nie musimy nawet wiedzieć, z jakim dokładnie gatunkiem mieliśmy do czynienia. Jego rozpoznaniem mogą w razie potrzeby zająć się inni użytkownicy portalu, a także – oczywiście – badacze zamierzający wykorzystać tę obserwację w swojej pracy.

Wspomniane publikacje Jaskuły i jego zespołu są jednymi z wielu, które powstały dzięki danym z tego portalu. Wśród nich są nawet odkrycia nowych dla nauki gatunków. W 2022 r. Harper Forbes i Prakrit Jain opisali dwa kalifornijskie gatunki skorpionów, które po raz pierwszy zobaczyli właśnie na zdjęciach zamieszczonych na iNaturalist. Byli wówczas uczniami liceów. Rozpoznali w sfotografowanych skorpionach przedstawicieli nowych gatunków i udali się w miejsce, gdzie zostały one znalezione, by je odszukać i zebrać próbki do badań. Wyniki swojej pracy, potwierdzające, że są to nowe dla nauki taksony, opublikowali wraz z Lauren Esposito, badaczką pajęczaków z California Academy of Sciences.

Monitoring społeczny działa bardzo efektywnie w przypadku gatunków, które dynamicznie zmieniają swój zasięg, szybko rozprzestrzeniając się na nowe obszary. Taka sytuacja ma obecnie miejsce w przypadku miesierki z gatunku *Megachile sculpturalis*. Ta samotniczo żyjąca pszczoła naturalnie występowała w Azji. Do Europy została najprawdopodobniej zawleczona razem z importowanym drewnem, w którym znajdowały się gniazda. Tutaj miesierka zaczęła się rozmnażać i rozprzestrzeniać w kolejnych europejskich krajach.

Duża i ciemno ubarwiona, gniazduje w znalezionych przez siebie szczelinach, których wnętrze urządza z pomocą żywicy. Jest dość agresywna w stosunku do innych pszczół i może przejmować ich gniazda, wyrzucając z nich prawowite właścicielki. Pojawiła się obawa, że może w ten sposób zagrażać np. zadrzechniom (*Xylocopa*), rodzimym dla Europy pszczołom, których gniazda są na tyle duże, że *Megachile sculpturalis* jest w stanie się do nich zmieścić.

Naukowcy starają się na bieżąco śledzić rozprzestrzenianie się populacji tej miesierki, a także obserwować jej wpływ na rodzime gatunki pszczół. Jak argumentują Jovana Bila Dubaić i Julia Lanner, badające ten gatunek, szczególnie cennymi współpracownikami są dla nich pszczelarze. Nie tylko uważnie przyglądają się przyrodzie i potrafią odróżnić *Megachile sculpturalis* od dobrze im znanej pszczoły miodnej, ale także nie boją się pszczół i w razie potrzeby są w stanie złapać okazy na potrzeby wykonania badań genetycznych.

Nie tylko oni jednak pomagają w badaniach inwazyjnej miesierki. W ciągu dwóch lat trwania projektu Lanner ze współpracownikami otrzymała ponad sto nowych stwierdzeń tego gatunku od mieszkańców Szwajcarii, Austrii i Liechtensteinu.

Dzieci Darwina

W Polsce nie prowadzi się monitoringu *Megachile sculpturalis* (nie została dotąd odnotowana), jednak działa u nas monitoring społeczny innych dzikich pszczół – zadrzechni. Na południu Europy są one często spotykane, w Polsce ich sytuacja przedstawia się inaczej. Zadrzechnię fioletową (*Xylocopa violacea*) obserwowano zaledwie kilkukrotnie pod koniec XIX i na początku XX w., a w „Polskiej czerwonej księdze zwierząt" z 2004 r. została określona jako gatunek prawdopodobnie wymarły. Niedługo po wydaniu tej publikacji zaczęto ją jednak ponownie obserwować w naszym kraju.

Stowarzyszenie Natura i Człowiek z Wrocławia od 2016 r. prowadzi monitoring zadrzechni fioletowej i drugiego polskiego gatunku, łudząco podobnej i również rzadkiej zadrzechni czarnorogiej (*Xylocopa valga*). Każdy, kto zobaczył tę pszczołę i komu udało się zrobić jej zdjęcie, może wysłać je do Stowarzyszenia wraz z informacją o dacie i miejscu spotkania. Zadrzechnie świetnie nadają się na obiekt badań z wykorzystaniem nauki obywatelskiej. To jedne z największych polskich pszczół, wielkości porównywalnej z dużymi trzmielami, a do tego charakterystycznie ubarwione – całe czarne, z metalicznym połyskiem. Łatwo je zauważyć i oznaczyć, również ze zdjęcia (przynajmniej do poziomu rodzaju, bo rozróżnienie tych dwóch gatunków nie jest już takie proste). Projekt monitoringowy trwa nadal i można nadsyłać do niego swoje obserwacje.

Nauka obywatelska cieszy się w ostatnich latach rosnącą popularnością, jednak wbrew pozorom ma bardzo długą tradycję. Jeśli przyjrzymy się badaniom Karola Darwina, to okaże się, że on również korzystał z jej dobrodziejstw. Ten słynny XIX-wieczny przyrodnik znany jest głównie ze sformułowania teorii ewolucji, ale w swojej karierze zajmował się wieloma zagadnieniami. Jednym z obiektów jego zainteresowania były zachowania godowe trzmieli. U wielu gatunków samce latają w kółko po tej samej trasie, co jakiś czas przysiadając na chwilę na – również ciągle tych samych – punktach obserwacyjnych.

Darwin w czasie obserwacji skorzystał z pomocy szóstki swoich dzieci, które rozstawił przy kolejnych punktach odwiedzanych przez samca trzmiela. Kiedy owad przysiadał w danym miejscu, stojące przy nim dziecko krzyczało „tu jest pszczoła!". W ten sposób Darwin upewnił się, że trzmiel latał po pętli, nie pomijając żadnego z odwiedzanych stanowisk.

Nadchodzące coraz cieplejsze dni zachęcają do spacerów i spędzania czasu w przyrodzie. Projekty nauki obywatelskiej mogą być ciekawym urozmaiceniem tych aktywności, a przy okazji pomóc w rozwoju nauki. Pojedyncze obserwacje sumują się w pokaźną liczbę danych w skali kraju i świata, do których warto dołożyć swoją cegiełkę.

© JUSTYNA KIERAT

ELIZA

Kącka:
Kim jest Cielc?

Fejsbukowy folder „inne” proponuje opieranie marksistów (czyżby gacie?): „Piszę celem apelu, by cofnęła się Pani od opierania marksistów. Wszechobecny marksizm zniewolił, Panią jak i innych. Chcecie nieuczciwego blichtru oraz zarobku. Chęć uznania zaślepia Pani podobnych do ofiar na ołtarzu Złotego Cielca. A kim jest Cielc? Pyta Pani bez lektury Biblji. Odpowiadam: Cielc przybiera różne tważe. Ateizm, feminizm, niebinaryzm. A może Pani już jest Kącko nie Kącka? Gratuluję! Proszę zgłosić się o żołd »Wyborczej«. Niech tylko nie myśli że, to się łatwo odwraca. Normalny mężczyzna nigdy nie spojrzy na Kącko!”.

Sielce, u mojej fryzjerki, przy podcinaniu grzywy: „a pani to czym się w sumie zajmuje? chyba uczeniem, nie?”. „można tak powiedzieć”. „ale literatury?”. „aha”. „suuuper. starej czy obecnej?”. „też”. „suuuper. moja córka interesuje się tak od Masłowskiej w górę. mówi, że to odróżnia ludzi inteligentnych”. „to ja jestem tylko trochę inteligentna”. „haha. a rankingi pani robi?”. „nie”. „to gorzej. ona co tydzień robi ranking książek. mówi, że trzeba mieć zdanie”. „ta, trudno bez rankingu”. „właśnie. ale często jej listy się pokrywają z tymi z mediów. powiem pani, dumna jestem”. „brawo”. „ale pani czasem też musi spróbować, żeby nie mieć kompleksu. tak dla siebie”.

W pociągu, mijamy Świebodzin. maluch w szybę: „mamaaa, a co to jest?”. „nie co, tylko kto. to Pan Jezus”. „dlaczego taki olbrzymi?”. babcia: „to z szacunku, wnusiu”. mama: „ludzie usiedli i uradzili, że Pan Jezus potrzebuje największego pomnika, wiesz?”. mały: „bo był najdzielniejszy?”. „nie był, tylko jest. on żyje”. mały: „to on chodzi?”. gość z siedzenia obok: „na razie stoi, ale jeszcze pójdzie na Polskę robić porządek”. babcia na wkurzeniu: „co pan dziecku wodę z mózgu robi?! Pan Jezus tylko stoi i błogosławi”. gość: „no właśnie! a Syrenka ze Smokiem się muszą uwijać, o”.

i dostajesz maila treści: „Szanowny eliza.kacka, nie pisze by wyrazić współczucie dla mojej choroby. Napewno uzyskiwałeś eliza.kacka na twoje Konto oferty drogiego spadku. Są to oferty bazujące na naiwność, proszące o podanie danych. Moja oferta eliza.kacka nie naraża na pesel albo numer konta. Wystarczy gotowość kontaktu. Eliza.kacka moja sytuacja jest trudna. Nie mogę umrzeć zanim przekażę pieniądze na osobę szlachetną. Twój login eliza.kacka jest gorącym priorytetem na liście. Z mojej rodziny żyje tylko ja. Moja matka nie pozostawiła dzieci. Jest to okazja eliza.kacka do okazji szlachetnej pomocy. Oto mój adres, którym czekam na zgodę: xxx”.

bródno, stare bloki. winda staje między czwartym a piątym piętrem. ze mną staruszek. klnę, on: „odklinuje się”. „często tak?”. „owszem. opowiem pani mój sen. czy wypada?”. „jasne”. ucieszył się: „z zarządu wspólnoty mnie za to wyrzucili”. „za sny?!”. „bo opowiadam na zebraniach. no to śniło mi się, że Bródno jest pod wodą. wyprowadzałem psa pod wodą, siedzieliśmy na ławkach pod wodą. i wiedziałem, że nie tylko Bródno, bo sąsiadka powiedziała, że w Śródmieściu robiła zakupy i było tak samo jak u nas. wie pani, myśmy sobie swobodnie w tej wodzie chodzili i oddychali, jakbyśmy się w tej wodzie urodzili. we śnie wiedziałem, że tak od kilku lat jest w Polsce, że się żyje pod wodą. a tu raptem pismo w skrzynkach, że mamy się przygotować na wynurzenie. i wie pani, jaki to był strach. że jak woda opadnie, to się udusimy. i pamiętam jeszcze, żeśmy się składali w bloku na szklane kule z wodą na głowę, żebyśmy mogli jeszcze trochę pożyć. każdy z taką kulą jak nurek w książce dla dzieci. no, ze mnie to wariat”. winda ruszyła.

Sąsiednia ławka, dwie z grubsza sześćdziesięcioletnie, park Morskie Oko. „tam w tym bloku niskim to by sobie pani metra kwadrat nie kupiła”. „wiadomo”. „skąd się ci ludzie biorą, to ja nie wiem”. „nowy gatunek”. „inni ludzie. o, a tam obok na dole mają jakiś kolejny punkt naprawczy”. „czego?”. „życia chyba. podobno »holistyczny«”. „a to jakaś religia?”. „raczej kult”. „co oni jeszcze chcą, Boże drogi!”. „kto ich wie. może przedłużyć sobie nieśmiertelność?”.

biblioteka, wolny dostęp, obok dwie studentki. „jak tu przyjdę, to dostaję paranoi, że lepiej się pracuje w domu”. „aha”. „ale jak zostaję w domu, to dostaję paranoi, że więcej bym napisała w bibliotece”. „jasne”. „generalnie to siedzę i myślę, że lepiej by mi się myślało gdzie indziej, i nie mogę pisać”. „łapię”. „i chce mi się jeść, jak nie mam żarcia pod ręką. ale to lepiej, bo w domu tyję”. „jasne”. „poza tym to książki dobrze na ciebie działają?”. „w sensie?”. „no nie wiem, nie odczuwasz presji? że ich naustawiali po to, żebyś miała poczucie winy?”. „hm, wiesz, to biblioteka jednak”. „no chyba że tak”.

grudzień, autobus 166, na prośbę koleżanki-nauczycielki czyta człowiek trzy artykuły do szkolnej gazetki (koleżanka opiekuje się „blokiem humanistycznym”). jeden artykuł z przypisami. ten mnie rozczulił: „Sokrates – twórca Dialogów Platońskich. Filozof brzydki fizycznie, znany z antyku. Posiadał irytujący dla niektórych sposób szerzenia mądrości. Zmarł od ugryzienia cykuty”. ©

CHARLIE BEST / MATERIAŁY PRASOWE WRATISLAVIA CANTANS

Wayne Marshall

Vivat Wratislavia!

Zbliża się lato, a wraz z nim wysyp festiwali muzycznych w różnych miejscach Polski. Ich swoistym zwieńczeniem, już u progu jesieni, od 58 lat pozostaje Wratislavia Cantans.

Pamiętam jeszcze z moich czasów szkolnych, studenckich, że gdy wracało się z wakacji i trzeba było zmierzyć się z obowiązkami, nie zawsze byliśmy szczęśliwi; no ale czekała nas jeszcze Wratislavia Cantans – mówi Andrzej Kosendiak, dyrektor Narodowego Forum Muzyki, które organizuje festiwal. – Był to taki czas, w którym świętowaliśmy muzykę i mieliśmy okazję spotykać się z wybitnymi artystami.

Te właściwości wrocławskiego festiwalu pozostają niezmienne. Na co w tym roku zaprasza Wratislavia Cantans? I kiedy? Przede wszystkim – w dni wokół weekendu. Wreszcie można skorzystać z koncertów ze spokojniejszą głową, mniej myśląc o tym, jak pogodzić je z pracą i wyprawianiem dzieci do szkoły. Można przyjechać do Wrocławia dwukrotnie na kilka dni i skorzystać nawet z całej festiwalowej oferty. Wydarzenia trwają od czwartku do niedzieli, 7-10 i 14-17 września, a początkowe dni tygodnia będą wolne.

MATKA NATURA

Tematem festiwalu, bo jego dyrektor artystyczny, Giovanni Antonini, co roku organizuje wydarzenie wokół wybranej myśli przewodniej, jest tym razem „Matka natura". To temat bliski muzyce, która powstawała w okresach chętnie przyglądających się tajemnicom przyrody i zachwycających jej czarem – raz sielankowym, raz pełnym drapieżnej, niepowstrzymanej siły.

Zabrzmi zatem kilka charakterystycznych utworów, poczynając od samego misterium stworzenia, *Kosmogonii* Krzysztofa Pendereckiego. W koncercie inauguracyjnym Orkiestrę NFM Filharmonii Wrocławskiej poprowadzi w niej mistrz, Christoph Eschenbach, przechodząc następnie przez tajemniczą *Passacaglię: Secret of Wind and Birds* najsłynniejszego chińskiego kompozytora, Tana Duna, do malarskiej *VI Symfonii* Beethovena – *Pastoralnej* (7 września).

W kolejnych koncertach będziemy oddawali się „szaleństwom miłości", i to w śródziemnomorskim wydaniu,

MATERIAŁ PROMOCYJNY

które przywiezie zespół Accademia del Piacere (8 września); przyglądać będziemy się rytmowi życia w zgodzie z naturą, czemu poświęcił swe ostatnie oratorium Joseph Haydn (*Pory roku*, wyk. Il Giardino Armonico, dyr. Giovanni Antonini, 9 września); a wreszcie niedzielę 10 września uczcimy najpiękniejszymi utworami maryjnymi, m.in. *Salve Regina* Pergolesiego (wyk. Alicia Amo i Musica Boscareccia, w południe) oraz *Magnificat* Vivaldiego (wieczorem, wyk. Chór dziewczęcy NFM i European Union Baroque Orchestra, dyr. Enrico Onofri). Ten ostatni koncert interesująco przybliży słuchaczom działalność Rudego Księdza, który przecież przez lata prowadził kształconą przez siebie, znakomitą orkiestrę jednego z weneckich sierocińców dla dziewcząt, Ospedale della Pietà, dla której tworzył też swoje sławne koncerty skrzypcowe.

VIVAT!

Następna odsłona festiwalu rozpocznie się od czwartkowej wędrówki przez *Pory dnia*, jak zatytułował jeden ze swych zbiorów kompozytor w swoim czasie znacznie sławniejszy od Bacha, z którym zresztą był zaprzyjaźniony, Georg Philipp Telemann. Ten barwny koncert wykona znakomity polski zespół Arte dei Suonatori, prowadzony przez świetnego klawesynistę młodszego pokolenia, Marcina Świątkiewicza. W piątek zabrzmią estońskie pieśni Cyrillusa Kreeka, *Pieśni natury*, przywołujące tamtejszą wielką tradycję chóralistyki; Estonian Philharmonic Chamber Choir poprowadzi w nich Tõnu Kaljuste, dyrygent znany w NFM, m.in. z nagradzanego, wspólnego nagrania kompletu symfonii Arvo Pärta dla ECM.

W sobotę 16 września czekają nas znowu dwa koncerty, organowy, na którym Wayne Marshall utwory m.in. Messiaena i Widora przeplatać będzie improwizacjami, oraz *Stabat Mater* – tutaj Giovanni Antonini i jego wirtuozowski zespół wystąpi ze śpiewakami Alicią Amo i Carlem Vistolim, a zabrzmi m.in. wielkie *Stabat Mater* Pergolesiego, poprzedzone przekrojem poruszającej muzyki od średniowiecza (Perotinus i Machaut), przez *Il terremoto*, trzęsienie ziemi, którym Haydn odmalował grozę śmierci Chrystusa w swych *Siedmiu ostatnich słowach Zbawiciela na krzyżu*, aż po Pärta.

Na miano prawdziwego finału zasługuje koncert niedzielny Wrocławskiej Orkiestry Barokowej pod kierunkiem Andrzeja Kosendiaka, z fragmentami barokowego cyklu *Les éléments, Żywioły* (taki jest też tytuł wieczoru), Jeana-Féry Rebela oraz wielkimi kantatami świeckimi Johanna Sebastiana Bacha – m.in. *Zerreißet, zersprenget, zertrümmert die Gruft*. W tym *dramma per musica* personifikacje wiatrów i bogini Pomony uczestniczą w świątecznej fecie, kończąc ją zbiorowym: „Vivat!".

A zatem: vivat Wratislavia, Wratislavia Cantans! © JP

58. MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL WRATISLAVIA CANTANS IM. ANDRZEJA MARKOWSKIEGO

7–17 września 2023 r., Wrocław i Dolny Śląsk

LUCA PIVA / MATERIAŁY PRASOWE WRATISLAVIA CANTANS

Christoph Eschenbach

ARCHIWUM ZESPOŁU / / MATERIAŁY PRASOWE WRATISLAVIA CANTANS

Accademia del Piacere

CHICO DE LUIGI / / MATERIAŁY PRASOWE WRATISLAVIA CANTANS

Enrico Onofri

MICHAL NOVAK / / MATERIAŁY PRASOWE WRATISLAVIA CANTANS

Musica Boscareccia

POWRÓT DO MILCZENIA

Już dawno tak bardzo nie zastanawiało mnie to, czego nie zrobiłem. Otóż nie zobaczyłem wystawy malarstwa Vermeera w Amsterdamie. I już nie zobaczę, 4 czerwca zostanie zamknięta.

RYSZARD KOZIOŁEK

JENS UMBACH / LAIF / FORUM

Wernisaż wystawy Vermeera w Rijksmuseum. W tle „Dziewczyna z perłą". Amsterdam, 29 lutego 2023 r.

Dlaczego właściwie zabrakło biletów na Vermeera w Rijksmuseum? Wyprzedano je już parę dni po otwarciu wystawy, w lutym, choć przecież nie trzeba ruszać się z domu, żeby detalicznie studiować życie i dzieła Vermeera oraz rozmaite konteksty ułatwiające rozumienie jednego i drugiego. Wystarczy odpalić fenomenalną stronę www.essentialvermeer.com i z kubkiem herbaty w jednej ręce, a myszą w drugiej zwiedzać światy, których nie pomieści żadne muzeum. Dlaczego więc biletów nie wystarczyło?

Spryt kupców i żeglarzy

Najłatwiej użyć argumentu promocyjno-konsumpcyjnego. „The greatest show on earth", „Największa wystawa Vermeera ever!". „Nigdy nie zgromadzono tylu Vermeerów w jednym miejscu" – wzywają nas natarczywie gazety i portale. Oto po raz pierwszy w historii zgromadzono dla nas większość istniejących obrazów Vermeera. Na trzydzieści siedem znanych zebrano dwadzieścia dziewięć (potem dwadzieścia osiem, bo „Dziewczyna z perłą" musiała wcześniej wrócić do Hagi).

Ogromne środki zaangażowane w przygotowanie wystawy zwrócą się z pewnością. Rok trwające podgrzewanie tematu nakręciło globalne zainteresowanie. Z pewnością więc nasze pragnienie odwiedzenia Amsterdamu nie wynika wyłącznie z pobudek estetycznych, ale zostało starannie skonstruowane. Nie tylko nie lekceważę handlowego wymiaru przedsięwzięcia, ale uważam je za bardzo istotny składnik rozumienia popularności obrazów Vermeera i całego malarstwa niderlandzkiego.

Kto jak kto, ale Holendrzy znają się na handlu wszystkim. Druga po Wenecji kupiecka i mieszczańska potęga Europy – w przeciwieństwie do pierwszej – dobrze prosperuje po dziś dzień, a handel dziełami sztuki od samych początków stanowił składnik jej gospodarki. Narodziny młodej Republiki Zjednoczonych Prowincji w XVI w. przyniosło niderlandzkim artystom cały szereg nowych problemów.

Podział Europy na katolicką i protestancką zmienił na stulecia rynek sztuki, mody i potrzeby odbiorców, a tym samym wpłynął na decyzje czysto artystyczne w zakresie tematów i form sztuki, a nawet tak prozaicznych kwestii jak rozmiary obrazów. Chcąc kontynuować renesansowy i wczesnobarokowy nurt malarstwa religijnego, mitologicznego i historycznego, taki Goyen czy Hals stanęli w obliczu artystycznej i finansowej katastrofy. Podczas gdy niedaleko, na północy, w katolickiej Antwerpii Rubens nadal korzystał z lukratywnych zamówień kościelnych, królewskich i arystokratycznych klientów, w protestanckiej Holandii rozbuchany barok się nie przyjął, a manifestacje bogactwa i potęgi władzy były w złym guście.

Kościoły protestanckie zostały pozbawione obrazów i rzeźb jako niezgodnych z doktryną i duchem luteranizmu, a dla zapracowanej i pragmatycznej burżuazji protestanckiej przedstawianie scen mitologicznych, wielkiej historii królów i wodzów nie miało estetycznej i politycznej wartości. Nie zamierzali więc za nie płacić. Trzeba się było przekwalifikować.

Rzeczywistość „malownicza"

Wybawieniem z kryzysu stał się portret. Tak indywidualny, jak i zbiorowy. Sukces finansowy protestanckiego mieszczaństwa domagał się wizerunku, czyli nobilitacji i utrwalenia. Podobnie jak szacunek wspólnoty wyrażony obywatelowi powołaniem do służby publicznej zasługiwał na uwiecznienie, nawet jeśli był czymś tak prozaicznym, jak członkostwo w milicji obywatelskiej, co nie dość dyskretnie wykpił Rembrandt w „Straży nocnej". Rembrandt należał do tych niewielu szczęśliwców, którzy przez pewien czas opływali w zamówienia, a i tak po śmierci zostały po nim tylko stare ubrania i sprzęt malarski. Resztę zlicytowali wcześniej wierzyciele.

Skoro zmienił się klient, tylko nieliczni malarze mogli liczyć na stałe zamówienia. Większość przeszła na „własną działalność" – najpierw malowała, a potem dopiero szukała nabywcy. Mniej uzdolnionym lub popularnym opłacała się specjalizacja w pejzażu, portrecie, martwej naturze lub marynistyce. Nagle okazało się, że do estetycznego zachwytu wcale nie potrzeba dramatu, akcji, alegorii bądź mitologicznej nagości – wystarczy dobre rzemiosło artystyczne, a najlepiej talent lub geniusz.

Przekonanie odbiorcy, że fragment zwykłej rzeczywistości może być „malowniczy", zawdzięczamy Holendrom. To konwencjonalne określenie dokumentuje moment w historii przyglądania się światu, kiedy człowiek, który nie jest artystą, postrzega ↦

↦ rzeczywistość jako wartą namalowania. To widoma oznaka, że sztuka nauczyła nas widzieć estetycznie, a realizm stał się jedną z odmian piękna. Z lekkim opóźnieniem trafi do Anglii pod pióra Richardsona, Fieldinga, Defoe i Swifta, aby rozwinąć się w złotym wieku powieści.

Pamiętajmy, że to malarze holenderscy XVII w. przygotowali czytelnika Balzaca, Flauberta, Maupassanta czy Zoli do studiowania wnętrza zapuszczonej kuchni, twarzy wiejskiego lekarza, banalnego pejzażu czy rybnego straganu. Zwrot w stronę portretu i codziennej rzeczywistości nie tylko nie zablokował rozwoju malarstwa, ale dał mu spektakularny impuls do rozwoju. Mniej ważne stało się, co malarz maluje, zasadniczą wartością obrazu będzie sztuka jego tworzenia.

Vermeer należy do kolejnego pokolenia malarzy holenderskich ukształtowanych przez nowy rynek sztuki. To, co Rembrandt uczynił ze sztuką portretu, Vermeer zrobił z codziennością; ze scenami domowymi z życia zwykłych ludzi, którym w swoich obrazach nadał aurę znaną do tej pory głównie z wielkiego malarstwa religijnego.

Wielki Niemowa

Niewiele wiemy o religijności Vermeera. Ochrzczony i wychowany jako kalwinista, ożenił się z katoliczką. Katarzyna Bolnes pochodziła z szanowanej rodziny z Goudy i zachowała swoje wyznanie po ślubie. Część badaczy sugeruje nawet, że sam Johannes dokonał po ślubie konwersji na katolicyzm. Razem wychowywali po katolicku swoje piętnaścioro dzieci (w chwili śmierci malarza żyło jedenaścioro).

Pokazuje to, że mimo niedawno zakończonej wojny trzydziestoletniej oba wyznania żyły tu z sobą w miarę pokojowo, w porównaniu choćby do prześladowań katolików w elżbietańskiej Anglii. Niemniej skąpe informacje z życia rodziny Vermeerów pokazują, że sielanki ekumenicznej tam nie było. Archiwa przechowały zeznania na temat przemocowego szwagra – Willema Bolnesa, który terroryzował swoją matkę (teściową Vermeera), grożąc jej nożem i nazywając „papieską świnią" oraz „diablicą". Próbował też pobić kijem swoją siostrę, żonę malarza, która była wtedy w zaawansowanej ciąży. Ostatecznie wylądował w poprawczaku.

Może po to tam jedziemy. **W nadziei, że dokona się cud** i poczujemy, że wszystko, co robimy od przebudzenia po zaśnięcie, nie służy tylko przetrwaniu.

Dom Vermeerów był zatem miejscem tych samych podziałów religijnych, które podzieliły chrześcijański Zachód na skutek reformacji. Wbrew luterańskiej ortodoksji w wielu domach holenderskich protestantów pozostały dawne sentymenty katolickie, a nawet odprawiano msze w sekretnych pokojach ozdobionych zakazanymi wizerunkami Boga i świętych.

W którą stronę w głębi ducha skłaniał się Vermeer? Ku kalwinizmowi ojca czy katolicyzmowi żony – nie sposób było do niedawna rozstrzygnąć na podstawie skąpych danych biograficznych. W świeżo wydanej książce („Johannes Vermeer: Faith, Light and Reflection") Gregor J.M. Weber, dyrektor działu sztuk wizualnych w Rijksmuseum wykazuje, że wpływ żony i jej katolickiego środowiska na malarza był daleko większy, niż sądzono.

Szczególnie bliskie stosunki łączyły go z domem jezuitów, który mieścił się w sąsiedztwie domu Vermeerów. Mniej teologia, a bardziej fascynacja jezuitów światłem i zjawiskami optycznymi przyciągały uwagę młodego malarza. Teatralność i efekty wizualne barokowego katolicyzmu musiały fascynować wielu twórców tego okresu. Czy kontakty z jezuitami były podyktowane zagadnieniami zawodowymi, czy wskazują na kryptokatolicyzm Vermeera? Nie sposób stwierdzić na pewno.

Borykając się z podobnym problemem w odniesieniu do Szekspira, Stephen Greenblatt pisze, że w świetle swoich dramatów „Shakespeare chwilami robi wrażenie zarazem katolika, protestanta i kogoś głęboko sceptycznego wobec obu wyznań" (przeł. Barbara Kopeć-Umiastowska). Chciałoby się, aby Vermeer, ten „Wielki Niemowa odezwał się własnym głosem" (Zbigniew Herbert, „Martwa natura z wędzidłem"), ale muszą wystarczyć nam obrazy jako źródło wiedzy o jego wewnętrznym świecie.

Remis ze wskazaniem

Pobudzony katolickimi sympatiami Vermeera zaczynam widzieć w niektórych obrazach próbę obejścia luterańskiego ikonoklazmu i kontynuowanie, dyskretnie i sekretnie, wielkich tematów biblijnych. Trzy podejmują wprost tematykę religijną. Dwa są podejrzanie odmienne od reszty jego twórczości. To „Alegoria wiary" i „Święta Prakseda".

Pierwszy, z racji natrętnej symboliki i konwencjonalnej afektacji postaci kobiecej zdaje się reprezentować jezuicki barok i sugeruje dzieło wykonane na zamówienie z bardzo konkretnymi wytycznymi. Wyzwaniem interpretacyjnym pozostaje szklana kula zwisająca z belki sufitowej, w którą wpatruje się kobieta w ekstazie. Nie próbując dywagować o nieskończonych znaczeniach kuli, podkreślmy jedynie, że szklane elementy przedstawiane na obrazach pozwalały malarzom dowodzić swojego kunsztu w przedstawianiu zjawisk tak subtelnych, jak obraz światła załamującego się na rozmaitych kształtach szklanych przedmiotów czy rejestrowanie wyglądów rzeczy odbitych na ich powierzchni. Co do „Świętej Praksedy", autorstwo Vermeera budzi poważne wątpliwości, na czele z tym, że jest kopią obrazu Felice Ficherellego.

Tym bardziej godny uwagi jest obraz „Chrystus w domu Marii i Marty". Ilustruje znaną scenę z Ewangelii Łukasza, w której Jezus replikuje zapracowanej Marcie skarżącej się na lenistwo siostry: „Marto, Marto, troszczysz się i niepokoisz o wiele, a potrzeba mało albo tylko jednego. Maria obrała najlepszą cząstkę, której nie będzie pozbawiona" (Mt 10, 42).

Obraz doskonale dokumentuje katolicko-protestanckie rozdwojenie między troską o świat i troską o Boga, które usankcjonowała reformacja. Literalnie wszystko się zgadza. Jezus wskazuje Marcie zasłuchaną Marię siedzącą u jego stóp jako przykład właściwej postawy. Ale środki malarskie mówią co innego. Marta jest w środku obrazu, dominuje nad dwojgiem postaci i jest najlepiej oświetlona. No i podaje chleb, który stanowi właściwe centrum obrazu.

Ten chleb jest owocem pracy i symbolem Chrystusa jednocześnie. Bez pracy

Alegoria wiary, ok. 1670-72 r.

Święta Prakseda, ok. 1655 r.

WIKIMEDIA COMMONS X2

nie ma chleba ani do jedzenia, ani jako materialnego nośnika symbolu. Dominująca Marta jest zapowiedzią świata po Objawieniu, gdyż człowiek Vermeera nie żyje w świecie ewangelii, ale w takim, który Bóg opuścił do czasu Drugiego Przyjścia. Do tej chwili trzeba radzić sobie samemu, ponieważ nie ma z nami Boga, który mógłby dokonywać korekty wadliwego bytu. Odkąd Chrystusa na ziemi zastąpił chleb, ludzka praca i jej owoce zyskują wymiar religijny. Przeistoczenie wymaga pracy – oto protestancki suplement Eucharystii.

Skoro jednak uczciwa praca, a nie uczynki na pokaz i kupowanie relikwii prowadzą do zbawienia, czy to znaczy, że wszystko, co ją stanowi – cerowanie skarpetek, ubijanie masła, sprzątanie końskiego nawozu, robienie kapeluszy lub sałatki śledziowej – jest święte?

Religijna nobilitacja codziennej pracy, która dała protestanckim gospodarkom historyczny sukces, poważnie naruszyła więź wieczności z doczesnością. Etyka protestancka napędzała młody kapitalizm, ale oddalała ziemię od nieba. W tym sporze obraz Vermeera niczego nie rozstrzyga, ale utrzymuje remis ze wskazaniem na ziemię. Trywialność codziennej krzątaniny znalazła w Vermeerze swojego ewangelistę.

Maranka z perłą

Dla czytelnika literatury, zwłaszcza zawodowego czytelnika, milczenie obrazu jest nie do zniesienia. Mógłby – pisze we wspaniałym eseju o „Czytającej list" Tadeusz Sławek – „pominąć milczeniem to, co samo milczy" („Czytająca list przy otwartym oknie"), ale podobnie jak Tadeusz, nie potrafi się powstrzymać. Jest jak ten przysłowiowy dziad – nieustannie gada do siebie lub pisze o swoim wewnętrznym gadulstwie. Podam przykład, jak to działa.

Kiedy zaczyna taki patrzeć, dajmy na to, na „Dziewczynę z perłą" – obraz, który popularnością dorównuje „Monie Lisie", to zamiast poddać się zniewalającemu blaskowi ultramaryny zawoju na głowie dziewczyny lub jej ciemnemu spojrzeniu, zaczyna czytać nienapisane na obrazie słowa i zdania, a naprawdę powtarzać te, które przeczytał wcześniej. Nie chce wyłącznie zachwycać się cudownymi refleksami światła na tytułowej perle, ale pyta, dlaczego jest taka duża; że przecież nie ma takich pereł. Nerwowo szukając odpowiedzi na to przeskalowanie, przypomina sobie, co pisze ewangelista Mateusz, a mianowicie, że „podobne jest królestwo niebieskie do kupca, poszukującego pięknych pereł. Gdy znalazł jedną drogocenną perłę, poszedł, sprzedał wszystko, co miał, i kupił ją" (Mt 13, 45-46).

Utwierdza się więc w hipotezie, że Vermeer jest malarzem kryptoreligijnym, bo wielka perła w uchu dziewczyny przypomina mu szklaną kulę, która wisi pod sufitem na obrazie „Alegoria wiary". Ale i to mu nie wystarcza. Rozpędzona lektura dalej pędzi po bibliotece z obrazem pod pachą. Teraz chce, żeby dziewczyna na obrazie wyjawiła mu, kim jest i dlaczego to ona zdobyła perłę zbawienia. Nie wystarczają mu solidne i ostrożne zapewnienia ekspertów, że żadna z kobiecych postaci na obrazach Vermeera nie została z całą pewnością zidentyfikowana.

Nadal nienasycony, chce wiedzieć, co było wcześniej. W lekturze do tyłu pomaga mu amerykański badacz Vermeera, kontrowersyjny i spekulatywny Benjamin Binstock („Vermeer's Family Secrets: Genius, Discovery, and the Unknown Apprentice"), który sugeruje, że część obrazów namalowała jego najstarsza córka, też sportretowana na tym obrazie. Ale co dla literaturoznawcy ważniejsze, Binstock stawia hipotezę, że teściowa Vermeera, Maria Thins, gorliwa katoliczka, miała żydowskich przodków, którzy chcąc uniknąć prześladowań i wygnania z Półwyspu Iberyjskiego dokonali konwersji na chrześcijaństwo – dobrowolnie lub pod przymusem. Wielu z nich znalazło schronienie w nowej Republice ↦

Chrystus w domu Marii i Marty, ok. 1655 r.

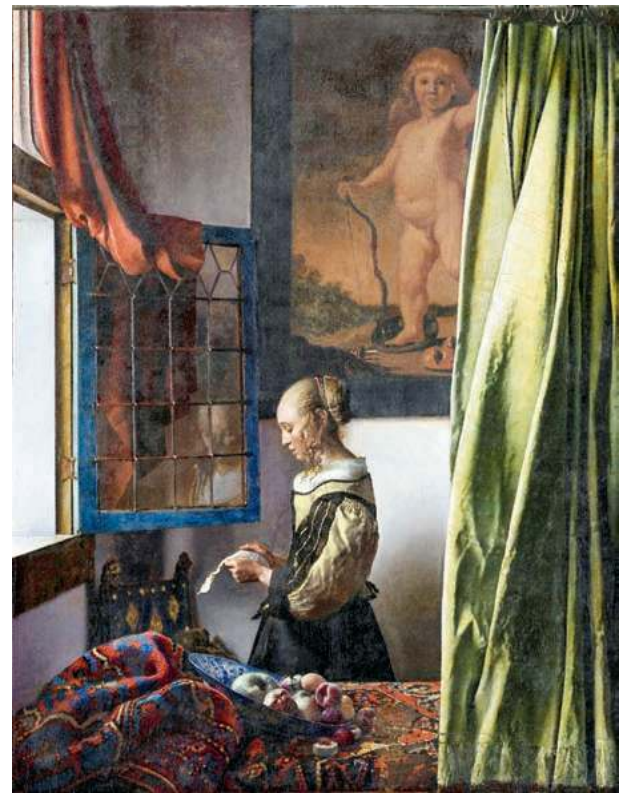

Dziewczyna czytająca list, 1657-59 r.

↦ Niderlandów. Teściowa Vermeera, a więc także jego żona i córka byłyby zatem marankami, spadkobierczyniami prześladowanych i palonych na stosach w Toledo *les marranes*, czyli „wieprzy" – „nazwanych tak z powodu testu na ukrytą żydowskość, jakim był przymus jedzenia wieprzowiny na znak, że się judaizmu wyrzekli" (Agata Bielik-Robson, „Marańska pasja Derridy").

Czytelnik obrazu przypomina sobie drugi fragment z Mateusza, w którym Jezus z niepokojącą bezwzględnością napomina swoich wyznawców: „Nie dawajcie psom tego, co święte, i nie rzucajcie swych pereł przed świnie" (Mt 7, 6). A więc to tak! Vermeer użył sztuki do wymierzenia sprawiedliwości historii, która skrzywdziła jego pierworodną córkę, jej matkę, babkę i wszystkich prześladowanych *convertos*. Uczynił ją wcieleniem gnostyckiego „Hymnu o Perle" apostoła Judy Tomasza, który opowiada o księciu wysłanym przez ojca na poszukiwanie zagubionej Perły. „Jeśli zejdziesz do Egiptu i przyniesiesz Perłę jedyną, która leży pośrodku morza, w pobliżu węża syczącego, wówczas włożysz znowu twoją wspaniałą szatę i twój płaszcz, który ją spowija, i razem z twoim bratem, naszym drugim, zostaniesz dziedzicem w naszym Królestwie" (przeł. Luiza Rzymowska).

„Ależ nie trzeba nigdzie chodzić" – mówi nam „Dziewczyna z perłą". Wcale nie trzeba wracać do Egiptu, do miejsca pierwszego wygnania – tego prototypu wszystkich exodusów – aby odzyskać i uwielbić żydowski rdzeń chrześcijaństwa. Nic nie straciliśmy, ciągłość istnieje, a drogocenne judaistyczne dziedzictwo jest tu, w naszych domach, w krwi naszych żon i dzieci. Ubiera więc Vermeer portretowaną córkę w białą szatę i ciężki, królewski płaszcz koloru starego złota, owija jej włosy pięknym zawojem typowym dla kobiet Wschodu, wpina w ucho tę „jedną drogocenną perłę" i wbrew inkwizytorom wszystkich czasów oznajmia: „Twoje jest Królestwo".

„Still lifes with human beings"

Nic złego w tych spekulacjach; w tej ikonoklastycznej pysze czytania, które wskazuje na naszą potrzebę mówienia, a nie tylko patrzenia. Pod warunkiem wszelako, że jak się już naczytamy niewidzialnych słów na obrazie, to znów zaczniemy w milczeniu patrzeć.

Wróćmy na taką próbę do „Chrystusa w domu Marii i Marty" – bardzo narracyjnego obrazu, o którym łatwo się mówi. Jeśli przeniesiemy z niego wzrok na słynną „Mleczarkę", można zauważyć, że ona i Marta mają podobny żółty kaftan i nakrycie głowy, a przygotowany chleb i nalewane mleko za chwilę zostaną podane Chrystusowi i Marii. Im dłużej jednak patrzymy na „Mleczarkę", tym mniej spieszy nam się do „Chrystusa...". Właściwie już wcale nie chcemy się nigdzie ruszać z tego pomieszczenia z odrapaną ścianą, wypełnionego światłem i spokojem, który płynie z rzeczy i prostych ludzkich spraw wyniesionych do rangi cudu. Odkąd Bóg skosztował naszego chleba i mleka, zwykłe jest święte. Marta-mleczarka wystarczy jako dowód, że świat został zbawiony.

Dopóki ta kobieta z Rijksmuseum
w namalowanej ciszy i skupieniu
mleko z dzbanka do miski
dzień po dniu przelewa,
nie zasługuje Świat
na koniec świata.
(Wisława Szymborska „Vermeer")

U Vermeera nie interesuje nas przedtem ani potem. Nie będzie dalszego ciągu, nie będzie żadnego zakończenia, ani dobrego, ani złego. Obraz zatrzymuje nas na wspólnej medytacji za pomocą punktu, linii, płaszczyzny i koloru nad objawianiem się stworzonego świata.

„Obrazy malarskie pokazują nam coś, ale jednocześnie ukazują samo ukazywanie. Uświadamiają, że coś może się

uobecnić pozostając zarazem nieprzejrzyste dla ogólnie dostępnej wiedzy" – pisze Piotr Schollenberger o kawałku żółtej ściany na obrazie „Widok Delft", oglądanym przez Bergotte'a w powieści Prousta. „Jego obrazy to w rzeczywistości martwe natury z istotami ludzkimi" – napisał o Vermeerze w rozbłysku analitycznego objawienia Ernst Gombrich. Spokój i poczucie trwałości płyną ze światła, którym emanują przedmioty. Rzeczy zatrzymują postacie, powściągają ich ruchy, przekształcają emocjonalny niepokój w dyskretną tajemnicę. Ale, ale... Mieliśmy nie opowiadać. Otóż powrót do milczenia przed obrazem Vermeera zaczyna się, gdy nie potrafimy pojąć, jak on to robi; jak dokonuje się to przeistoczenie.

Nie trzeba tego zagadywać, skoro sam wielki Gombrich pisze o swoistym cudzie przemiany, której skutki podziwiamy na tym obrazie: „Trudno dyskutować o przyczynach, które czynią tak prosty i niepozorny obraz jednym z największych arcydzieł wszech czasów. Ale większość tych, którzy mieli szczęście zobaczyć oryginał, zgodzi się ze mną, że jest to coś w rodzaju cudu. Jedną z jego cudownych cech da się być może opisać, choć trudno ją objaśnić. Jest to mianowicie sposób, w jaki Vermeer żmudną pracą osiąga absolutną precyzję w konstruowaniu tekstur, kolorów i form, a zarazem obraz nigdy nie wygląda na wypracowany lub surowy. Podobnie jak fotograf, który celowo osłabia silne kontrasty zdjęcia nie rozmywając kształtów, Vermeer złagodził kontury, zachowując jednak efekt solidności i jędrności. To właśnie ta osobliwa i wyjątkowa kombinacja łagodności i precyzji sprawia, że jego najlepsze obrazy są tak niezapomniane. Pozwalają spojrzeć świeżym okiem na spokojne piękno prostej sceny i dają wyobrażenie o tym, co czuł artysta obserwując wpadające przez okno światło, które potęgowało kolor kawałka materiału".

I może po to tam jedziemy. W nadziei, że dokona się cud i poczujemy, że wszystko, co robimy od przebudzenia po zaśnięcie, nie służy tylko przetrwaniu. Że znów sztuka na chwilę da nam to, czego wielu nie potrafi już znaleźć w religii – przeczucia nieśmiertelności. Jak pisał Genet: „piękno to wieczność, która mija".

Jeśli pół miliona wybranych, którzy odwiedzili wystawę, poczuło coś podobnego, to znaczy, że zabrakło dla mnie biletów z powodu powszechnego pragnienia nieśmiertelności; z racji właściwego istotom ludzkim pociągu do życia wiecznego.

© RYSZARD KOZIOŁEK

Mleczarka, ok. 1600 r.

WIKIMEDIA COMMONS X4

Widok Delft, ok. 1660-61 r.

PAUL BERGEN / GETTY IMAGES

Koncert w Groningen. Holandia, 18 lipca 2000 r.

Głos, który topił winyle

ANNA GACEK

David Bowie wpadł do wytwórni Capitol, mówiąc: „Macie u siebie moją ulubioną artystkę". Tina Turner miała wtedy trzydzieści siedem lat i kilkadziesiąt centów w gotówce.

Każdego roku, z sześciu dekad kariery, zasługiwała na miejsce w gronie najwybitniejszych. Nie znamy zresztą świata bez niej, bo przecież Tina była „zawsze". Słynna wokalistka zmarła w środę 24 maja w domu, w Küsnacht nad Jeziorem Zuryskim, po długiej chorobie. Miała osiemdziesiąt trzy lata.

Zapytana w swoim ostatnim, opublikowanym w kwietniu wywiadzie o to, jak chciałaby być zapamiętana, odpowiedziała dziennikarce „Guardiana": „Jako Królowa Rock'n'rolla. I kobieta, która pokazała innym kobietom, że nie ma nic złego w pragnieniu odniesienia sukcesu na własnych warunkach".

Oklaski Elvisa i przemoc Ike'a

Tina Turner długo czekała na życie na swoich warunkach. Anna Mae Bullock była niechcianym, porzuconym przez rodziców dzieckiem, wychowywanym przez surowych dziadków. Pracowała fizycznie od najmłodszych lat. Chciała zostać pielęgniarką, ale wszystko zmienił wieczór w jednym z klubów muzycznych. Spontanicznie sięgnęła po mikrofon i dołączyła do występującego na scenie Ike'a Turnera. Kościelny chór nie miał szans z magią estrady. Nastolatka porzuciła myśli o spokojnym, poukładanym życiu i poszła za marzeniami.

Ike wiedział, że znalazł diament, idealną partnerkę do duetu. Miała mocny, głęboki głos o charakterystycznej, niemożliwej do zapomnienia barwie. Była wulkanem energii, tańczyła każdym milimetrem ciała, zachwycając i elektryzując publiczność. Odkąd pojawili się razem na scenie, stali się sensacją. Ike i Tina Turner – ich mieszanka soulu, rocka i bluesa miała w sobie coś grzesznego, była niebezpieczna, podobnie jak kipiące od seksu ruchy sceniczne wokalistki, która stawała się wielką gwiazdą, jednocześnie żyjąc w piekle.

Niekochana, straumatyzowana przez najbliższych, była łatwym obiektem manipulacji. Anna Mae wychodząc z trudnego, zimnego domu wpadła prosto w ramiona tyrana. Ike zabrał jej wszystko: swoją agresją – wolność; małżeństwem – drogę wyjścia; a nowym imieniem i nazwiskiem – tożsamość. Tina Turner w nieszczęśliwym małżeństwie tkwiła kilkanaście lat. Były wspaniałe dla niej, wokalistki, pierwszej kobiety na okładce

„Rolling Stone'a", gwiazdy Las Vegas, oklaskiwanej przez Stonesów, Elvisa Presleya i Jamesa Browna, ikony stylu.

Gdy była na szczycie, miała już za sobą próbę samobójczą. Do decyzji o odejściu od męża dojrzewała szesnaście lat.

Trzydzieści sześć centów i singiel na próbę

Podczas rozprawy rozwodowej zostawiła wszystko w zamian za możliwość posługiwania się pseudonimem artystycznym – za „Tinę Turner". Symbol przynależności do Ike'a stał się walutą jej wolności. Została z długami za odwołane trasy duetu i trzydziestoma sześcioma centami w gotówce. W 1976 r. miała trzydzieści siedem lat i zaczynała od nowa. Jako solistka nie interesowała nikogo, była echem przeszłości. Mogła liczyć jedynie na występy we włoskiej telewizji i na korporacyjnych imprezach.

Gdy na początku lat 80. John Carter, odpowiedzialny za pozyskiwanie artystów dla wielkiej wytwórni Capitol, chciał podpisać z nią kontrakt, miał przeciw sobie wszystkich prezesów w firmie. Nikt nie wierzył w Tinę Turner, nawet gdy David Bowie wpadł z wizytą i krótkim komunikatem: „macie u siebie moją ulubioną artystkę".

W 1983 r. „na próbę" wydano na singlu nagraną przez Turner wersję „Let's Stay Together" Ala Greena. Piosenka odniosła zaskakujący sukces na listach przebojów. Dopiero wtedy szefowie Capitolu pozwolili, by Tina nagrała dla nich pełnowymiarową płytę. Carter doskonale wiedział, że to jedyna szansa artystki. Nad albumem „Private Dancer" pracował imponujący, ośmioosobowy sztab producentów. Turner nagrała utwory, którymi wzgardziły największe gwiazdy, od Marka Knopflera po Donnę Summer. Nie miało to znaczenia, zaśpiewane jej głosem brzmiały jak stworzone właśnie dla Tiny. Głosem, który „topi winyl", jak napisał w recenzji albumu „Los Angeles Times".

Era zwycięzców i nowe zasady gry

„Private Dancer" ukazał się w maju 1984 r., stając się jednym z największych i najbardziej zaskakujących przebojów dekady. W filmie dokumentalnym „Tina" wokalistka przyznała, że płytę numer pięć w swojej solowej dyskografii traktowała jak debiut: „To nie był mój powrót. Tina pojawiła się dopiero na tym albumie".

A jednak to był *comeback*, uchodzący do dziś za jeden z najbardziej spektakularnych w historii show biznesu. Turner, czarnoskóra wokalistka we wciąż podzielonej rasowo Ameryce, wydając płytę miała czterdzieści pięć lat. Kobietom w show biznesie wiek liczy się podwójnie, w latach 80. po przekroczeniu czterdziestki metryka nie miała już znaczenia, aktorka czy wokalistka automatycznie stawała się „*unfuckable*", niemożliwa do sprzedania milionom odbiorców kultury masowej pożądającym fantazji i seksu.

Tina zmieniła zasady gry. Już nie w cekinach ery Ike'a Turnera, ale w ultrakrótkich obcisłych skórzanych sukienkach, kabaretkach, na wysokich obcasach, z burzą natapirowanych włosów i ustami wymalowanymi czerwoną, jaskrawą szminką, stała się symbolem ery amerykańskiego ekonomicznego boomu lat 80. zeszłego stulecia. To nie były czasy dla nieśmiałych. To była era zwycięzców, na giełdzie i na listach przebojów.

Płyta „Private Dancer" osiągnęła nakład ponad dwudziestu milionów sprzedanych egzemplarzy. Jest w zbiorach amerykańskiego Kongresu – dzieł najważniejszych w amerykańskiej historii. Turner zrównała się popularnością z największymi tamtych czasów, Madonną, Michaelem Jacksonem, Bruce'em Springsteenem i Davidem Bowiem, bo branża fonograficzna zna jedno kryterium sukcesu: liczby. Z albumu wydano siedem singli, w tym „What's Love Got To Do With It", jedyny amerykański „numer jeden" wokalistki, w 1984 r. najstarszej kobiety na szczycie listy przebojów „Billboardu".

Rok później wykonała piosenkę na ceremonii wręczenia nagród Grammy, wychodząc na wielką scenę sama, w przykuwającej wzrok lśniącej czerwonej sukience, bez wielkich efektów, scenografii czy świateł. Nie były potrzebne, wystarczył głos. Na finał utworu Tina weszła po schodach na szczyt sceny. Oklaskiwana przez gigantów swojej branży, na ich oczach dotarła na swoje miejsce, jednocześnie przypominając milionom ↦

TYGODNIK POWSZECHNY

„Oddech dla duszy" ks. Adama Bonieckiego

Zamów egzemplarz wydania drukowanego przed premierą!

Wpisz kod rabatowy: ODDECH w koszyku zakupów na stronie vivelo.pl, egzemplarz dostaniesz, zanim książka trafi do księgarń.

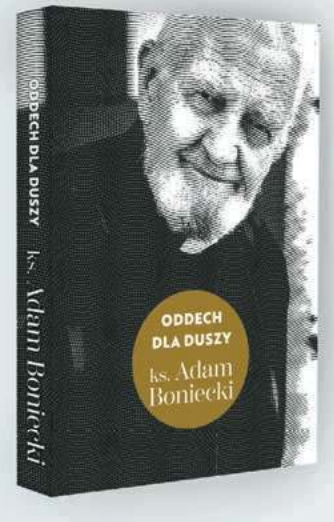

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

widzów przed telewizorami, że przeboje to jedno, ale ona ma coś jeszcze. Gigantyczną, dostępną tylko wybranym charyzmę.

Agenci Jej Królewskiej Mości

W latach 60. Ike i Tina otwierali koncerty Rolling Stonesów. Mick Jagger poprosił ją wtedy o lekcje scenicznego ruchu. Czterdzieści lat później nastoletnia Beyoncé Knowles opowiadała w pierwszych wywiadach, że jej największą inspiracją jest Tina Turner. W 1988 r. w Rio de Janeiro wystąpiła przed 180-tysięczną publicznością, bijąc rekord liczebności tłumu zgromadzonego na koncercie solowej artystki. Scena była jej żywiołem, taniec środkiem wyrazu równie ważnym jak głos.

Zapytana przez Oprah Winfrey, dlaczego uważa, że nie jest tak wielką wokalistką jak Barbra Streisand, odparła, że nigdy nie zależało jej na byciu na scenie elegancką, dystyngowaną, podziwianą, jak bywają diwy. Jej żywiołem był rock'n'roll, zatracenie się w muzyce, w ruchu.

Magnetyzowała milionowe tłumy do 2009 r., gdy zagrała swój ostatni koncert. Ike okrutnymi metodami nauczył ją, że artysta na scenie daje z siebie wszystko, i tej lekcji nigdy nie zapomniała. „Babcia rocka", jak niewiarygodnie nazywano ją już po pięćdziesiątce, do ostatniego koncertu występowała w ultrakrótkich kreacjach, prezentując nie tylko nogi, ale i równie imponującą kondycję. Oraz charakter – niezgodę na szufladkowanie kobiety według „daty przydatności". Gdy w 1997 r. wystąpiła w słynnym programie telewizyjnym „Saturday Night Live", Ameryka mogła podziwiać jej prześwitujące w czarnej sukience piersi (miała wtedy pięćdziesiąt osiem lat).

W tym samym roku przyznała w wywiadzie, że jej amerykański sen skończył się wraz z sukcesem „Private Dancer". Każda kolejna płyta, chociaż wciąż sprzedawana w milionowych nakładach, oddalała ją od amerykańskiej publiczności, która znalazła sobie nowych idoli. Za to Europa pokochała dystyngowany, elegancki pop, jaki zaczęła wykonywać. Ukoronowaniem jej statusu była propozycja nagrania w 1995 r. piosenki „Golden Eye", motywu przewodniego siedemnastego filmu o przygodach Jamesa Bonda i ostatniego wielkiego przeboju wokalistki.

Tina nie martwiła się spadkiem popularności, wciąż wyprzedając wielkie trasy koncertowe, a przede wszystkim ciesząc się miłością. W 1986 r. poznała swojego przyszłego męża, Erwina Bacha. Pracownik europejskiego oddziału jej wytwórni nie dopuszczał myśli o romansach ze swoimi artystkami. Jednak podczas pierwszej wspólnej kolacji Tina, jak wspominała w swojej autobiografii, odwróciła się do niego i powiedziała: „Chcę się dziś wieczorem z tobą kochać". Szesnaście lat młodszy Erwin nie odmówił.

Własnym głosem

Tina po raz pierwszy opisała swoją historię jeszcze w latach 80. W czasach, gdy gwiazdy z pierwszych stron gazet nie mówiły głośno o przemocy z obawy przed kolejną „niemarketingową" łatką ofiary, Tina swoją szczerością dodawała otuchy kobietom tkwiącym w toksycznych związkach. Po koncertach równie często dziękowały jej za muzykę, co za odwagę, by odejść, zawalczyć o siebie.

Turner we wszystkich swoich autobiografiach nie szczędziła szczegółów tortur – od oblewania wrzątkiem po gwałt, enigmatycznie przyznając w jednym z wywiadów, że pełnej skali przemocy Ike'a nie ujawni nigdy, bo „się tego wstydzi". Nie chciała, by trauma zdefiniowała jej życie i wizerunek. Pytana o stosunek do ruchu #MeToo odpowiedziała, że jest głosem tylko swojej historii. Nie interesowała ją także etykieta ikony seksu. „Gdy wszyscy mnie szufladkowali, byłam zajęta robotą", powiedziała w rozmowie z „New York Timesem" w 2019 r.

W tym samym wywiadzie przyznała, że decyzja o zakończeniu działalności artystycznej wielką pożegnalną trasą w 2009 r. była przemyślana i wyczekana. „Byłam już zmęczona śpiewaniem, sprawianiem, by wszyscy wokół mnie byli szczęśliwi. Nic innego nie robiłam w życiu".

Swoim odejściem Tina Turner prawdopodobnie po raz pierwszy naprawdę zasmuciła fanów.

© ANNA GACEK

Jaka śmieszna afera

JAKUB MAJMUREK

Afera Watergate od początku inspirowała kino i telewizję. W Polsce pojawiły się właśnie dwa seriale przyglądające się na nowo wydarzeniom, które wstrząsnęły Ameryką pół wieku temu.

Był czerwiec 1972 roku. Waszyngtońska policja złapała na gorącym uczynku pięciu mężczyzn, którzy włamali się do siedziby Krajowego Komitetu Partii Demokratycznej (DNC) w kompleksie Watergate. Choć wśród nich znajdował się szef ochrony komitetu na rzecz reelekcji prezydenta Nixona (CRP), nikt wtedy nie spodziewał się, że włamanie jest początkiem skandalu, który za dwa lata postawi prezydenta kraju przed dylematem: dobrowolna dymisja lub usunięcie z urzędu przez Kongres w ramach procedury impeachmentu. Nie z powodu samego włamania – Richard Nixon najprawdopodobniej nie wiedział wcześniej, że jego ludzie zdecydowali się na taką operację – ale za udział w tuszowaniu skandalu.

Na taśmach z prezydenckiego gabinetu – gdzie zainstalowany był automatyczny, aktywowany głosem system nagrywania – utrwalone zostały rozmowy. Prezydent poleca w nich, by współpracownicy zadbali o potrzeby finansowe osób związanych z włamaniem, kupili ich milczenie i chronili osoby bliskie głowie państwa. Nixon nie chciał ujawnić nagrań, ale wyrok Sądu Najwyższego nakazał mu przekazanie ich specjalnemu prokuratorowi.

Afera Watergate nie tylko wstrząsnęła amerykańską polityką, stała się też jednym z kluczowych wydarzeń definiujących klimat lat 70. – dekady, gdy za sprawą przegranej wojny w Wietnamie

MATERIAŁY PRASOWE HBO

Woody Harrelson jako E. Howard Hunt w serialu „Hydraulicy z Białego Domu”

i dwóch kryzysów naftowych kończących okres powojennej *prosperity* Ameryka zaczęła wątpić w samą siebie, pogrążyła się w poczuciu klęski, rozczarowania i głębokiej nieufności do własnych instytucji.

Skandal z Watergate od samego początku inspirował kino i telewizję. W Polsce pojawiły się właśnie dwa seriale przyglądające się na nowo wydarzeniom sprzed pół wieku: pokazywany w Stanach w zeszłym roku „Gaslit” (Canal+) oraz „Hydraulicy z Białego Domu” (HBO Max). Oba łączy to, że aferę przedstawiają głównie jako mimowolną farsę, sprokurowaną przez ludzi, którzy bardziej niż złowieszczy są komicznie nieudolni.

Labirynty spisków

Przez lata filmowcy nie dostrzegali w aferze niczego komicznego. Pierwszy poświęcony jej film – „Wszyscy ludzie prezydenta” (1976) Alana J. Pakuli, pokazujący dziennikarskie śledztwo Carla Bernsteina i Boba Woodwarda z „Washington Post”, które doprowadziło do ujawnienia skandalu – traktuje temat śmiertelnie poważnie. Waszyngton przedstawiony jest tam jak ponury, przytłaczający labirynt, w którym władza ukrywa swoje mroczne tajemnice. Nie wiadomo, komu można ufać, spisek sięga najwyższych pięter władzy. Źródła, do których docierają Bernstein i Woodward, boją się wypowiadać pod nazwiskiem, w pewnym momencie nawet sami dziennikarze zaczynają zastanawiać się, czy ich bezpieczeństwo, a nawet życie nie są zagrożone. Nie mamy ani przez chwilę wątpliwości, że gra toczy się o najwyższe stawki, a na szali leży przyszłość amerykańskiej demokracji.

„Wszyscy ludzie prezydenta” byli pierwszym oscarowym, hollywoodzkim filmem, gdzie amerykański rząd przedstawiony był w zasadzie jak organizacja przestępcza. Podobny obraz wraca niejednokrotnie w amerykańskim kinie lat 70. Jednym z najbardziej charakterystycznych dla dekady gatunków jest thriller paranoiczno-spiskowy. Bohater dostaje się w sam środek spisku, w który uwikłane są działające ponad prawem służby albo mroczne, ukryte za kulisami grupy interesu. Nic nie jest tym, czym się wydaje, paranoja wydaje się po prostu zdrowym rozsądkiem.

W „Trzech dniach kondora” Sydneya Pollacka (1975) analityk CIA Joe Turner znajduje swoich kolegów z pracy zamordowanych w biurze. Jak się okazuje, padli oni ofiarą wysłanego przez samą Agencję zawodowego zabójcy – Turner odkrył bowiem przypadkiem tajny plan Agencji, dotyczący siłowego przejęcia pól naftowych na Bliskim Wschodzie w wypadku kryzysu, i postanowiono go uciszyć. W „Syndykacie zbrodni” (1974) Alana J. Pakuli dziennikarz trafia na trop tytułowej organizacji, zaangażowanej w zabójstwo przynajmniej dwóch polityków o prezydenckich ambicjach. W „Zasadzie domina” (1977) Stanleya Kramera jeszcze bardziej tajemnicza i wszechwładna organizacja wyciąga z więzienia mężczyznę skazanego za zabójstwo byłego męża swojej żony, szkoli go na zawodowego mordercę i wysyła przeciw wpływowemu amerykańskiemu politykowi.

Klimat tamtej dekady najlepiej oddaje ostatnia scena „Rozmowy” (1974) Francisa Forda Coppoli, w której grany przez Gene’a Hackmana ekspert od inwigilacji z zimną determinacją wypruwa własne mieszkanie, bezskutecznie szukając założonego w nim przez Agencję podsłuchu.

Prezydencki gang Olsena

Afera Watergate wpłynęła też na filmowy wizerunek Nixona. Żadnego innego amerykańskiego prezydenta Hollywood i telewizja nie przedstawiają w tak negatywnym świetle. W „Czwartej władzy” (2017) Stevena Spielberga Nixon – nie widzimy go ani razu na ekranie, słyszymy tylko jego głos – jest głównym antagonistą dziennikarzy „Washington Post”, autorytarnym, działającym w cieniu politykiem, knującym, by zatrzymać publikację Pentagon Papers – kluczowych dla opinii publicznej dokumentów, dowodzących, że amerykański rząd od dawna wiedział, że wojna w Wietnamie jest nie do wygrania.

W najlepszym wypadku kino zdolne było uznać tragiczną wielkość Nixona, ↦

HILARY BRONWYN GAYLE / MATERIAŁY PRASOWE CANAL+

Julia Roberts jako Martha Mitchell w serialu „Gaslit”

↦ dostrzec w nim złożoną, targaną sprzecznościami i wątpliwościami postać. Tak amerykańskiego prezydenta przedstawia Oliver Stone w niedocenianym „Nixonie” (1995). Bohater jest tam w równej mierze wielkim politycznym talentem, co politycznym gangsterem, postacią demoniczną i nieszczęśliwym człowiekiem, który przez całe życie walczy z kompleksem dorastania na granicy biedy i edukacji w drugorzędnym college'u. Stone, podobnie jak większość filmowców podejmujących temat, przedstawia upadek Nixona jako tragedię, nawet jeśli niektóre jej elementy są komiczne.

Serial „Hydraulicy z Białego Domu” przyjmuje odwrotną perspektywę – obserwujemy groteskę, która zyskuje w końcu tragiczny wymiar.

Aferę Watergate widzimy tu z punktu widzenia E. Howarda Hunta i G. Gordona Liddy'ego. To oni zaplanowali włamanie do kompleksu Watergate i nadzorowali akcję z pokoju hotelowego po drugiej stronie ulicy. Tej dwójce i zebranej przez nich ekipie bliżej jest do gangu Olsena niż do tajemniczych syndykatów zbrodni z thrillerów spiskowych lat 70.

Zarówno Liddy, jak i Hunt pracowali wcześniej dla amerykańskich służb – pierwszy dla FBI, drugi dla CIA – ale nie zrobili tam specjalnej kariery. Liddy miał opinię narwańca i fanatyka. Znany był z fascynacji III Rzeszą, wrogości do komunizmu i amerykańskiej lewicy. By wywrzeć wrażenie i pokazać swoją odporność na ból, Liddy miał zwyczaj umieszczać swoją dłoń tuż nad płomieniem świecy – do momentu aż można było poczuć woń spalonego ludzkiego mięsa. W kreacji Justina Theroux jest on w serialu postacią zupełnie karykaturalną, nie tylko nieudolną w swojej pracy jako ekspert od inwigilacji, ale też całkowicie oderwaną od rzeczywistości.

Hunt, grany przez Woody'ego Harrelsona, też jest postacią mimowolnie komiczną, ale jego komizm podszyty jest w „Hydraulikach” głęboką melancholią. Serialowy Hunt ciągle rozpamiętuje klęskę inwazji w Zatoce Świń – gdzie uzbrojeni przez CIA kubańscy emigranci wylądowali z nadzieją obalenia rządów Castro na Kubie – pisze pulpowe powieści szpiegowskie, których nikt specjalnie nie ceni i nie czyta, próbuje zapewnić żonie i czwórce dzieci życie na poziomie zbliżonym do wyższej klasy średniej, wykonując wysysającą z niego życiową energię pracę w agencji reklamowej. Idzie mu to kiepsko – choć należy do mniej prestiżowego, tańszego country clubu niż jego dawni koledzy z Agencji, to ciągle ma problemy z regularnym wnoszeniem opłaty członkowskiej.

Jest oczywiste, że powierzenie jakiegokolwiek zadania tej dwójce musi skończyć się kompromitacją. Zwłaszcza gdy chodzi o agresywne, odbywające się na granicy prawa – albo otwarcie bezprawne – działania wymierzone w politycznych przeciwników prezydenta, wymagające przebiegłości, sprawności i dyskrecji. Brudna gra przeciw opozycji Nixona jest w „Hydraulikach” przede wszystkim żałosną komedią pomyłek – zgodnie z historyczną prawdą serial przypomina, że tamto włamanie do siedziby Demokratów nie było odosobnione. Przy pierwszej próbie włamywacze nie wzięli ze sobą narzędzi pozwalających otworzyć zamek. Przy kolejnej jedyny działający podsłuch udało się zamontować przy telefonie sekretarki – zamiast sekretów kampanii wyborczej przeciwników urządzenie rejestrowało prywatne rozmowy młodej kobiety.

W pierwszych trzech odcinkach narrację „Hydraulików” wyznaczają kolejne żarty. W czwartym serial zmienia ton. Bohaterowie zaczynają orientować się, w co się wpakowali. Komiczna wpadka w Watergate uruchamia polityczną lawinę, która może radykalnie zmienić polityczny krajobraz Stanów. Rodzinę Hunta dotyka przy tym osobista tragedia, która do dziś jest pożywką dla teorii spiskowych budujących czarny mit Nixona.

Czas groźnych klaunów

Także w „Gaslit” oglądamy rozwój afery z punktu widzenia drugo- i trzecioplanowych postaci, przede wszystkim dwóch małżeństw: Johna i Marthy Mitchellów oraz Johna i Mo Deanów.

John N. Mitchell był szefem CRP, wcześniej pełnił w administracji Nixona funkcję prokuratora generalnego. Jego żona Martha stała się na przełomie lat 60. i 70. gwiazdą telewizji śniadaniowych i *talk shows* dla kobiet. Wieczorami, po kilku drinkach miała zwyczaj dzwonić do zaprzyjaźnionych dziennikarzy i sprzedawać im plotki na temat otoczenia prezydenta. „Gaslit” próbuje przedstawić Marthę – w kreacji Julii Roberts – jako pierwszą sygnalistkę afery Watergate, która nigdy nie została potraktowana tak poważnie, jak na to zasługiwała, bo była kobietą kojarzoną z lekkimi programami telewizyjnymi.

Dean z kolei był prawnikiem zatrudnionym w Białym Domu, któremu powierzone zostało zadanie „posprzątania” po aferze. Ostatecznie – także pod wpływem żony o lewicowo-liberalnych poglądach – zdecydował się zeznawać przed badającą aferę komisją Kongresu, w zamian za złagodzenie zarzutów stał się jednym z głównych świadków obciążających współpracowników Nixona.

W „Gaslit” Watergate nie jest wielką szekspirowską tragedią, czy demonicznym spiskiem, ale dramatem małych ambicji małych ludzi o ograniczonych horyzontach i kompetencjach. Widzimy w serialu, jak osoby z Białego Domu i okolic angażują się w nielegalne działania, gdyż nie chcą się narazić komuś, kto stoi od nich oczko wyżej w hierarchii władzy, albo liczą na awans, łudząc się, że kiedyś

trafią w bezpośrednią orbitę prezydenta. Czasem kieruje nimi po prostu zwykła, najczystsza głupota. Wszystko to ma głęboko komiczny wymiar, choć ta komedia przynosi tragiczne skutki nie tylko dla Nixona, ale także osobistego życia ludzi zaangażowanych w sprawę – małżeństwo Mitchellów nie przetrwa skandalu, na co wpływ ma to, że John przemocowymi metodami próbuje uciszyć żonę, próbującą poinformować media o kulisach Watergate.

W jednym ze swoich cotygodniowych programów John Oliver komentując kolejną z afer administracji Trumpa nazwał ją „głupim Watergate". „Gaslit", a jeszcze bardziej „Hydraulicy z Białego Domu" sugerują, że także oryginalne Watergate było potwornie głupie. I to nie tylko w szczegółach położonych przez Hunta i Liddy'ego, ale też w samych swoich założeniach.

W „Hydraulikach", gdy telewizja podaje wyniki wyborów z 1972 r., które Nixon wygrał przytłaczająco, Dorothy Hunt, żona H. Howarda, coraz bardziej wściekła na to, że mąż uwikłał się w aferę, mówi „i po co to wszystko było!?". Ma rację. Jak pisze Michael Kazin w książce „What it Took to Win", historii Partii Demokratycznej, wojna w Wietnamie, emancypacja czarnoskórej ludności i kontrkultura podzieliły Demokratów, rozbiły koalicję uboższej ludności amerykańskiego południa, klasy pracującej z przemysłowych stanów północy i progresywnej inteligencji, która zapewniała partii kolejne zwycięstwa – od czasów Franklina D. Roosevelta do wygranej Lyndona B. Johnsona w 1964 r. Nawet gdyby Demokraci wystawili sprawniejszego kandydata niż George McGovern, Nixon byłby w 1972 r. faworytem, nie potrzebował ryzykownych nieczystych zagrań, by wygrać.

Żadnego innego amerykańskiego prezydenta film i telewizja nie przedstawiają w tak negatywnym świetle. W najlepszym wypadku uznawano tragiczną wielkość **Nixona jako postaci targanej sprzecznościami i wątpliwościami.**

Po pół wieku możemy spojrzeć na Watergate jako na komedię nie tylko z powodu czasowego dystansu. Na tle sprowokowanego przez Trumpa ataku na Kapitol i odmowy uznania wyborczej klęski, ekscesy ludzi Nixona wyglądają wręcz niewinnie. Trump pokazał również, że w odpowiednich okolicznościach także nieudolny, niekompetentny, oderwany od rzeczywistości błazen może okazać się realnym zagrożeniem dla stabilności demokratycznego systemu.

© JAKUB MAJMUREK

REKLAMA

Włóczędzy i ostańce

ANITA PIOTROWSKA

Czy komuś marzy się warzenie serów w górskiej chacie, czy dalekie Himalaje, czy po prostu ma dość miejskiego zgiełku, seans „Ośmiu gór" może być dlań przeżyciem intymnym.

Rozmawiając i czytając o „Ośmiu górach" trudno opędzić się od językowych coelhizmów. Adaptacja powieści Paola Cognettiego (o książce i jej autorze pisze szerzej w tym numerze Bartek Dobroch) aż się prosi o promocyjne gotowce typu „odnaleźć siebie i swoje miejsce na ziemi". Twórcy filmu, Felix Van Groeningen i Charlotte Vandermeersch, nie ukrywają też jego książkowego rodowodu. Główny bohater jest pisarzem, prowadzi zza kadru pierwszoosobową gawędę, ma skłonność do wielosłowia i dopowiedzeń, szczególnie w finale. A jednak ta historia o męskiej przyjaźni z górami w tle (i głęboko pod skórą) potrafi, jak mało które „górskie" kino, uruchamiać tęsknoty za wyobrażonym bądź utraconym rajem.

Dla jednych da o sobie znać zew gór, innym przypomni się spędzone na wsi dzieciństwo czy dawna z kimś bliskość. Jeszcze inni podążą za buddyjską wykładnią tytułu. W każdym przypadku, pomimo dominujących na ekranie melancholijnych dolin, będzie to podróż wiodąca gdzieś w górę, ku istotnym pytaniom.

Zaczyna się jak pocztówka z nostalgii. Pietro, czyli filmowy narrator, wspomina alpejskie wakacje 1984 roku, kiedy w wieku jedenastu lat zaprzyjaźnił się z miejscowym „dzikim chłopakiem" o imieniu Bruno. Za chwilę oglądamy ostatnie takie lato, beztroskie i niewinne. Wychowany w Turynie dzieciak zdążył zasmakować wiejskich uroków, choć wysokogórska inicjacja była dla niego doświadczeniem traumatycznym. Za to miejscowy koleżka śmiga po stromych zboczach niczym kozica, lecz jego dzieciństwo, naznaczone wiejskim znojem, musi szybko się zakończyć.

Gdy drogi bohaterów zejdą się znów po latach, obaj będą już zupełnie gdzie indziej, aczkolwiek nadal odczuwają dawną więź. Skonfliktowany z ojcem Pietro, zanim napisze książkę, chwyta się różnych zajęć i wyraźnie nosi go po świecie. Bruno, również w cieniu ojca, pracuje jako murarz, ale od zawsze ciągnie go bliżej lodowców i ośnieżonych szczytów, gdzie chciałby zapuścić swoje korzenie. Połączy ich, na dobre i na złe, ojcowska śmierć i wypełniany razem „testament" – własnoręczna, okupiona znacznym wysiłkiem budowa domu na górskim odludziu. Dla uciekającego przed światem tubylca stanie się on czymś więcej niż miejscem zamieszkania. Uchodźca z rzeczywistości zamieni się w dobrowolnego zakładnika.

Obsadzeni w dorosłych rolach Luca Marinelli (Pietro) i Alessandro Borghi (Bruno), obaj brodaci, jakby przedwcześnie zmęczeni, uosabiają szorstkie braterstwo, a ich postacie stanowią dla siebie odwrócone odbicia. Nie tylko ze względu na dzielące ich różnice rodzinne, językowe, społeczne (zwłaszcza w dostępie do edukacji i życiowych możliwości), lecz i w wyborach własnej drogi. Z tego powodu ktoś nawet porównał „Osiem gór" do neapolitańskiego czteroksięgu Eleny Ferrante, oczywiście w chłopackim wydaniu, i pewnie znalazłoby się między tymi historiami sporo ciekawych analogii.

Oczywiście nasuwa się pytanie, przed czym tak naprawdę każdy z bohaterów ucieka, łącząca ich zażyłość okazuje się zaś z czasem dużo silniejsza od tej rodzinnej. Wszelako film nie podpowiada na siłę erotycznej interpretacji i skupia się raczej na ucieczce skierowanej „do" aniżeli „od". A tutaj każdy sobie może wpisać to, co mu akurat w duszy tęsknie gra: wolność, dzikość, autentyczność, spełnienie... Paulo Coelho chętnie doprecyzowałby tę listę, Van Groeningen i Vandermeersch wolą zostawić ją otwartą. Film przypomina pod tym względem test Rorschacha – w tej samej plamie można dopatrywać się rozmaitych znaczeń, w zależności od wewnętrznej potrzeby.

Trzeba też podkreślić, że twórcy nie starają się przesadnie romantyzować gór. Odzwierciedla to chociażby styl, w jakim operator Ruben Impens filmuje włoskie Alpy. Ich majestat jest zimny i niedostępny, słyszalny także w złowrogich pomrukach na ścieżce dźwiękowej, góry mają jednak wymiar praktyczny, niekoniecznie metafizyczny. Szczególnie zima mówi tu człowiekowi brutalne „sprawdzam".

RADIO KRAKÓW

Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego". Słuchaj nas
w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

MATERIAŁY PRASOWE M2FILMS

OSIEM GÓR
(Le otto montagne) – reż. Felix Van Groeningen, Charlotte Vandermeersch. Prod. Włochy/Belgia/ /Francja 2022. Dystryb. M2 Films. W kinach od 2 czerwca.

Felix Van Groeningen, belgijski reżyser i scenarzysta, zasłynął komediodramatem „Boso, ale na rowerze" (2009). Kolejne tytuły, jak nominowane do Oscara „W kręgu miłości" (2012), „Belgica" (2016), „Mój piękny syn" (2018), przyniosły mu wiele nagród. Najnowszy, uhonorowany Nagrodą Jury w Cannes, zrealizował wspólnie z aktorką Charlotte Vandermeersch, znaną m.in. z jego filmów.

Z jednej więc strony brzmią niczym motto ironiczne słowa Brunona, który będąc autochtonem dystansuje się wobec pojęcia Natury. Owo wielkie pojęcie należy bowiem do słownika miastowych górołazów, pozbawionych codziennego, bardziej organicznego z nią kontaktu i skłonnych do jej idealizowania. Zresztą wioska ukazana w pierwszej części filmu drastycznie się wyludnia, w najlepszym razie stanie się kurortem, toteż nic dziwnego, że wraz z potencjalną gentryfikacją i realną komercjalizacją wszystkiego może narastać w Brunonie również coś w rodzaju „wysokościowej gorączki". Czyli ekstremalna potrzeba wyrwania się z tego przyziemia, rozumianego w znaczeniu dosłownym i przenośnym. Z drugiej strony bliska jest reżyserom postawa Pietra, który nie ulega, ale próbuje zrozumieć siłę fatalną, pchającą przyjaciela ku zatraceniu. Ostatecznie pozostawiają nas z tym, co do końca niepojęte, i bez rozstrzygania czyjejkolwiek racji. Dwie postawy – zew włóczęgi i bycie ostańcem – przeglądają się w sobie nawzajem.

Dlatego niezależnie, czy komuś marzy się pasterstwo i warzenie serów w górskiej chacie, czy dalekie Himalaje, czy po prostu ma czasami dość miejskiego zgiełku, seans „Ośmiu gór" może być dlań przeżyciem intymnym i ważnym. Zwłaszcza dzisiaj, po pandemicznych doświadczeniach zamknięcia, izolacji albo, dla odmiany, międzyludzkiej ciasnoty. Zwłaszcza w czasach, gdy cywilizacja oparta na rozbuchanej eksploatacji i konsumpcji wielu z nas mierzi.

I choć opowieść rozpięta między Doliną Aosty, Turynem a Nepalem unika naiwnych pochwał surowego życia ani nie demonizuje straceńczych ciągot, kryje w sobie wiele tajemnic. Tylko niektóre, np. sekretne życie ojca Pietra, zakochanego w górach inżyniera, uchylają przed nami swego rąbka.

W efekcie zaproszeni jesteśmy do trzygodzinnej bez mała kontemplacji, która nabrzmiewa podskórnym napięciem niczym nadciągająca lawina. Ten, kto połknął górskiego bakcyla, czasem nie potrafi jej już zatrzymać. Jakkolwiek ci pozornie bardziej nizinni też przecież mają swoje góry. ©

Lektor:
Energia miłości

▪ *Renata Lis*
MOJA UKOCHANA I JA
Wydawnictwo Literackie, Kraków 2023, ss. 318

Nie ma czegoś takiego jak „pisarstwo konfesyjne". Jest po prostu pisarstwo – mówi Renata Lis w rozmowie dla „Dwutygodnika". Choć równocześnie przyznaje, że poszła teraz dalej niż dotychczas w autobiografizowaniu eseju i przybliżaniu się do własnego życia. „Pięćdziesiątka okazała się dla mnie progiem ważniejszym, niż się spodziewałam. Zobaczyłam za sobą ten szmat przeżytego już czasu, różne swoje zamierzenia i marzenia, zweryfikowane przez czas, i pomyślałam, że chciałabym, żeby pewna część tego została zapisana".

Pisarka i tłumaczka (m.in. Anne Carson), autorka świetnych książek o Flaubercie i Buninie oraz równie świetnego tomu esejów „Lesbos", opowiada więc o dorastaniu na peerelowskiej Pradze – w tej „gorszej", prawobrzeżnej Warszawie. O odkrywaniu podziałów społecznych, także wewnątrz rodziny. O edukacji i legendarnym środowisku skupionym wokół Marii Janion (potraktowanym zresztą nie bez dystansu) i o innym mistrzu – Ryszardzie Przybylskim.

„Moja ukochana i ja" to jednak przede wszystkim rzecz o miłości. To jest temat podstawowy: wieloletni i głęboki związek między Reną i Elżbietą, szczęście wspólnego życia we wszystkich jego wymiarach, stopniowe wychodzenie z cienia wobec innych. I oczywiście problemy, jakie taki związek u nas napotyka. Polska bowiem – nigdy dość powtarzać – znajduje się na szarym końcu w Europie, jeśli idzie o podstawowe prawa kochających się ludzi tej samej płci. Co dziwne, bije ją na głowę nawet jeszcze bardziej od Polski katolicka Malta. Sprawy nie rozwiążą ani umowy notarialne, ani testamenty, co Renata Lis przekonująco pokazuje – i zdaje relację z bezskutecznego czekania na zmiany, z zawiedzionych nadziei, z poczucia bycia-nie-u-siebie. Równocześnie zachowuje dystans do sztywnego określania kwestii tożsamościowych. „Nie czuję – pisze – żeby w słowach »jestem lesbijką« zawierała się prawda o mnie, nie czuję, żeby ta cecha mnie definiowała (...) w ogóle tylko częściowo identyfikuję się z kobietami, a swojego pragnienia nie definiuję w kategoriach męskie/żeńskie".

Zamyka książkę dziennik z roku 2012, dziennik umierania matki – i wyjazd z Elżbietą na Kamczatkę. A ja na koniec zacytuję jedno z piękniejszych uzasadnień trwałego uczucia, jakie kiedykolwiek spotkałem: „Chodzi o to, że jesteś taką osobą, przy której bez lęku można urodzić się i umrzeć". ©℗

K. SCHUBERT / MIK / MATERIAŁY PRASOWE x3

Dwór w Lusławicach

MAŁOPOLSKIE ORNAMENTY

MARTYNA TONDERA-ŁEPKOWSKA

25. Małopolskie Dni Dziedzictwa Kulturowego to okazja do odkrywania tajemnic, słuchania opowieści i zaglądania tam, gdzie na co dzień zajrzeć nie sposób.

Święto małopolskich zabytków tym razem odbędzie się pod hasłem „Ornament" i trwać będzie przez trzy weekendy czerwca (3–4, 10–11 i 17–18). W ośmiu wyjątkowych miejscach będzie można zachwycać się pięknem ornamentu, symfonią natury i artystyczną pasją wraz z przewodnikami, artystami, animatorami i pasjonatami lokalnej historii.

Jubileuszowa edycja Dni zacznie się w labiryncie. W Lusławicach, gdzie w latach 1560–1664 znaleźli schronienie bracia polscy, w dwudziestoleciu międzywojennym Jacek Malczewski, a w 1975 r. swój azyl stworzył Krzysztof Penderecki, znajduje się odrestaurowany zabytkowy dwór. Wokół niego rozciąga się wyjątkowy ogród – 15 hektarów drzew, które przez 40 lat sadził artysta, komponując swoją symboliczną, ostatnią symfonię. W towarzystwie przewodników będzie można zwiedzić arboretum i przejść przez labirynt, a dzieci wyruszą w edukacyjny spacer z elementami muzykoterapii po ogrodzie i parku.

Niespełna dwadzieścia kilometrów od Europejskiego Centrum Muzyki Krzysztofa Pendereckiego znajduje się Łysa Góra – nie ta, na której czarownice spotykały się na sabaty, choć i tutaj magii nie brakuje. Choćby za sprawą historii Bolesława Książka, jednego z czarodziejów z Łysej Góry, i małej spółdzielni, z której bajecznie barwna ceramika rozchodziła się po całej Polsce. O tym, jak za pomocą lekarskiej gruszki wyczarować wzór na talerzu czy dzbanku, opowie (i pokaże przykłady) artystka z łysogórskiej Kamionki, a jak to wygląda w praktyce – każdy będzie miał okazję sprawdzić w trakcie warsztatów.

Ci, którzy pragną obejrzeć ornament o większym rozmachu niż ten na ozdobnej wazie, mogą zawitać do Michałowic, gdzie stoi dwór z końca XIX wieku projektu Teodora Talowskiego. Ten oryginalny krakowski architekt, o nieskrępowanej, rozbuchanej wyobraźni, zastosował w nim charakterystyczne dla siebie rozwiązania artystyczne i elementy zdobnicze: spatynowaną cegłę, manierystyczny szczyt w kształcie dzwonu, ozdobiony po obu stronach wolutami, żelazne kotwy, wbite w elewację kule czy domową kaplicę w... wieży.

O innych motywach wykorzystywanych przez Talowskiego w jego projektach będzie można się dowiedzieć od pasjonatów jego twórczości, a detalom przyjrzeć się z bliska na stanowisku wirtualnej rzeczywistości. Przygotują je studenci Politechniki Krakowskiej, a przez okulary VR będzie można obejrzeć z bliska każdy szczegół elewacji autorstwa „polskiego Gaudiego".

■■■

W drugi weekend czerwca Małopolskie Dni Dziedzictwa Kulturowego zawitają do Modlnicy, gdzie znajduje się kościół pod wezwaniem św. Wojciecha i Matki Bożej

MATERIAŁ PROMOCYJNY

Polichromia w kościele w Modlnicy

Ceramika w Łysej Górze

Bolesnej. Choć nie jest to wielka świątynia, bogactwo znajdujących się w niej ornamentów zachwyci każdego. Od najstarszych, gotycko-renesansowych zdobień po detale współczesne – każda epoka odcisnęła ślad na sylwetce i wnętrzu budowli, z której ścian historycy sztuki mogą czytać jak z otwartej księgi.

XVI-wieczną polichromię na początku XX wieku przykryły malowidła Włodzimierza Tetmajera. Oczom wiernych ukazały się ponownie w latach 50. w wyniku szeroko zakrojonych prac konserwatorskich. O kościele oraz znajdującym się w nim pięknym i cennym wyposażeniu opowiedzą lokalna przewodniczka oraz historyczka sztuki.

Równie intrygująca i poruszająca jest historia dawnego dworu Konopków, od lat 60. ubiegłego wieku pozostającego pod opieką Uniwersytetu Jagiellońskiego. O jego losach i współczesnej aranżacji opowiedzą przewodnicy z Muzeum UJ. To właśnie w tych gościnnych wnętrzach przez trzynaście lat mieszkał i pisał swe największe dzieło Oskar Kolberg, jeden z najwybitniejszych polskich badaczy kultury ludowej. W majątku swego przyjaciela Józefa Konopki, także etnografa, przy wsparciu jego siostry Antoniny, zbierał, gromadził i spisywał wiersze, przyśpiewki oraz opowieści ludowe, które dzięki jego zaangażowaniu zachowały się do dziś.

Ich tradycję żywo kultywuje lokalna społeczność, tworząc m.in. zespół folklorystyczny „Modlnicanie", który wystąpi podczas Dni Dziedzictwa w dworskim parku. Komu mało będzie etnograficznych wątków, koniecznie musi zajrzeć do pobliskiej Izby Regionalnej, prowadzonej przez sołtyskę i regionalistkę Bogumiłę Pietrzyk.

W tych dniach (10–11 czerwca) zajrzymy również do Olkusza. To tam, w dawnym dworku Machnickich oraz sąsiadujących z nim budynkach ochronki św. Marcina, szpitala oraz dawnego klasztoru, znalazł swoje miejsce Miejski Ośrodek Kultury. A pod jego skrzydłami aż trzy niezwykłe kolekcje – afrykanistyczna, minerałów ziemi olkuskiej oraz twórczości Władysława Wołkowskiego.

Wołkowski to z całą pewnością jeden z najciekawszych projektantów XX wieku, choć jego nazwisko niestety pozostaje nieznane szerszemu gronu odbiorców. Swoim kunsztem udowadniał, że piękno wydobyć można z każdej materii, o ile nie brak nam cierpliwości i pasji. Nie chciał tworzyć form przeznaczonych do masowej produkcji, a materiał, który wybrał, uznawano za nietrwały i wymagający. Wiklina, kojarząca się nam raczej z koszykami i z krzesłami, stała się dla Wołkowskiego narzędziem wyrazu artystycznej pasji, a wydobywane z niej kształty święciły triumfy na międzynarodowych wystawach, reprezentując Polskę w szerokim świecie. Więcej opowie wystawa jego twórczości, odbędą się także pokazy plecionkarstwa.

■■■

Dniom Dziedzictwa, jak co roku, towarzyszy bezpłatna książka, dostępna we wszystkich punktach informacyjnych (w trakcie trwania Dni). W tym roku siedmioro autorów opowiedziało o bohaterach Dni – każdy na swój wyjątkowy sposób. Barbara Sadurska, Radek Rak, Katarzyna Kobylarczyk, Sabina Jakubowska, Jakub Kornhauser, Bartosz Sadulski i Dominika Słowik zaskoczą czytelnika formą i tematem. ©

Udział w wydarzeniach jest bezpłatny, jednak na część z nich obowiązuje rezerwacja miejsc, możliwa w dniach 29 maja – 2 czerwca (na I weekend), 5–9 czerwca (na II weekend, przy czym 8 czerwca, z uwagi na dzień wolny, rezerwacja wyłącznie przez formularz) i 12–16 czerwca (na III weekend) przez formularz dostępny na stronie dnidziedzictwa.pl lub telefonicznie: tel. 533 654 003.

ZMYSŁY

PO CO SĄ ALPY

Nie wiem, czy warto ryzykować, by stanąć na wierzchołku góry. Na pewno warto przeżyć przygodę, z którą wiąże się wejście w jej zimny świat, obojętny wobec ludzkich zamiarów.

TEKST I ZDJĘCIA BARTEK DOBROCH

Mieliśmy tyle samo lat i pochodziliśmy z dwóch światów. Jego przynależał do gór. Mój rozciągał się między górami a miastem. Ja bywałem w górach, on tam był. Zasadnicza różnica. Choć i poza nią dzieliło nas niemal wszystko – ja z biednego kraju, on z bogatej Szwajcarii, ja z rodziny dziadka-naukowca, on z wielodzietnej pastersko-rolniczej.

Do położonej na pasterskiej hali chaty przyjaciół dziadka, którą opiekowała się rodzina Josta, można było dojść tylko pieszo. Szło się mniej niż godzinę. Zimą mogła ją zmieść lawina – myślałem. Ale dziadek mówił, że koszenie pastwisk zmniejsza takie zagrożenie. Hala zaś pachniała skoszoną trawą.

Od Josta przychodziły potem listy. Pisał, jak na imię mają cielaki, które przyszły na świat w tamtym roku. To mógł być początek pięknej przyjaźni. Ale nie spotkałem Josta w dorosłym życiu, bo nie wróciłem już do Elm – w okolicy nie było lodowców ani czterotysięczników, które by mnie przyciągały.

Dopiero kilka lat temu, w alpejskim schronisku, czytając po raz pierwszy „Osiem gór" Paola Cognettiego, przypomniałem sobie Josta, a drogi do budowanej przez bohaterów chaty w górach nie umiałem wyobrazić sobie inaczej niż w scenerii tamtej chaty. Przypomniałem sobie człowieka żyjącego w górach, w których ja bywałem.

Góra pierwsza i jedyna

Zanim producenci, którzy nabyli prawa do „Ośmiu gór" (o filmie pisze w tym numerze Anita Piotrowska), zadzwonili do reżysera Felixa Van Groeningena i dowiedzieli się, że właśnie czyta tę książkę, jej autor Paolo Cognetti miał już na koncie kilka nie byle jakich literackich laurów, w tym Nagrodę Stregi, włoskiego Bookera.

Jednym z filmów, który wpłynął na jego życiowe wybory, było „Into the Wild" (u nas znane jako „Wszystko za życie"). W Alpach trudno jednak szukać dziczy, którą przywołuje angielski tytuł. Tylko ich niektóre włoskie rejony odzyskały trochę dzikości wskutek powojennego wyludnienia. Były tam miejsca, gdzie z górskich dolin i położonych w nich wsi w latach 50. i 60. ubyło nawet 80-90 proc. mieszkańców. Bieda, brak pracy gnały ich do fabryk Turynu czy Mediolanu, a czasem dalej – przez alpejskie przełęcze do Francji czy Szwajcarii. W Graine, której literackim odbiciem jest Grana, w pewnym momencie z dwustu przedwojennych mieszkańców pozostało czterech.

Ucieczka w góry była dla Cognettiego powrotem do dzieciństwa. Urodzony w Mediolanie Paolo spędzał czas z rodzicami w tej samej, co w powieści, dolinie – odnodze Doliny Aosty – i nad tym samym jeziorem. „Jeśli ktoś idzie mieszkać wysoko w góry, to dlatego, że na dole nie dają mu spokoju" – mówi

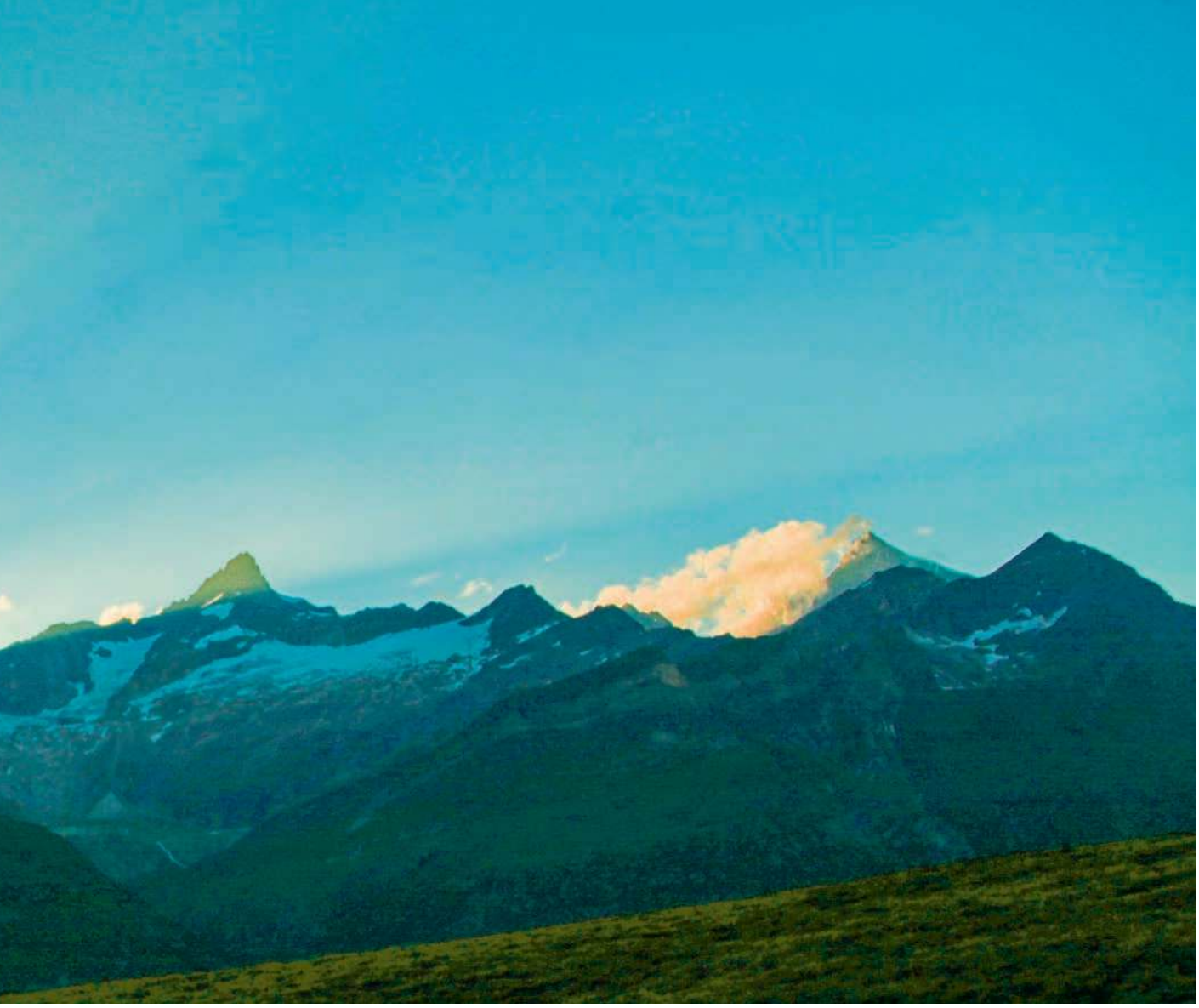

Słońce chowające się za czterotysięcznikami: Obergabelhornem, Zinalrothornem i Weisshornem. Szwajcaria, lipiec 2018 r.

w książce ojciec Pietra. Wędrując wraz z przyjacielem – pierwowzorem literackiego Bruna – po alpejskich ścieżkach, autor wydeptywał szlak swojej opowieści: z fragmentów autobiografii, autentycznych postaci, dobrze znanych miejsc, historii poznanych w dolinie, które splatała nić wyobrażeń. Nad tym wszystkim górowała jego dziecięca „góra pierwsza i jedyna" – Monte Rosa. Właściwie nie góra, lecz cały masyw, najpotężniejszy w Alpach, oddzielający najwyższym położonym w nich murem Włochy od Szwajcarii i obejmujący wraz z masywem Breithorn-Liskamm kilkanaście czterotysięczników rozciągniętych na kilkunastokilometrowej grani. Dla alpinistów z całego świata skupisko marzeń i celów. Tak trudnych i niebezpiecznych, jak zwana „Pożeraczem Ludzi" grań Liskammu, oraz tych dostępnych dla rodzinnych zespołów, takich jak ten literacki, złożony z ojca prowadzącego co roku na linie na jeden z alpejskich olbrzymów syna odczuwającego za każdym razem skutki wysokości. Niedzielącego z ojcem jego pasji. Tego zewu gór, każącego często sięgać coraz wyżej i dalej.

Tu wszystko jest bardziej

Alpejskie czterotysięczniki nadal budzą ten zew w alpinistach takich jak Kacper Tekieli, który 17 maja zginął na szwajcarskim Jungfrau. Ale i w amatorach wchodzących na nie w asyście przewodników lub bardziej doświadczonych partnerów.

Fascynowali mnie ci pierwsi, choć należałem raczej do tych drugich. Kiedyś przed podobnym w skutkach upadkiem na polu śnieżnym pod granią Lagginhornu podciętym kilkusetmetrową przepaścią wyhamował mnie czekan wbity w śnieg, a raczej skrobiący po lodowej polewie, na której poślizgnęły się zęby raków. W akcie młodzieńczej dezynwoltury i dla przyspieszenia zejścia zrezygnowaliśmy wcześniej z wiązania się liną. Podczas zejścia na włoską stronę z Piz Bernina zareagowałem śmiechem, gdy moja noga wpadła po udo, zwisając nad co najmniej kilkunastometrową czeluścią szczeliny, dosłownie kilka sekund po tym, gdy nasz starszy kolega-przewodnik powiedział z kategoryczną pewnością, że tu już nie ma szczelin.

Kacper Tekieli był wspinaczem i filozofem, który od Piz Bernina zaczął swoją ostatnią górską wędrówkę. Kilka lat temu mówił „Górom": „To niestety banał, ale w górach wszystko jest »bardziej«. Nic w przyrodzie nie ginie i skoro jest więcej radości, więcej satysfakcji i słońce świeci jaśniej, to musi być również więcej ryzyka".

Nie umiem odpowiedzieć, czy warto było ryzykować, by stanąć na wierzchołkach ośmiu gór – na tyle bowiem zaledwie alpejskich czterotysięczników udało mi się wejść w tamtym ↦

Kruk nad lodowcem Lys w masywie Monte Rosa. Włochy, lipiec 2012 r.

↦ okresie życia. Ale na pewno warto było przeżyć – w podwójnym znaczeniu tego słowa – przygodę, z którą zawsze wiązało się wejście w ich zimny, lodowy świat, obojętny wobec ludzkich zamiarów. Choć tak bardzo przez człowieka sakralizowany.

Kiedyś zresztą na czterech tysiącach metrów doznałem iluminacji. Objawił mi się Jezus Chrystus. Nie oszalałem ani nie żartuję. Schodziliśmy z tym samym starszym kolegą z Punta Gnifetti, na którego szczycie od 130 lat stoi najwyżej położony budynek Europy – schronisko Margherita. Związani liną brnęliśmy przez rozlany szeroko lodowiec Lys w mgle tak gęstej, że straciliśmy w niej nie tylko ślady, ale i kierunek.

I wtedy mgła się rozstąpiła i ukazał się on. Z rozłożonymi rękami. Unoszący się w białej próżni nad nami. Cristo delle Vette. Chrystus Szczytów. Kilka sekund zajęła mi racjonalizacja tej epifanii i rozpoznania w niej statuy stojącej na oblanym dokoła lodem Balmenhornie. Chrystus nawrócił nas na właściwą drogę.

Nie tylko dekoracja

Wchodzenie na dawno zdobyte szczyty było powtarzaniem opowieści, która 200 lat temu połączyła angielskich dżentelmenów, niemieckich naukowców, żyjących u włoskich podnóży Monte Rosy księży czy właścicieli kopalń złota oraz miejscowych górali, a z czasem – doświadczonych już alpejskich przewodników i tragarzy. Tych więc, których z dalekich miast przyciągały romantyczne widoki, męska przygoda, sława zdobywców, i tych, którzy wyrastające nad głowami góry traktowali pragmatycznie – jako możliwość zarobku pozwalającego odmienić los pasterzy czy rolników gospodarujących na górskich stokach.

Z czasem angielskie słowo „mountaineer" oddzieliło się od pierwotnego znaczenia i określało już tylko tych, którzy wchodzili, wspinali się na góry, w ten sposób obdarzając je uczuciem. Z kolei włoskie „montanaro" oznaczało górala, nie w etnicznym znaczeniu, ale jako mieszkańca gór, człowieka urodzonego w górach. Choć nie zawsze, tak jak Bruno, urodzonego „do bycia góralem". „Osiem gór" Cognettiego dotyka także tego spotkania: ludzi z nizin, zatłoczonych miast, poszukujących w górach oddechu, odpowiedniego rytmu kroków w wędrówce przez życie, a czasem w ogóle swojej ścieżki – oraz ludzi rzuconych w ich kamienisty świat przez los, bez wyboru.

Góry u Cognettiego nie są jedynie dekoracją. Są niemym bohaterem wypełnionym ludzkimi sprzecznościami. Krainą, w której rodzi się przyjaźń, zakwita miłość, ale też przestrzenią ciszy, pustki, samotności. Nieludzkim światem szczytów i skuwających je jeszcze, choć toczących nierówną walkę z ocieplającym się klimatem lodowców. Grozą ciskającą kamienie, zrzucającą lawiny oraz żyzną, pojoną górską wodą, kwitnącą, pobrzękującą krowimi dzwonkami przestrzenią dolin. „Góry są przyszłością" – przekonuje Pietra ojciec. To z nich bowiem spływa woda, która w doliny niesie życie, i z nich spadają lawiny siejące spustoszenie i śmierć. Świat możliwości, który roztaczają przed jednymi, kontrastuje ze światem powinności, który wyznaczają innym. Tak jest przynajmniej w przypadających na lata 80. czasach dzieciństwa dwójki głównych bohaterów reprezentujących oba światy, Pietra i Bruna.

W tych samych czasach, tyle że pod Tatrami, rozgrywała się akcja powieści Wojciecha Kuczoka „Spiski", w której sportretowana została śląska rodzina spędzająca wakacje wśród górali. Tam także przyjezdny bohater dojrzewa pośród rdzennej młodzieży wychowywanej w innych wartościach i priorytetach, ale też mierzy się z postacią ojca, któremu wyjazdy w góry nadają w życiu rytm.

Tak jak Giovanniemu Guastiemu, ojcu Pietra, zmęczonemu chemikowi z mediolańskiej fabryki, którego chodzenie po górach ma niezbyt medytacyjny charakter, nacechowany raczej zaciętością i brawurą. Bo tak, wysiłek zdobywania gór często bywa rodzajem wyżycia się, wypocenia zgryzot i trosk, a nawet powetowania sobie porażek poniesionych gdzieś tam na nizinach.

Dlaczego tam szedł

W biografiach pochodzących z płaskich albo zaledwie pagórkowatych terenów polskich himalaistów nie ma wychowania na hali wśród owiec ani rodzinnych wędrówek z plecakiem w czasach dzieciństwa. Jest za to konsekwencja wyboru dokonanego w dorosłym, choć zwykle młodym życiu. W życiorysach himalaistów droga w góry prowadziła przez harcerskie podchody, a w biografii pierwszego polskiego himalaisty Adama Karpińskiego – jeszcze przez pionierski na naszych ziemiach przed I wojną światową skauting. Wspinaczka na nie była więc być może najwyższą formą realizacji harcerskich sprawności – obejmujących te turystyczne, krajoznawcze, terenoznawcze, logistyczne, przyrodnicze, samarytańskie – łączącą bowiem i dowodzącą przydatności ich wszystkich.

Może odpowiedź tkwi w tej zanurzonej w górskim krajobrazie przyrodzie, jak w Dolinie Aosty ze „Szczęścia wilka", z najnowszej książki Cognettiego? Mowa w niej o drzewach, które nie szukają szczęścia w przenoszeniu się z miejsca na miejsce, ale zapuszczają korzenie tam, gdzie spadło ich ziarno. O roślinożercach, którym szczęście daje cyklicznie uporządkowane i poddane rytmowi natury wędrowanie za trawą. I w końcu o wilku, który nie osiada, przemieszcza się tam, gdzie chce, „wciąż do nowych lasów, wciąż za kolejny grzbiet", prowa-

dzony przez niedający się łatwo zrozumieć instynkt. Czemu jednak jednego wilka instynkt prowadzi na szczyty, a innego syci samym ich widokiem?

Do domu, czyli dokąd?

W niewielkiej książce „Nie zdobywając szczytów" Cognetti opisuje swoją podróż do dystryktu Dolpa w Nepalu, jednego z ostatnich nieprzeobrażonych przez człowieka górskich środowisk. Przedstawionego szerokiemu światu prawie ćwierć wieku temu w nominowanym do Oscara filmie „Himalaya – Dzieciństwo wodza" kawałka Tybetu ocalałego dzięki położeniu poza Tybetem. Opierającego się turystycznemu najazdowi człowieka Zachodu, bo znajdującego się w oddali od znanych i atrakcyjnych szczytów, a także gospodarczej kolonizacji Chin – choć z bólem trzeba by tu dodać słowo „jeszcze" – dzięki małemu potencjałowi handlowemu. Tytułowa strategia autora książki wynika nie tylko z jego podatności na chorobę wysokogórską – szlak prowadzi wszak przez liczące ponad 5000 metrów przełęcze – ale i z buntu przeciwko dominującemu, nakręcanemu przez pragnienia i ambicje pędowi ku szczytom. Na szlak rusza z książką Petera Matthiessena „Śnieżna pantera", zapisem wędrówki autora wiedzionego pragnieniem zobaczenia jednego z najtrudniejszych do spotkania dzikich kotów, ale także rodzajem praktyki buddyjskiej i poszukiwaniem na nowo siebie zagubionego po śmierci żony. Zamiast pantery odnajduje refleksję: „Powrót do domu jest głównym celem moich praktyk". W słowie „dom" kryje się nostalgia za nie do końca zdefiniowanym miejscem. Może tym, co utożsamia Sumeru, według buddyjskiej kosmologii góra stanowiąca oś świata, otoczona ośmioma górami i ośmioma morzami. Wtedy wędrówka po ośmiu górach, szukanie coraz to nowych celów, wchodzenie na szczyty czy jedynie szukanie ich widoku – byłoby praktyką, której faktycznym celem są nie górskie trofea, ale powrót z nimi lub bez nich do domu.

Do domu, czyli do czego? Do bezpiecznej przystani w wędrówce, czasu dziecięcej ciekawości, do siebie szczęśliwego? Są jednak w życiu takie góry, na które nie ma powrotu – mówi Cognetti. Matthiessen dochodził w swoich rozważaniach do wniosku, iż „sekret gór polega na tym, że one po prostu istnieją, tak jak i ja: ale góry istnieją po prostu i koniec, a ja nie. Góry nie mają żadnego ukrytego »znaczenia«, one same są znaczeniem; one są". Może bliższe prawdzie jest więc powiedzenie mistrzów zen, które przytacza w ostatniej książce: „Zanim zbliżyłem się do zen, góry były dla mnie tylko górami, a rzeki tylko rzekami. Kiedy zacząłem praktykować, góry nie były już górami, a rzeki nie były rzekami. Ale kiedy osiągnąłem oświecenie, góry znów stały się górami, a rzeki znów rzekami".

Tylko zatem góry, które odarte są z przypisywanych im przez nas znaczeń, uczuć do nich żywionych, „całkowicie obojętne na sny istot ludzkich" – są tymi prawdziwymi. Tymi, które są i będą istnieć także po naszym przebudzeniu.

© BARTEK DOBROCH

TYGODNIK POWSZECHNY

Zamów prenumeratę, a „Tygodnik" sam trafi w twoje ręce.

Prenumeratę wydania drukowanego można zamówić przez:

- internet na **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate**
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Nr konta Bank Pekao SA 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Dyrcz w godz. 11–15 od poniedziałku do piątku pod nr. tel. **668 479 075** lub adresem e-mail: **prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Chmielowski w godz. 10–14 pod nr. tel. **660 692 099** lub adresem e-mail: **kontakt@TygodnikPowszechny.pl**

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

RODZAJ PRENUMERATY	OKRES	CENA	
		Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
13 wydań	3 m-ce	160	200
52 wydania	rok	550	680
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne	**rok**	**640**	**770**
4 Wydania Specjalne – kwartalniki	rok	100	
52 wydania – w ofercie POKOLENIA*	rok	480	
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne – w ofercie POKOLENIA	rok	570	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów oraz posiadaczy Karty Dużej Rodziny

CENY PODANE W POLSKICH ZŁOTYCH

Zapraszamy na stronę: **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate**

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY SALESmanago marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

OLGA

Drenda:
Przestań mieć sens

Przestań scrollować w poszukiwaniu negatywnych emocji (*doomscrolling*), zamiast tego ucz się małymi porcjami (*microlearning*)" – reklama po angielsku zachęca mnie, by czas w internecie spędzać nie jałowo, tylko pożytecznie, i że rzadkie wolne chwile lepiej zająć zdobywaniem wiedzy, bo jeśli poddam się sile inercji, niechybnie złe licho ściągnie mnie w jakieś szkodliwe rejony. I że już skoro bimbam w internecie, to niechże się czegoś przy tym nauczę. Nie pouczyłam się i widocznie złe licho próbowało zadziałać, bo moją uwagę przyciągnął prowokacyjny nagłówek o czterdziestolatkach, którzy „podróżują bez sensu".

Oczywiście jako zblazowana bywalczyni sieci wiem już, że niezależnie od dalszej zawartości linku taka zapowiedź to ruch zaplanowany z myślą o tym, by dowolny podróżujący czterdziestolatek zapienił się na wiadomość, że go atakują. Ja potraktowałam jednak ten tytuł jako osobliwą pochwałę, a może wręcz powód do pozytywnie rozumianej zazdrości. Robić coś bez sensu – to przecież prawdziwy luksus.

Optymalizacja i opłacalność to klucz do dzisiejszej kultury. Procesy znane z zarządzania biznesem i projektowania rozwiązań cyfrowych mimowolnie przeniknęły do opornej, niesystematycznej i podatnej na przypadek materii codziennego życia. Rezultaty bywają opłakane – ludzie starają się funkcjonować jak sprawnie napisane aplikacje, zapominając, że człowiek składa się ze zbyt wielu paradoksalnych czynników, by dało się je skoordynować. Jednym z elementów dążenia do optymalizacji życia codziennego jest przekonanie, że wszystko, co robimy, musi czemuś służyć i przynosić mierzalny pożytek. Dlatego wspomniana reklama próbowała wywołać we mnie łagodne poczucie winy: po co marnujesz czas w internecie, naucz się czegoś pożytecznego (nie, żeby nie było w tym odrobiny racji, ale jak na złość materiały polecane do nauki dotyczyły głównie „zarządzania sobą"). Sens i cel powinny mieć też najwidoczniej podróże – wszak nie po to ktoś wydaje pieniądze, żeby inwestycja mu się nie zwracała.

OLGA DRENDA

Włóczyć się – poruszać się po jakimś terenie w różnych kierunkach, nie zmierzając do konkretnie wyznaczonego celu (WSJP)

Myślę jednak o kinie i o specyficznym mikrogatunku – filmie z umowną fabułą, właśnie trochę „bez sensu", opartym na snuciu się, bezcelowych działaniach, przypadkowych rozmowach. Tak jak w „Nieustających wakacjach" Jarmuscha, których bohater wędruje po ulicach miasta, rozgląda się i gada, natykając się na podobnych sobie outsiderów – a my, nawet jeśli początkowo czujemy irytację, bo „nic się nie dzieje", w pewnym momencie zaczynamy dzielić poczucie spokoju i swobody. Albo pozornie bezcelowe gadki w filmie „Slacker" Linklatera, z których wyłania się nietypowa obserwacja, żart, poczucie chwilowej komitywy, zarys wspólnej wizji świata. Takie filmy nazywano kultowymi, bo widzowie wracali do nich wielokrotnie, zapamiętywali ulubione sceny i dialogi. Podejrzewam, że wśród przyczyn, dla których były tak lubiane, znalazły się luz i swoboda, którymi emanowały i które chciało się podzielać. W dzisiejszym świecie te jakości wydają mi się dotkliwie nieobecne. To, żeby coś „sobie porobić", „pochodzić", „podziałać" bez zaplanowanego efektu, określonego czasu, planu, zdobyć wiedzę, z której nie zrobimy użytku, odpocząć nie po to, by zaraz później jeszcze sprawniej pracować – wydaje się bezczelnością, skandalem, marnotrawstwem. Tak jak w „szczupłym zarządzaniu" produkcją nie ma marginesu na próby i błędy, a już zwłaszcza na to, żeby je sobie wybaczyć. „Bezsensowne" działania zaczynają wymagać fachowego uzasadnienia, żeby nie kojarzyły się z marnotrawstwem: tłumaczymy, że chcemy się przytulić, bo to „wydziela oksytocynę i wzmacnia więzi międzyludzkie, co wpływa na długość życia, a zabawa z dzieckiem reguluje stężenie serotoniny". Ciekawe, czy takie skomplikowanie brzmiące zaklęcia naprawdę działają, czy tylko wzmagają irytację na to, że oczekiwany stan nie objawia się wystarczająco szybko lub dobitnie.

Przy bezcelowych działaniach pomysły czy rozwiązania wyłaniają się czasem same, gdy ich nie szukamy. Przy okazji, jako skutek uboczny. Nie wtedy, gdy idziemy na spacer „po to, by usprawnić krążenie i procesy umysłowe", lecz po to, by pospacerować. Jeden z najbardziej udanych filmów koncertowych wszech czasów, promujący płytę „Speaking in Tongues" Talking Heads, opiera się na działaniu od końca, czyli na stopniowym montażu sceny: z każdą kolejną piosenką dołączają kolejni członkowie grupy, pojawiają się kolejne instrumenty i elementy sprzętu. Nosi on tytuł „Stop Making Sense", czyli „Przestań mieć sens". Czasem może warto to sobie powiedzieć. ©

PAWEŁ

Bravo:
Naginanie natury

Dziesięć pokoleń dzieliło hrabinę Klaudynę Rhedey z siedmiogrodzkiego Erdőszentgyörgy od hospodara Włada Palownika, zasłużonego władcy Wołoszczyzny z połowy XV wieku, niestety znanego tylko dlatego, że show-biznes zrobił z niego prototyp wampira. No ale taki już los okolic peryferyjnych i wszelkich Wschodów lub Orientów, że dostarczają starannie wypreparowanej egzotyki, dreszczyku i smrodku. Jak nie potwór na zamku, to chłop na wozie zapadniętym po osie w błocie, obok jego rumiana żona z krzywymi grabiami, w tle refleksy żabiego skrzeku w kałużach – tak wygląda upokarzająca bukolika z filmiku promującego pensjonat w Siedmiogrodzie utworzony w poprzedniej dekadzie przez ówczesnego księcia Walii.

Czemu akurat tam? Klaudyna poprzez wnuczkę wydaną za Jerzego V stała się prababcią obecnego brytyjskiego monarchy, a ten sobie przypomniał o związkach rodzinnych z tym pokręconym etnicznie regionem, kiedy zaczął się na całego angażować w rozmaite zieloności, często podszyte reakcyjną, hurtową negacją tego, co nowoczesność przyniosła obszarom wiejskim. Fundował w różnych krajach rozmaite „harmonijne" alternatywy dla modernizacji i uprzemysłowienia, które potępiał, bo wypłukiwało wsie i mieściny z kultury agrarnej. Mającej jednak więcej wspólnego z bieluśką gąską na drodze z obrazka w książeczce dla dzieci niż z życiem codziennym wsi sprzed elektryfikacji.

Z tą książeczką to nie mój wredny żart, tylko własne słowa księcia jegomości z wypowiedzi o tej jego odnalezionej na bałkańskim zadupiu Arkadii. Wszak „Transylwania" znaczy przecież „kraina za lasami", w domyśle siedmioma, a więc nierzeczywista, gdzie można wyświetlić sobie rzewne fantazje i ulokować dowolne marzenia. A czasem je spełniać, kiedy się ma koneksje, dużo czasu i drobnych, za które można kupić stare saskie domy i poprzez rozmaite fundacje wspierać małorolnych w umiłowaniu malowniczej biedy. Założę się, że w ramach ustępstwa wobec bezdusznej moderny do pensjonatu doprowadzono wodę bieżącą, może nawet ciepłą.

Zdaje się, że cienko tam z tzw. zasięgiem, tę akurat próbę archaizacji mógłbym nawet popierać, bo daje ona szansę cofnięcia czasu o ledwo 30 lat. Wszelkie jednak „harmonie" i „zgodności z naturą" odniesione do XIX wieku (bo taki jest przeważnie horyzont wolnowybiegowych utopii) są tylko zabawą wyobraźni, uwolnionej od strachu przed głodem i chorobą przez te właśnie przemiany, które chciałoby się cofnąć. Wieś sprzed półtora wieku też była skutkiem czynienia sobie ziemi poddaną, naginania ekosystemów, przenoszenia i manipulacji gatunkami.

Nie ma się co tego wstydzić, od tamtych ludzi różni nas tylko utracony obecnie umiar i skromność w naginaniu przyrody do projektów – czasem po prostu zbyt zuchwałych. Czy zakładanie w Polsce winnic przekracza te granice zuchwałości? Czy nasza ziemia nie daje nam co wiosnę dowodów, że najbardziej lubi rodzić jabłka? O tym szumiał mi w uszach wiatr wśród gałązek nowego, eksperymentalnego sadu w Ignacowie koło Grójca, gdzie od niedawna rosną odmiany brytyjskie i francuskie na potrzeby miejscowej cydrowni. Przez kilkanaście lat zdążyłem już oswoić się z dwoma tuzinami szczepów winorośli, jakie się w Polsce ze zmiennym szczęściem sadzi, a nazwy jabłoni, które mi sadownik i cydrownik wymieniali, były dla mnie jak świeżo objaśniona kabała, chociażem nie spadł tutaj z jakiejś Toskanii.

Ale może i ten projekt, pomimo swojskości surowca, należałoby zaliczyć do zuchwałych. Po dziesięciu z górą latach obecności dobrych cydrów w Polsce widać, z jakim trudem szukają swojej półki. Już pewien producent z pierwszej ćwierci XIX w. zdefiniował problem, pisząc w reklamie na łamach „Kuriera Warszawskiego": „trunek nazwany *Syder kraiowy*, który jest wyższym gatunkiem *piwa* zbliżonego w kolorze i smaku do *wina*". Sfermentowany sok z owoców, bogaty w taniny i z wysoką kwasowością – to bliskie winu. Ale skojarzenia piwne też mają swój sens i w wielu miejscach, także u nas, w jego produkcję angażują się browary. Zwróćmy przy okazji uwagę, jak bardzo rozłączne, nawzajem wrogie są domeny piwna i winna, niczym obozy spolaryzowanej polityki. Nie dajmy jednak cydrowi wpaść w tę partyjną pułapkę. Niech nie podzieli losów symetrystycznych sierot i błędnych poszukiwaczy trzecich dróg. ©℗

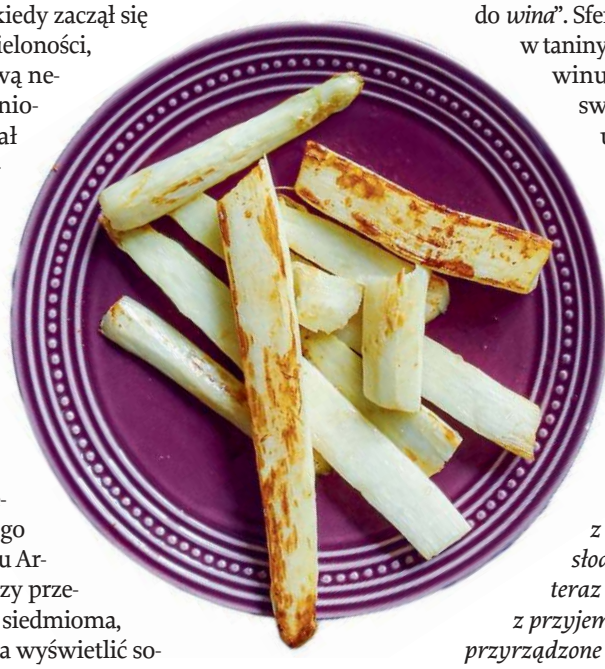

PAWEŁ BRAVO

Taniczny, cierpki cydr daje radę z lekkim jedzeniem i nie bardzo słodkimi wypiekami – np. z sezonowym teraz rabarbarem. Ostatnio popiłem nim z przyjemnością karmelizowane szparagi przyrządzone wedle wskazówek zaczerpniętych w gospodarstwie niezawodnych Majlertów. Grube białe szparagi obieramy, odcinamy zdrewniałą końcówkę, ostrożnie przecinamy wzdłuż, solimy. Na dużej patelni rozgrzewamy na dużym ogniu minimalną ilość masła (najlepiej klarowanego, ale zwykłe też dało radę), smażymy najpierw rozciętą stroną w dół, potem drugą, obracając co minutę parę razy. Po pierwszej minucie smażenia sypiemy sporą garstkę trzcinowego cukru, czekamy, aż się zacznie karmelizować (co nastąpi szybko, uważajmy, żeby nie spalić na czarno). Tłuszcz jest tu potrzebny raczej jako podkładka dla karmelu, więc nie przesadzajmy z ilością.

STANISŁAW

Mancewicz:
Straszne prognozy

Jesteśmy dziś pod mocnym wpływem dwu bodźców. Pierwszy to wiadomość o zwiększeniu świadczenia 500 plus, drugi to cykl samoobronnych wystąpień obecnego ministra obrony M. Błaszczaka. Bodźce te – popatrzmy – powinny zasadniczo działać na różne sfery centralnego układu nerwowego, uderzać w inne tkanki i sploty, ale wcale tak nie jest. Działają podobnie, rzec można, że naciskają sąsiednie sensory naszego mózgu i – tak, to szokujące – kompletują jaźń i rzeczywistość. Polską rzeczywistość oczywiście.

Pomoc finansowa w swym założeniu – interesuje nas dziś wyłącznie jej ideologiczne i teoretyczne uzasadnienie – miała wzmóc krajową dzietność. Podeprzeć gasnący instynkt zachowania gatunku Polaka, a tym samym poprzeć państwowotwórczą aktywność płciową obywateli i obywatelek. Zawsze w takich sprawach jesteśmy za. Niestety z fantazyjnych założeń teoretycznych i ponoć konkretnych wyliczeń prawicowych arytmetyków nic nie wyszło. Jak zwykle zresztą, ludzie ci bowiem mają specyficzny stosunek do działań na liczbach. Zastrzyk pieniędzy żadnego spadku urodzeń nie zlikwidował. Polaków jest coraz mniej i mniej, i z tym wypada się albo pogodzić, albo wydelegować do naprawy tej awarii kogoś inaczej rozumującego, np. że pieniądze to nie wszystko.

Ktoś tu czytający, chętnie zgodziwszy się z tym znakomitym i odkrywczym wywodem, zapyta nas jednak zdziwiony: dlaczego bodźcowanie zwiększeniem 500 plus zbiło nam się z samoobronnymi wystąpieniami M. Błaszczaka, obecnym – jak się okazuje, tylko w teorii – ministrem obrony kraju? Jest to rzeczywiście szokujące skojarzenie, również literackie. Otóż – jak by powiedział klasyk obecnie wyklęty – minister nasz jest najgłębiej „dzieckiem podszyty" ze wszystkich wyższych urzędników polskich, których przyszło nam widzieć i słuchać w ciągu ostatnich trzech dekad. Każde jego mówienie, tłumaczenie czegokolwiek, odzywka, obraza, nadęcie i zbalonienie, każdy grymas, wstanie, wejście i wyjście, ubranko, mundurek, wszystko to jest wielką projekcją infantylizmu polskiego. Jest gombrowiczowskie w zdumiewającej identyczności. Skąd jednak pozornie trudne skojarzenia z programem wspierającym walkę o dzietność? Właśnie dlatego. Tu dziecko i tu dziecko, w jednym punkcie, na jednej osi. I tu, i tu zero efektów, żadnych sukcesów, kłopoty, deficyt w programie dzietności i wielka kompromitacja, o której minister opowiada najgłębiej niedojrzale. Gdy jakiekolwiek dziecko ma kłopoty, nikomu nie jest wesoło, więc i nam takoż. Przykre to wszystko i nieśmieszne.

Idźmyż dalej. Naszym najdawniejszym założeniem twórczym jest wykorzystywanie naturalnie płynących strumieni, trendów i skłonności. Nigdy nie walczymy wbrew fali, wskakujemy na nią i płynąc z nią wesoło bądź smutno, myślimy tak oto: ponieważ atmosfera naszego wywodu zrobiła się sama z siebie grobowa, grób należy oczywiście pogłębić.

Jak? Tak: powodowani grzeszną ciekawością, wynikłą z klęski 500 plus jako programu proreprodukcyjnego, a więc wziąwszy z internetowych stron ważnych polskich urzędów dane na temat spadku liczebności ludności polskiej, spadku wynikającego z niechęci podtrzymania gatunku Polaka metodami tradycyjnymi, policzyliśmy, nie bez trudu oczywiście, że na ziemiach naszych w szeroko pojętej okolicy tysiąclecia bitwy pod Grunwaldem nie będzie ani jednego rodaka Polaka. Jeżeli dynamika spadku się oczywiście utrzyma na dzisiejszym poziomie. Jakoś po 2410 roku nie będzie komu zrobić rekonstrukcji tego wydarzenia, nie będziemy mieć żadnej osoby polskiej reprezentującej nas w konkursie Eurowizji i nie będzie z kogo złożyć narodowej drużyny piłkarskiej, by wymienić najważniejsze sprawy z punktu widzenia dzisiejszych władz i ogółu społeczeństwa. Zastanówcie się więc nad sobą i przyszłością kraju. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

S-NET
GRUPA TOYA

Data Center dla Twojego biznesu w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy S-NET Data Center

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.

- Gwarancja SLA
- Obiekt klasy Tier 3
- Transmisja danych do krajowych operatorów
- Samodzielny dostęp do szaf w trybie 24/7
- Redundantne połączenie z siecią Internet
- Monitoring 24/7 oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.

- Systemy przeciwpożarowe
- Systemy chłodzenia
- Niezależne zasilanie

REKLAMA

s-net.pl/data-center

Skontaktuj się z nami
+48 12 395 71 00

REKLAMA

LET'S STEP INSIDE!

KRAKOWSKI FESTIWAL FILMOWY ONLINE W CAŁEJ POLSCE!

KFF VOD 2-18.06.2023